

FANTASY & SF

CLIFFORD D. SIMAK

KLASYK AMERYKAŃSKIEJ SF

DZIECI

NASZYCH DZIECI

RATUJMY NASZĄ PRZYSZŁOŚĆ!!!



PHANTOM PRESS

Spis treści

Karta tytułowa
Dla niej historia...

.. 1 ..
.. 2 ..
.. 3 ..
.. 4 ..
.. 5 ..
.. 6 ..
.. 7 ..
.. 8 ..
.. 9 ..
.. 10 ..
.. 11 ..
.. 12 ..
.. 13 ..
.. 14 ..
.. 15 ..
.. 16 ..
.. 17 ..
.. 18 ..
.. 19 ..
.. 20 ..
.. 21 ..
.. 22 ..
.. 23 ..
.. 24 ..
.. 25 ..

.. 26 ..
.. 27 ..
.. 28 ..
.. 29 ..
.. 30 ..
.. 31 ..
.. 32 ..
.. 33 ..
.. 34 ..
.. 35 ..
.. 36 ..
.. 37 ..
.. 38 ..
.. 39 ..
.. 40 ..
.. 41 ..
.. 42 ..
.. 43 ..
.. 44 ..
.. 45 ..

Clifford D. Simak

DZIECI

NASZYCH DZIECI

Przełożył
Andrzej Leszczyński

PHANTOM
P R E S S

1992

Dla niej historia ożyła na nowo, zmartwychwstała. Przeżywała wspaniałe chwile. Miała nigdy o nich nie zapomnieć, choćby nie wiadomo co spotkało ją jeszcze w życiu. Gromadziła wspomnienia na pobyt w miocenie. Niespodziewana myśl o niewiadomym, jakie czekało ją w miocenie, wywołała dreszcz strachu. Czy kiedykolwiek się tam dostaną? Czy ludzie z tej epoki zdecydują się pomóc im wyemigrować w przeszłość?

.. 1 ..



Bentley Price — fotoreporter Global News Service, ułożył stek na ruszcie i z puszką piwa w dłoni zasiadł w fotelu na biegunach. Kiedy doglądał mięsa, obok pnia wiekowego białego dębu otworzyły się drzwi i zaczęli przez nie wychodzić ludzie.

Od wielu już lat nic nie było w stanie zaskoczyć Bentleya Price'a. Gorzkie doświadczenia nauczyły go oczekiwać rzeczy szokujących i nie przywiązywać do nich większej wagi. Fotografował zdarzenia niezwykle, dziwne, przerażające, po czym odwracał się tyłem i odchodził — czasami w największym pośpiechu, żeby prześcignąć konkurencję z AP i UPI. Fotoreporterzy działający na własną rękę nie mogli zapuszczać korzeni. Mimo że redaktorzy magazynów nie należeli do ludzi wzbudzających strach, trzeba było utrzymywać z nimi poprawne stosunki.

Tym razem jednak Bentley zastygł w osłupieniu, gdyż stał się świadkiem czegoś, co przekraczało granice jego wyobraźni i w żaden sposób nie dawało pogodzić się z bogatymi doświadczeniami. Zamarł w fotelu, z puszką piwa na wpół uniesioną do ust, i szklistymi oczyma spoglądał na wychodzących przez drzwi. Dopiero po chwili zauważył, że nie są to żadne drzwi, a jedynie postrzępiona, falująca na krawędziach plama ciemności, stanowiąca dość szerokie przejście — przybysze

przekraczali ją czwórkami i piątkami, ramię przy ramieniu.

Wyglądali na całkiem zwyczajnych ludzi, mimo dość dziwnych strojów, jakby wracali do domu z maskarady. Nie nosili jednak masek. Gdyby byli tylko sami młodzi, wzięłoby ich za studentów noszących zwariowane ciuchy, w jakie ubierały się nastolatki. W grupie tej jednak większość stanowili ludzie starsi.

Jako jeden z pierwszych wyszedł na trawnik dość wysoki, chudy mężczyzna, raczej przystojny mimo swej tykowatości. Na głowie miał szopę potarganych stalowoszarych włosów, opadających na kark. Ubrany był w krótką, nie sięgającą kośćcistych kolan szarą spódniczkę oraz szeroką czerwoną szarfę, zebraną na ramieniu i przyczepioną do pasa, przytrzymującego jednocześnie spódniczkę; Bentley stwierdził w duchu, iż wygląda zupełnie jak Szkot w stroju narodowym, chociaż spódniczka nie była kraciasta.

Obok niego szła młoda kobieta, odziana w białą, powiewną, przewiązaną paskiem suknię, sięgającą aż do obutych w sandały stóp. Miała długie do pasa kruczoczarne włosy, zebrane w koński ogon. Bentley pomyślał, że jest bardzo ładna — odznaczała się niezwykle rzadko spotykanym typem urody. Jej skóra, sądząc po fragmentach odkrytego ciała, była równie biała i gładka jak suknia.

Para ta podeszła do Bentleya i zatrzymała się przed nim.

— Zakładam — odezwał się mężczyzna — że jest pan posiadaczem.

W jego sposobie mówienia było coś dziwnego. Wyrazy wymawiał niewyraźnie, łączył głoski i połykał słowa, niemniej jednak można go było zrozumieć.

— Domyślam się — odparł Bentley — iż chciał pan powiedzieć, że jestem właścicielem tego majdanu.

— Prawdopodobnie tak — rzekł tamten. — Możliwe, iż moja mowa jest nie z tego dnia, ale sądzę, że mówię zrozumiale.

— Jasne, tylko o jaki dzień panu chodzi? Czyżby chciał pan przez to powiedzieć, że każdego dnia mówi pan inaczej?

— Zupełnie nie to miałem na myśli — odparł mężczyzna.

— Proszę wybaczyć nam najście. To musi wydawać się niestosowne. Będziemy starali się nie uszkodzić pańskiej własności.

— Muszę wyznać, przyjacielu, że to nie jest moja posiadłość. Ja tylko pilnuję domostwa pod nieobecność właściciela. Czy mógłby pan poprosić tych ludzi, żeby nie deptali rabat kwiatowych? Żona Joego będzie wściekła, kiedy wróci do domu i zastanie zniszczone kwiaty. Poświęca im wiele uwagi.

W trakcie tej rozmowy przez drzwi wychodzili nieustannie następni ludzie — zapełnili już cały trawnik i zaczęli wylewać się na sąsiednie podwórka. Z domów wychylali się mieszkańcy, by zobaczyć, co się dzieje.

Dziewczyna zaszczyciła Bentleya promiennym uśmiechem.

— Myślę, że może być pan spokojny o kwiaty — powiedziała. — To mili ludzie, dobrze wychowani, nie mają złych zamiarów.

— Liczą na pańską wyrozumiałość — dodał mężczyzna. — Są uchodźcami.

Bentley przyjrzał się im uważnie. Nie wyglądali na uchodźców. Wielokrotnie miał okazję fotografować takich w różnych częściach świata — zwykle byli brudni, obdarci i dźwigali toboły. Ci zaś wyglądali schludnie i czysto, a bagaży mieli niewiele; tu i tam można było dostrzec niedużą walizeczkę lub aktówkę w rodzaju tej, którą trzymał pod pachą stojący przed Bentleyem mężczyzna.

— Nie wyglądają mi na uchodźców — rzekł Bentley. — Skąd

oni pochodzą?

— Z przyszłości — odparł mężczyzna. — Prosimy uprzejmie o wyrozumiałość. Zapewniam pana, że to, co robimy, to sprawa życia i śmierci.

Słowa te poruszyły Bentleya. Chciał pociągnąć łyk piwa, ale rozmyślił się, opuścił rękę i postawił puszkę na trawie. Powoli podniósł się z fotela.

— Pragnę oświadczyć, proszę pana — zaczął — że jeśli urządzacie sobie jakiś pokaz reklamowy, nie mam nawet zamiaru sięgnąć po aparat. Nie zrobię ani jednego zdjęcia żadnej akcji reklamowej, bez względu na jej charakter.

— Akcji reklamowej? — zapytał mężczyzna. Nie ulegało wątpliwości, że teraz on nic nie rozumie. — Przykro mi. Pańskie słowa nie trafiają do mnie.

Bentley raz jeszcze spojrzął na drzwi. Nadal, czwórkami i piątkami, wychodzili przez nie ludzie. Zdawało się, że temu pochodowi nie będzie końca. Przejście wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy ujrzał je po raz pierwszy — nieco postrzępiona, falująca na krawędziach plama ciemności, przesłaniająca fragment trawnika. Zauważył jednak, że jest w stanie dostrzec znajdujące się za nią drzewa, krzewy oraz plac zabaw na sąsiednim podwórku.

Jeśli była to jakaś akcja reklamowa, to wykonano ją bezbłędnie. Wielu speców musiało nieźle wyteńczyć swoje mózdzki, żeby wymyślić coś podobnego. W jaki sposób udało im się stworzyć tę falującą dziurę i skąd wzięli wszystkich tych statystów?

— Przybywamy z przyszłości odległej o pięćset lat — rzekł mężczyzna. — Uciekamy przed końcem rasy ludzkiej. Prosimy o pomoc i zrozumienie.

Bentley spojrział na niego.

— Nie oszukuje mnie pan, prawda? — zapytał. — Gdybym dał się nabrać, straciłbym pracę.

— Spodziewaliśmy się, naturalnie, spotkać z niedowierzaniem — odparł tamten. — Zdaję sobie sprawę, że nie istnieje sposób dowiedzenia naszego pochodzenia. Bardzo prosimy, żeby zechciał pan uwierzyć nam na słowo.

— Powiem coś panu — rzekł Bentley. — Pójdę na to. Zrobię parę fotek, ale jeśli okaże się, że to akcja...

— O ile dobrze rozumiem, chodzi panu o robienie zdjęć.

— Oczywiście. Aparat to moje narzędzie pracy.

— Nie przybyliśmy tu po to, żeby robiono nam zdjęcia. Jeśli ma pan jakieś wątpliwości, proszę sprawdzić. W ogóle nie będzie to nas obchodziło.

— A więc nie chcecie, żeby robiono wam zdjęcia — powiedział z naciskiem Bentley. — Jesteście tacy sami jak większość ludzi. Najpierw narobicie bigosu, a potem podnosicie krzyk, gdy ktoś skieruje na was obiektyw.

— Nie mamy żadnych zastrzeżeń — rzekł mężczyzna. — Proszę zrobić tyle zdjęć, ile pan sobie życzy.

— Nie macie nic przeciwko temu? — upewnił się zbity z pantałyku Bentley.

— W ogóle.

Bentley odwrócił się i skierował w stronę drzwi do kuchni. Zawadził nogą o puszkę i posłał ją kopniakiem w powietrze, aż rozprysnęło się piwo.

Na stole w kuchni leżały trzy aparaty fotograficzne, które przygotowywał do pracy, zanim wyszedł na podwórze, żeby upiec stek na ruszcie. Pochwycił jeden z nich i odwrócił się; pomyślał wtedy o Molly. Doszedł do wniosku, że powinien

zawiadomić ją o tym, co się tu dzieje. Tamten mężczyzna stwierdził, że wszyscy przybyli z przyszłości, gdyby więc miało się to okazać prawdą, dobrze by było wprowadzić Molly w sprawę od samego początku. Rzecz jasna, wcale nie wierzył w tę historię, mimo to uważał zaistniałą sytuację za dość zabawną.

Podszedł do telefonu i nakręcił numer. Mruknął coś pod nosem. Tracił czas, podczas gdy powinien zająć się robieniem zdjęć. Molly mogło nie być w domu. Należało się nawet spodziewać, że tej pogodnej niedzieli nie będzie siedziała w mieszkaniu.

Podniosła jednak słuchawkę.

— Molly, tu Bentley. Wiesz, gdzie mieszkam?

— W Wirginii. Chwilowo nieodpłatnie zajmujesz dom Joego podczas jego nieobecności.

— Co nie znaczy, że mi się to podoba. Muszę utrzymywać tu wszystko w czystości. Wiesz, ile Edna ma kwiatów...

— Ha! — zakrzyknęła Molly.

— Dzwonię, żeby poprosić cię, byś tu przyjechała.

— Nie. Jeśli sądziłeś, że dam się nabrać na twoje umizgi, to skreśl mnie z listy.

— Nie miałem zamiaru do nikogo się umizgiwać — zaoponował Bentley. — Utworzyły się drzwi i wychodzą z nich ludzie. Zapełnili całe podwórko na tyłach domu. Utrzymują, że pochodzą z przyszłości odległej o pięćset lat.

— To niemożliwe — stwierdziła Molly.

— Ja też tak uważam. Ale skąd się w takim razie biorą? Jest ich już z tysiąc. Tak czy inaczej, będziesz miała dobry materiał, nawet jeśli nie są z przyszłości. Więc lepiej rusz swój tyłeczek, skarbie, i porozmawiaj z kilkoma z nich. Masz okazję umieścić

swoje nazwisko we wszystkich porannych gazetach.

— Czy z tobą wszystko w porządku, Bentley?

— Oczywiście. Nie jestem pijany, nie próbuję cię podstępnie zwabić ani...

— Dobra. Zaraz tam będę. Lepiej zadzwoń też do agencji. W tym tygodniu Manning miał osobiście napisać niedzielny artykuł. Na pewno nie jest szczęśliwy z tego powodu, zachowaj więc ostrożność w rozmowie z nim. Sądzę, że będzie chciał przysłać na miejsce kogoś ze swoich ludzi. O ile nie jest to zwykły kawał...

— To nie kawał — przerwał Bentley. — Nie jestem na tyle głupi, żeby robić kawały, przez które mógłbym stracić pracę.

— Do zobaczenia — rzuciła Molly i odłożyła słuchawkę.

Bentley zaczął wykręcać numer agencji, kiedy stuknęły drzwi od podwórza. Obejrzał się i ujrzał wysokiego, chudego mężczyznę, tego samego, z którym wcześniej rozmawiał.

— Wybacz pan — odezwał się tamten — ale mam, jak sądzę, sprawę nie cierpiącą zwłoki. Niektórzy malcy muszą skorzystać z łazienki. Czy nie byłby pan...

— Proszę bardzo — odparł Bentley, wskazując kciukiem drzwi do łazienki. — Jeśli zajdzie potrzeba, jest tu jeszcze jedna, na piętrze.

Manning podniósł słuchawkę dopiero po szóstym sygnale.

— Mam tu świetny materiał — rzucił Bentley.

— Tu? To znaczy gdzie?

— W domu Joego, gdzie teraz mieszkam.

— Świetnie. I co z tego?

— Nie jestem reporterem — powiedział Bentley. — Nie spodziewasz się chyba, że napiszę artykuł. Mogę jedynie zrobić zdjęcia. To obszerny materiał, pewnie narobiłbym masę błędów,

a poza tym nie płacą mi za to...

— Dobra — rzekł znużonym głosem Manning. — Spróbuję znaleźć kogoś i podesłać na miejsce. Jest niedziela, godziny nadliczbowe, więc lepiej, żeby to był naprawdę dobry materiał.

— Na podwórzu za domem mam tysiąc osób, które wyszły przez śmieszne drzwi. Twierdzą, że pochodzą z przyszłości...

— Twierdzą, że skąd pochodzą?! — ryknął Manning.

— Z przyszłości. Odległej o pięćset lat.

— Schlałeś się, Bentley...

— Nie mam zamiaru cię przekonywać, jak bardzo mnie obchodzi twoje zdanie — odparł Bentley. — To nie moja działka. Zawiadomiłem cię. Zrobisz, jak uważasz.

Odwiesił słuchawkę i sięgnął po aparat fotograficzny.

Przez drzwi kuchenne wlewał się do środka nieprzerwany strumień dzieci, pilnowanych przez kilkoro dorosłych.

— Proszę pani — zwrócił się Bentley do jednej z kobiet. — Na piętrze jest druga łazienka. Lepiej uformujcie podwójną kolejkę.

.. 2 ..



Steve Wilson, rzecznik prasowy Białego Domu, zbierał się do wyjścia z mieszkania, ciesząc się na myśl o spędzeniu popołudnia ze swą sekretarką, Judy Gray, gdy zadzwonił telefon. Zawrócił i podniósł słuchawkę.

— Mówi Manning — zabrzmiał głos.

— Czym mogę ci służyć, Tom?

— Czy masz włączone radio?

— Skąd, do diabła?! Dlaczego miałbym teraz słuchać radia?

— Dzieje się coś niesamowitego — odparł Manning. — Chyba powinieneś o tym wiedzieć. Wygląda na to, że mamy inwazję.

— Inwazję?!

— Może nie dosłownie. Nie wiadomo skąd pojawiają się ludzie. Twierdzą, że przybywają z przyszłości.

— Posłuchaj. Jeśli to jakiś kawał...

— Też tak myślałem — przerwał Manning — kiedy Bentley zadzwonił do mnie...

— Bentley Price? Ten zapijaczony fotoreporter?

— Ten sam. Ale nie był pijany. Nie tym razem. Zbyt wczesna pora. Na miejscu jest już Molly, wysłałem również innych. Są także ludzie z AP i...

— Gdzie to się dzieje?

— Jedno z miejsc znajduje się zaraz na drugim brzegu rzeki.

Niedaleko Falls Church.

— Jedno z miejsc?

— Są jeszcze inne. Mamy doniesienia z Bostonu, Chicago, Minneapolis. AP przedstawia właśnie reportaż z Denver...

— Dzięki, Tom. Jestem twoim dłużnikiem.

Odłożył słuchawkę, przeszedł przez pokój i włączył radio.

— ...do tej pory wiadomo — rozległ się głos sprawozdawcy. — Jednak ludzie nadal wychodzą z czegoś, co pewien człowiek, widzący to, nazwał dziurą w krajobrazie. Wychodzą piątkami i szóstkami, niczym maszerująca armia, ramię przy ramieniu, tworząc nie kończący się strumień. Tak to wygląda w Wirginii, tuż za rzeką. Otrzymujemy podobne doniesienia z Bostonu, z obszaru Nowego Jorku, Minneapolis, Chicago, Denver, Nowego Orleanu, Los Angeles. Wszędzie miejsca te znajdują się nie w samych miastach, lecz na peryferiach. Otrzymałem w tej chwili kolejny meldunek, tym razem z Atlanty.

Brzmiący do tej pory pewnie głos spikera załamał się na moment, zdradzając niezwykle podniecenie.

— Nikt nie wie, kim są ci ludzie, skąd przybywają ani jakim sposobem przedostają się do nas. Pojawiają się jakby znikąd i wkraczają do naszego świata. Są ich tysiące i z każdą minutą ich liczba rośnie. Można to nazwać inwazją, chociaż nie ma ona charakteru militarnego. Przybysze nie są uzbrojeni. Zachowują się cicho i spokojnie. Nikogo nie napastują. Jedna z nie potwierdzonych informacji głosi, że przybywają z przyszłości, chociaż wydaje się to niemożliwe...

Wilson ściszył radio i podszedł z powrotem do telefonu.

Centrala Białego Domu zgłosiła się natychmiast.

— To ty, Delia? Mówi Steve. Gdzie jest prezydent?

— Uciął sobie drzemkę.

— Czy możesz wysłać kogoś, żeby go obudził? Powiedźcie mu, żeby włączył radio. Zaraz u was będę.

— Co się dzieje, Steve? Co...

Przerwał połączenie i nakręcił inny numer. Po chwili słuchawkę podniosła Judy.

— Czy coś się stało, Steve? Właśnie kończę pakować prowiant na piknik. Chyba nie chcesz powiedzieć...

— Nici z pikniku, kochanie. Wracamy do pracy.

— W niedzielę?!

— Czasami trzeba i w niedzielę. Mamy kłopoty. Zaraz podjadę po ciebie. Wyjdź przed dom i czekaj na mnie.

— Cholera! — syknęła. — A co z moimi planami? Miałam zamiar posiąść cię na tonie natury, na trawie, w cieniu drzew.

— Będę cierpiał katusze do końca dnia — odparł Wilson — myśląc o tym, co straciłem.

— Dobra, Steve. Będę czekała.

Podszedł do radia i nastawił je głośniej.

— ...uciekają z przyszłości przed czymś, co ma się wydarzyć w ich przyszłości. Uciekają do nas, do naszych czasów. Oczywiście, podróże w czasie nie są możliwe, a jednak ci wszyscy ludzie skądś musieli do nas przybyć...



Samuel J. Henderson stał przy oknie, spoglądając na tonący w jaskrawych promieniach letniego słońca różany ogród.

“Dlaczego, do diabła, takie rzeczy muszą się dziać w niedzielę, kiedy wszyscy mają wolne i tak trudno zebrać jakikolwiek zespół? — pomyślał. — W niedzielę wybuchły zamieszki w Chinach, także w niedzielę zaczął się przewrót w Chile, a teraz znowu to, czymkolwiek to jest.”

Zadzwieczył brzęczyk interkomu. Henderson odwrócił się od okna, podszedł do biurka i wcisnął przycisk.

— Sekretarz obrony na linii — powiedziała sekretarka.

— Dziękuję, Kim.

Podniósł słuchawkę telefonu.

— Jim, mówi Sam. Słyszałeś już?

— Tak, panie prezydencie. Właśnie przed chwilą się dowiedziałem. Z radia. Tylko tyle, ile podali.

— Wiem dokładnie tyle samo, ale nie ulega wątpliwości, że musimy coś zrobić. I to szybko. Trzeba opanować sytuację.

— Wiem. Musimy się nimi zaopiekować. Schronienie, żywność.

— To robota dla sił zbrojnych, Jim. Tylko armia może się przemieszczać wystarczająco szybko. Trzeba znaleźć dla nich jakiś dach nad głową i nie pozwalać im się rozpraszać. Musimy

rozciągnąć nad nimi kontrolę, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki nie dowiemy się, o co im chodzi.

— Może zaistnieć potrzeba włączenia do akcji gwardii narodowej.

— Sądzę, że powinniśmy uruchomić gwardię — rzekł prezydent. — Wykorzystaj wszystkie siły, jakimi dysponujemy. Zbudujcie miasteczka namiotowe. Co z transportem i żywnością?

— Przez kilka dni, może nawet przez tydzień, powinniśmy dać sobie radę. Wszystko zależy od tego, ilu ich jest. Ale w najbliższym czasie będziemy potrzebowali pomocy. Opieka społeczna. Farmerzy. Przydadzą się każde ręce. Trzeba będzie zaangażować masę ludzi i sprzętu.

— Musisz dać nam trochę czasu — odparł prezydent. — Przynajmniej tyle, żebyśmy mogli zapoznać się z sytuacją. Będziesz musiał działać, opierając się na rezerwach rządowych, dopóki nie stworzymy jakiegoś planu. Nie zwracaj zbytnej uwagi na sprawy proceduralne. Jeśli trafisz na jakąś poważną przeszkodę, zajmę się tym osobiście. Porozmawiam z pewnymi ludźmi. Może uda mi się zebrać odpowiedni zespół jeszcze dziś późnym popołudniem czy nawet wieczorem. Ty odezwałeś się pierwszy. Reszta gabinetu nie skontaktowała się jeszcze ze mną.

— A co z CIA i FBI?

— Domyślam się, że także podejmą jakieś kroki. Nie odezwali się jeszcze. Przypuszczani, że wkrótce przedstawią swoje raporty.

— Czy ma pan jakiś pomysł, panie prezydencie?

— Żadnego. Dam ci znać, jak tylko coś się wyjaśni. Kiedy wydasz pierwsze najważniejsze dyspozycje, odezwij się. Będę cię potrzebował, Jim.

— Natychmiast zabieram się do roboty.

— Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Ponownie zabrzączał interkom.

— Przyszedł Steve — oznajmiła sekretarka.

— Wpuść go.

W drzwiach stanął Steve Wilson.

Henderson wskazał mu dłonią fotel.

— Siadaj, Steve. Masz coś nowego?

— Rozprzestrzenia się, panie prezydencie. Całe Stany Zjednoczone i Europa. Także Kanada. Kilka punktów w Ameryce Południowej. Rosja, Singapur, Manila. Na razie żadnych doniesień z Chin i Afryki. Dotychczas brak jakiegokolwiek wyjaśnienia. To niesamowite. Niewiarygodne. Skłonny byłbym stwierdzić, że coś podobnego po prostu nie mogło się zdarzyć. A jednak. Właśnie dzisiaj.

Prezydent zdjął okulary, położył je na biurku i zaczął przesuwać je tam i z powrotem.

— Rozmawiałem z Sandburgiem. Armia będzie musiała zapewnić im schronienie, nakarmić ich i roztoczyć nad nimi opiekę. Jaką zapowiadają pogodę?

— Nie sprawdzałem — odparł Wilson — ale, o ile dobrze pamiętam poranną prognozę, w całym kraju ma być pogodnie z wyjątkiem północno—zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Tam pada. Zresztą, tam zawsze pada.

— Próbowałem złapać sekretarza stanu — powiedział prezydent. — Ale jego nigdy, do diabła, nie ma na miejscu. Williams wyjechał do Burning Tree. Zostawiłem wiadomość. Ktoś ma go stamtąd ściągnąć. Dlaczego zawsze wszystko musi się zaczynać w niedzielę? Przypuszczam, że dziennikarze już się zbierają.

— Owszem, korytarz się zapełnia. Za godzinę zaczną łomotać

do drzwi. Będę zmuszony wpuścić ich do sali, może dam radę ich trochę przetrzymać. Ale najpóźniej o szóstej trzeba by przedstawić im jakieś oświadczenie.

— Powiedz, że staramy się rozwiązać problem, że badamy sytuację. Możesz także przekazać, że wojsko wyruszyło już, by nieść pomoc tym ludziom. Zaakcentuj pomoc. Nie internujemy ich, lecz niesiemy pomoc. Niewykluczone, że do akcji zostanie włączona gwardia narodowa. Decyzja należy do Jima.

— Możliwe, panie prezydencie, że w ciągu najbliższej godziny czy dwóch dowiemy się czegoś więcej.

— Możliwe. Czy przychodzi ci do głowy jakieś wyjaśnienie, Steve?

Rzecznik prasowy pokręcił głową.

— No cóż, musimy czekać. Myślę, że wkrótce będzie chciało skontaktować się ze mną wiele osób. Wydaje się niemożliwe, żebyśmy siedzieli tu, nie wiedząc o niczym.

— Prawdopodobnie będzie musiał pan wystąpić w telewizji, panie prezydencie. Ludzie liczą na to.

— Ja też tak uważam.

— Powiadomię wszystkie sieci.

— Powinienem nawiązać łączność z Londynem i Moskwą. Prawdopodobnie także z Pekinem i Paryżem. Wszyscy tkwimy w tym po uszy, musimy więc działać wspólnie. Williams, jak tylko się odezwie, powinien zdecydować o współdziałaniu. Chyba dobrze będzie też zadzwonić do Hugh'a z Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zobaczymy, co on o tym sądzi.

— Ile z tego można przekazać prasie, panie prezydencie?

— Tylko o oświadczeniu w telewizji. Resztę zachowajmy na razie w tajemnicy. Czy nie masz żadnych danych co do ilości przybywających ludzi?

— UPI podała przybliżone obliczenia. Dwanaście tysięcy w ciągu godziny. W jednym punkcie. Możemy się spodziewać na naszym obszarze stu przejść. Ta liczba nie jest ostateczna.

— Na miłość boską! — jęknął prezydent. — Milion w ciągu godziny. W jaki sposób świat sobie z nimi poradzi? I tak mamy już przeludnienie. Nie znajdziemy dla nich schronienia, nie starczy żywności. Jak myślisz, dlaczego przybywają właśnie do nas? Jeśli pochodzą z przyszłości, powinni mieć jakieś dane historyczne. Chyba zdają sobie sprawę, jakim problemem jest ich pojawienie się.

— Coś ich do tego zmusiło — odparł rzecznik. — To wygląda na desperacką ucieczkę. Na pewno wiedzieli, że nasze możliwości zaopiekowania się nimi i udzielenia pomocy są bardzo ograniczone. To musiała być dla nich sprawa życia i śmierci.

— Dzieci naszych dzieci — rzekł prezydent. — Nasi dalecy potomkowie. Jeżeli rzeczywiście przybywają z przyszłości, są naszymi prawnukami. Nie możemy odwrócić się do nich plecami.

— Mam nadzieję, że wszyscy podejną do sprawy w ten sam sposób — wtrącił Wilson. — Jeśli ludzie będą przybywali dalej, doprowadzą do zapaści gospodarczej, a w obliczu biedy zaczną narastać niechęć do nich. Zwykliśmy mówić o przepaści dzielącej pokolenia. Proszę pomyśleć, jak wielka musi być przepaść, która dzieli nie dwa pokolenia, ale znacznie więcej.

— Oby Kościół zechciał się do tego przyłączyć — westchnął prezydent. — W przeciwnym razie możemy mieć poważne kłopoty. Wystarczy, że jeden wygadany kaznodzieja zacznie grzmieć z ambony.

Wilson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ma pan na myśli Billingsa, panie prezydencie? Jeśli uzna pan to za właściwe, mogę się z nim skontaktować. Znamy się jeszcze z czasów studenckich. Spróbuję go przekonać, chociaż nie wiem, czy wyniknie z tego cokolwiek dobrego.

— Zrób, co w twojej mocy — powiedział prezydent. — Postaraj się wytłumaczyć mu wszystko. Jeśli okaże się niezbyt rozsądny, znajdziemy kogoś, kto potrafi go mocniej przycisnąć. Najbardziej niepokoją mnie jednak ludzie żyjący z zasiłku. Podniosą krzyk, że odejmujemy im od ust, żeby nakarmić dodatkowe miliony. Trzeba będzie nieźle schodzić nogi, by utrzymać ich w ryzach. Związki zawodowe także mogą szumieć z powodu taniej siły roboczej, ale tam siedzą trzeźwo myślący ludzie. Dogadamy się z nimi. Znają się na ekonomii, więc chyba znajdziemy wspólnie jakieś sensowne rozwiązanie.

Interkom zabrzączał po raz kolejny. Prezydent wcisnął przycisk.

— Sekretarz Williams na linii, panie prezydencie.

Wilson podniósł się z fotela. Prezydent spojrzał na niego, sięgając po słuchawkę.

— Bądź w kontakcie — powiedział.

— Oczywiście, panie prezydencie — odparł Wilson.



Wszystkie lampki na pulpicie centralki telefonicznej mrugały rytmicznie. Judy mówiła cicho do mikrofonu. Cały bok jej biurka oblepiony był karteczkami z notatnika.

Kiedy Wilson wszedł do biura, skończyła rozmowę. Światelka nadal mrugały.

— W korytarzu czeka tłum — powiedziała. — Jest jedna pilna wiadomość. Tom Manning ma coś dla ciebie. Mówił, że to ważne. Czy mam do niego zadzwonić?

— Nie, rób swoje — odparł Wilson. — Sam się z nim połączę.

Usiadł za swoim biurkiem, przysunął bliżej telefon i nakręcił numer agencji.

— Tom? Tu Steve. Judy twierdzi, że masz coś ważnego.

— Chyba tak. Molly znalazła kogoś. Wszystko wskazuje na to, że jest on przywódcą grupy z Wirginii. Nie mam pojęcia, czy dysponuje jakimikolwiek dokumentami potwierdzającymi jego pozycję. Chodzi o to, że chce rozmawiać z prezydentem. Twierdzi, że może wszystko wyjaśnić. Właściwie nawet nalega, by pozwolić mu udzielić wyjaśnień.

— Czy powiedział coś Molly?

— Niewiele. Nic ważnego. Zachowuje tajemnicę.

— I chce rozmawiać tylko z samym prezydentem?

— Tak twierdzi. Nazywa się Maynard Gale. Towarzyszy mu

córka o imieniu Alice.

— W takim razie poproś Molly, żeby sprowadziła ich tutaj. Pod tylną bramę, nie od frontu. Powiadomię wartowników. Zobaczymy, co da się zrobić.

— Jest tylko jeden warunek, Steve.

— Jaki?

— Molly znalazła tego faceta. Nikogo do niego nie dopuszcza. Należy jej się prawo pierwszeństwa.

— Nie — odparł Wilson.

— Tak — nalegał Manning. — Ona już w tym siedzi, nie może być inaczej. Do cholery, Steve, to przecież normalna transakcja. Nie możesz od nas żądać, żebyśmy wypuścili go z rąk. Bentley pierwszy go namierzył, a Molly wyciągnęła z niego informacje.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, że spełnienie twojego warunku doprowadziłoby mnie do ruiny. Inne agencje prasowe, "Times", "Post" i cała reszta...

— Możesz podać to w oświadczeniu — rzekł Manning. — Otrzymałeś informację, a my chcemy tylko wyłączności na wywiad z Gale'em. Przynajmniej tyle jesteś nam winien, Steve.

— Mógłbym zaznaczyć w oświadczeniu, że to pracownicy Global znaleźli tego człowieka — stwierdził Wilson. — Wszystkie zaszczyty z tego tytułu spłynęłyby na was.

— A co z wyłącznością na wywiad?

— Macie tego człowieka. Zróbcie z nim wywiad, a potem przywieźcie go tutaj. Zyskacie w ten sposób przewagę. Nawet gdyby bardzo mi się to nie podobało, Tom, nie będę w stanie zrobić nic, żeby was powstrzymać.

— Ale on nie chce nic powiedzieć, dopóki nie spotka się z prezydentem. Mógłbyś przekazać go nam z powrotem, kiedy skończycie rozmowy.

— Nie mamy nad nim żadnej władzy. Przynajmniej w tej chwili. Nie mamy żadnego prawa przekazywać go w czyjekolwiek ręce. Poza tym, skąd wiesz, że naprawdę jest tym, za kogo się podaje?

— Oczywiście, nie mam pewności — odparł Manning. — Ale on może wyjaśnić, co się dzieje. Sam przecież bierze w tym udział. Ma informacje, które chcielibyśmy zdobyć. Nie będziesz musiał mu płacić za ich udzielenie. Po prostu wysłuchaj go, a potem sam ocenisz.

— Nie mogę ci nic obiecać, Tom. Dobrze wiesz, że nie mogę. Jestem wręcz zaskoczony, że o to prosisz.

— Zadzwoń do mnie, kiedy wszystko przemyślisz — powiedział Manning.

— Nie. Poczekaj chwilę, Tom.

— Tak, słucham.

— Nie sądzisz, że stąpasz po grząskim gruncie? Zatajasz informacje najwyższej wagi.

— Ja nie mam żadnych informacji.

— A więc ukrywasz źródło informacji najwyższej wagi. W grę może wchodzić dobro narodowe. A poza tym przetrzymujecie człowieka wbrew jego woli.

— Nikt go nie przetrzymuje. Sam się do nas przykleił. Doszedł do wniosku, że tylko my możemy doprowadzić go prosto do Białego Domu.

— Zatem powstrzymujecie go, odmawiacie udzielenia pomocy, której potrzebuje. Nie jestem pewien, rzecz jasna, ale myślę, że macie do czynienia z kimś w rodzaju ambasadora.

— Nie możesz mnie naciskać, Steve. Od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi...

— Pozwól, że coś ci powiem, Tom. Nie mogę na to przystać bez

względu na naszą przyjaźń. Wydaje mi się, że w ciągu godziny zdołałbym uzyskać wszelkie rządowe pełnomocnictwa.

— Chyba nie posunąłbyś się do tego.

— Lepiej porozmawiaj ze swoim adwokatem. Będę czekał na wiadomość od ciebie.

Rzucił słuchawkę na widełki i wstał zza biurka.

— O co mu chodziło? — zapytała Judy.

— Tom próbował się ze mną targować.

— Dość ostro go potraktowałeś.

— Do cholery, Judy! Musiałem. Gdybym się ugiął... Nie wolno mi przystawać na żadne warunki. W tej pracy nie może być mowy o układach.

— Ci na korytarzu zaczynają się niecierpliwić, Steve.

— Dobra. Lepiej wpuść ich na salę.

Weszli pośpiesznie, zachowując spokój, i zajęli swoje miejsca. Judy zamknęła za nimi drzwi.

— Czy masz coś dla nas, Steve? — zapytał reporter z AP.

— Żadnego oświadczenia — odparł Wilson. — W zasadzie nie mam zupełnie nic. Myślę, że mogę powiedzieć tylko tyle, że dam wam znać, kiedy otrzymam jakieś informacje. Nie dalej jak pół godziny temu prezydent wiedział dokładnie tyle samo co wy. Później, kiedy tylko zdobędziemy jakieś wiarygodne dane, będę w stanie przekazać wam oficjalne stanowisko rządu. W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że siły zbrojne zajmą się wszystkim, by zapewnić tym ludziom dach nad głową, dostarczą im pożywienie i udzielą wszelkiej niezbędnej pomocy. To są działania doraźne. Później ma powstać bardziej szczegółowy plan, prawdopodobnie obejmujący także wiele instytucji cywilnych.

— Czy dotarły jakieś informacje — zapytał dziennikarz z "Washington Post" — mówiące, kim są nasi goście?

— Absolutnie żadne — odparł Wilson. — Nie wiemy nic konkretnego. Ani kim są, ani skąd przybywają, ani po co i w jaki sposób się tu znaleźli.

— Nie wierzysz w bajeczkę, że przybywają z przyszłości?

— Tego nie powiedziałem, John. Po prostu nic nie wiemy.

— Panie Wilson — odezwał się dziennikarz z "New York Timesa" — czy został nawiązany kontakt z kimś spośród gości, kto mógłby wyjaśnić pewne fakty? Czy zainicjowano rozmowy z tymi ludźmi?

— Dotychczas nie.

— Czy można wnioskować z pańskiej odpowiedzi, że takie rozmowy będą prowadzone?

— W chwili obecnej jest jeszcze za wcześnie na podobne wnioski. Oczywiście, rząd chciałby dowiedzieć się jak najwięcej o zaistniałej sytuacji, ale proszę nie zapominać, że wszystko zaczęło się niewiele ponad godzinę temu. Po prostu nie mieliśmy czasu, żeby poczynić jakieś kroki. Sądzę, że wszyscy państwo doskonale to rozumieją.

— Spodziewa się pan jednak, że jakieś rozmowy będą prowadzone?

— Mogę tylko powtórzyć, że rząd chciałby dowiedzieć się jak najwięcej o zaistniałej sytuacji. Myślę, że prędzej czy później będziemy musieli przeprowadzić rozmowy z tymi ludźmi. Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek konkretnych zamierzeniach, ale pierwszym logicznym posunięciem powinny być takie właśnie rozmowy. Zdaję sobie sprawę, że wielu dziennikarzy zapewne kontaktowało się już z nimi i może wiedzieć więcej od nas.

— Próbowaliśmy — wtrącił reporter z UPI — ale niewiele można z nich wyciągnąć. Wygląda na to, że zostali zobowiązani do zachowania tajemnicy. Powtarzają tylko, że pochodzą

z odległej o pięćset lat przyszłości, przepraszają za najście i wyjaśniają, że konieczność wkroczenia do naszego świata była dla nich sprawą życia i śmierci. To wszystko. Nic więcej nie da się z nich wyciągnąć. Ciekaw jestem, Steve, czy prezydent wystąpi przed kamerami.

— Sądzę, że tak, chociaż nie umiem powiedzieć kiedy. Przekażę wam bezzwłocznie, gdy tylko wyznaczona zostanie godzina transmisji.

— Panie Wilson — odezwał się dziennikarz "Timesa" — proszę powiedzieć, czy prezydent ma zamiar porozumieć się z Londynem, Moskwą i innymi rządami.

— Będę mógł wypowiedzieć się na ten temat, kiedy prezydent skontaktuje się z sekretarzem stanu.

— To znaczy, że nie rozmawiał jeszcze z sekretarzem?

— Myślę, że porozumiał się już do tej pory. Proszę dać mi jeszcze godzinę. Możliwe, że wówczas będę miał coś konkretnego. W chwili obecnej mogę jedynie zapewnić wszystkim państwa, że postaram się udzielać wszelkich informacji w miarę rozwoju sytuacji.

— Panie rzeczniku — zabrał głos reporter z "Chicago Tribune".

— Sądzę, iż rząd zdaje sobie sprawę, że przyrost ludności w tempie dwa i pół miliona na godzinę...

— Pańskie dane różnią się od moich — przerwał mu Wilson.

— Ostatnie obliczenia wskazywały na nieco ponad milion na godzinę.

— Do tej pory wiemy o istnieniu około dwustu tuneli czy też przejść, czy jak byśmy to nazwali — rzekł reporter. — Nawet jeśli nie otworzą się następne, w ciągu doby na Ziemię przybędzie ponad miliard ludzi. Moje pytanie brzmi: w jaki sposób Ziemia będzie mogła wyżywić tak bardzo zwiększoną nagle populację?

— Rząd doskonale zdaje sobie sprawę z tego problemu — odparł Wilson. — Czy to wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie?

— Tylko częściowo. W jaki sposób proponuje się go rozwiązać?

— To będzie wymagało licznych konsultacji — rzekł sztywno Wilson.

— Mam rozumieć, że nie chce pan odpowiedzieć na pytanie?

— Proszę zrozumieć, w chwili obecnej nie potrafię na nie odpowiedzieć.

— Rodzi się kolejne, podobne pytanie — wtrącił dziennikarz z gazety "Los Angeles Times" — związane z wysoko rozwiniętą nauką i techniką, jakie muszą istnieć w odległej o pięćset lat przyszłości. Czy rozważano tę kwestię?

— Nie, jeszcze nie — stwierdził Wilson.

Wysłannik "New York Timesa" podniósł się z fotela.

— Panie Wilson — rzekł. Odnoszę wrażenie, że wybiegamy zbyt daleko w przyszłość. Możliwe, że po jakimś czasie będzie pan mógł udzielić odpowiedzi na niektóre z tych pytań.

— Mam taką nadzieję, proszę państwa — odparł Wilson.

Wstał i przez chwilę przyglądał się dziennikarzom opuszczającym salę.

.. 5 ..



Armia natknęła się na pierwsze przeszkody.

Porucznik Andrew Shelby zadzwonił do majora Marcela Burnsa.

— Nie jestem w stanie utrzymać tych ludzi w jednym miejscu, sir — zameldował. — Są po prostu rozrywani.

— O czym ty, do diabła, mówisz, Andy? Rozrywani?

— Cóż, może nie w sensie dosłownym. Zabierają ich okoliczni mieszkańcy. Przed chwilą byłem w dużym domu, gdzie przebywało dwadzieścioro lub nawet więcej przybyszów. Rozmawiałem z właścicielem. Powiedziałem mu, że musimy trzymać ich razem, że nie można dopuścić, by się rozproszyli, że mam rozkaz załadować ich na samochody i zawieźć w miejsce, gdzie będą mieli schronienie i żywność. A on mi mówi: "Poruczniku, niech się pan nie martwi o tych przybyszów, jeśli schronienie i żywność dla nich to jedyne pańskie zmartwienie; są moimi gośćmi, mają tu dach nad głową i w bród jedzenia". To nie był odosobniony przypadek. Pozostałe rodziny, mieszkające przy tej ulicy, także wybrały już sobie gości. Wszyscy chcą ich mieć pod swym dachem, zabierają przybyszów do domów. To jeszcze nie wszystko. Przyjeżdżają ludzie z całej okolicy i ładują ich do samochodów. Każdy chce się nimi opiekować. Prawdopodobnie rozproszyli się już po całym okręgu i nie jesteśmy w stanie nic na

to poradzić.

— Czy nadal wychodzą przez te drzwi, czy co to tam jest?

— Tak, sir. Wciąż wychodzą. Nie widać końca, jak na gigantycznej paradzie. Maszerują równym krokiem. Próbowałem zapanować nad sytuacją, ale rozłążą się, wciskają wszędzie, zabierają ich okoliczni mieszkańcy i nic nie można na to poradzić.

— Czy przetransportowaliście chociaż część z nich?

— Owszem, sir. Tak szybko, jak się dało.

— Co to są za ludzie?

— Zwyczajni, sir. O ile zdążyłem zauważyć, niczym nie różnią się od nas, tyle że mówią z dziwnym akcentem. Są też cudacznie ubrani. Niektórzy mają na sobie suknie, inni skórzane kurtki, jeszcze inni... Cholera, noszą wszelkie rodzaje ciuchów, jakby wracali z maskarady. Zachowują się spokojnie, są skorzy do współpracy. Nie mieliśmy z ich strony żadnych kłopotów. Tyle że jest ich tak dużo, o wiele więcej, niż jestem w stanie zabrać do obozu. Rozpraszają się, zresztą nie z własnej woli. Ludzie zapraszają ich do swoich domów. Są mili i przyjaźni, ale jest ich stanowczo za dużo.

Major westchnął.

— No cóż, róbcie swoje — powiedział. — Starajcie się jak najlepiej wykonać zadanie.

.. 6 ..



Lampki na pulpicie telefonicznym Judy zdawały się nie gasnąć ani na chwilę. W korytarzu tłoczyli się oczekujący dziennikarze. Wilson wstał zza biurka i podszedł do szeregu stukających teleksów.

Global News nadawała piąty z kolei serwis wiadomości.

WASZYNGTON (GN) — Miliony gości, którzy utrzymują, że pochodzą z odległej o pięćset lat przyszłości, dzisiejszego popołudnia nadal wkraczały nieprzerwanym strumieniem do naszego świata z ponad dwustu wyjść “tuneli czasowych”.

Pierwsze doniesienia wskazują, że tłumaczenie tych ludzi, jakoby przybywali z przyszłości, spotkało się generalnie z niedowierzaniem opinii publicznej. Jednak w chwili obecnej w oficjalnych oświadczeniach, płynących nie z Waszyngtonu, lecz ze stolic innych państw, coraz częściej pojawia się akceptacja takiego wyjaśnienia. Uchodźcy oprócz zapewnień, iż pochodzą z przyszłości, niechętnie udzielają jakichkolwiek informacji. Panuje powszechne przekonanie, że wkrótce uzyskane zostaną od nich jakieś dalsze szczegóły. Jak do tej pory wśród ogólnego zamieszania nie został znaleziony nikt, kogo można by nazwać przywódcą czy też rzecznikiem tłumów wylewających się z tuneli. Istnieją pewne przesłanki, że tego typu przywódca

powinien wkrótce ujawnić się i przedstawić nam obszernie wyjaśnienia. Wyloty tuneli znajdują się na całym świecie, doniesienia o nich napływają ze wszystkich kontynentów.

Nieoficjalne przybliżone dane mówią, że ze wszystkich tuneli wychodzi około dwóch milionów ludzi w ciągu godziny. Przy tym tempie...

— Steve — odezwała się Judy. — Tom Manning na linii.

Wilson podszedł do swego biurka.

— Czy zdobyłeś już obiecane pełnomocnictwa rządowe? — zapytał Manning.

— Jeszcze nie. Dałem ci czas.

— No cóż, możesz zacząć się o nie starać w każdej chwili. Nasz adwokat twierdzi, że masz takie prawo.

— Nie sądzę, żeby były mi potrzebne.

— Jeśli mam być szczery, to nie będą. Molly jest już w drodze. Zabrała Gale'a i jego córkę. Będzie u was mniej więcej za dwadzieścia minut, zależnie od nasilenia ruchu. Robi się coraz większy tłok, ściągają turyści, suną bez przerwy kolumny transportów wojskowych.

— Muszę ci coś powiedzieć, Tom — wtrącił Wilson. — Wiem, dlaczego zająłeś takie stanowisko. Ty po prostu musiałeś spróbować.

— Nie tylko, Steve.

— Jest jakiś inny powód?

— Gale co nieco powiedział Molly. Niewiele. Chciał jednak, żeby przekazała dalej jedną informację. Coś, co według niego nie może czekać.

— Co to za wiadomość?

— Prosił, żebyśmy ustawili przed wylotem każdego tunelu

czasowego działu dużego kalibru. Gdyby cokolwiek się zdarzyło, mamy strzelać wprost w tunel. Nie zwracać uwagi na wychodzących ludzi, tylko strzelać. Jeśli zajdzie potrzeba, mamy prowadzić ostrzał ciągły.

— Czy wiesz, o co chodzi?

— Nie chciał powiedzieć. Przekazałem ci wszystko, co wiem. Stwierdził jeszcze, że wybuch powinien zniszczyć tunel, zamknąć wyjście, położyć kres jego istnieniu. Nie mam zamiaru rozpowszechniać tej informacji. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Wilson rozłączył się i sięgnął po słuchawkę bezpośredniego telefonu prezydenckiego.

— Kim, czy mogę teraz się z nim zobaczyć? — zapytał.

— Rozmawia przez telefon. Oczekują kolejni rozmówcy, poza tym ma gości w gabinecie. Czy to bardzo ważne, Steve?

— Niezwykle. Muszę się zaraz z nim zobaczyć.

— Przyjdź, spróbuję znaleźć dla ciebie chwilę.

Wilson odwrócił się.

— Judy, Molly Kimball ma podjechać pod tylną bramę. Będzie z nią dwoje przybyszów.

— Powiadomię wartowników i ochronę — odpowiedziała Judy. — Gdzie mam ich skierować?

— Jeśli nie wrócę do tego czasu, wyślij ich do Kim.



Na szerokiej sofie naprzeciw biurka prezydenta siedzieli Sandburg, sekretarz obrony, oraz Williams, sekretarz stanu. Reilly Douglas, prokurator generalny, zajął fotel w rogu gabinetu. Wszyscy trzej powitali wchodzącego Wilsona skinieniem głowy.

— Wiem, Steve — odezwał się prezydent — że przychodzisz z jakąś ważną wiadomością. — W jego głosie brzmiała nagana.

— Tak sędzę, panie prezydencie — odparł Wilson. — Molly Kimball jedzie do nas z przybyszem, który twierdzi, że jest rzecznikiem przynajmniej jednej grupy wychodzącej w Wirginii. Pomyślałem, że będzie chciał się pan z nim spotkać, panie prezydencie.

— Siadaj, Steve — rzekł prezydent. — Co wiesz o tym człowieku? Naprawdę jest przedstawicielem tej grupy? Legitymuje się jakimiś dokumentami?

— Nie wiem. Spodziewam się, że ma coś na potwierdzenie swojej pozycji.

— W każdym razie powinniśmy wysłuchać tego, co ma nam do powiedzenia — wtrącił sekretarz stanu. — Na miłość boską, do tej pory nikt nie był w stanie powiedzieć nic konkretnego.

Wilson przysunął fotel do prokuratora generalnego i usiadł.

— Ten człowiek sugeruje — powiedział — żebyśmy ustawili armaty przed wylotem każdego tunelu czasowego, i to jak

najszybciej.

— Czy to znaczy, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo? — zapytał sekretarz obrony.

Wilson pokręcił głową.

— Nie wiem. Nie podał żadnych szczegółów. Powiedział tylko, że gdyby cokolwiek się wydarzyło, powinniśmy wystrzelić wprost w wylot tunelu. Nawet jeśli będą tam ludzie. Mamy nie zważać na nic, tylko strzelać. Stwierdził, że w ten sposób tunel powinien przestać istnieć.

— Co się może wydarzyć? — zapytał Sandburg.

— Tom Manning przekazał informację uzyskaną przez Molly. Cytował przybysza, który powtarzał, że dowiemy się wszystkiego. Mam wrażenie, iż chodzi jedynie o środki ostrożności. Ten człowiek będzie tu za kilka minut i osobiście wyjaśni szczegóły.

— Co o tym sądzicie, panowie? — zwrócił się prezydent do obecnych. — Czy mamy spotkać się z tym człowiekiem?

— Myślę, że tak — odezwał się Williams. — Nie jest to sprawa protokołu, ponieważ w zaistniałej sytuacji trudno mówić o jakimkolwiek protokole dyplomatycznym. Nawet jeśli ten człowiek nie jest tym, za kogo się podaje, może nam udzielić pewnych informacji, a przecież jak do tej pory nie wiemy nic pewnego. Przecież nie musimy traktować go jak ambasadora czy oficjalnego reprezentanta tych ludzi. Będziemy mogli sami ocenić, na ile jego wyjaśnienia okażą się cenne.

Sandburg posępnie skinął głową.

— Sądzę, że powinniśmy się z nim zobaczyć.

— Nie podoba mi się tylko, że przywiezie go ktoś z prasy — odezwał się prokurator generalny. — Na pewno ten wysłannik będzie żywo zainteresowany przebiegiem rozmów. Możemy

oczekiwać, że agencja zacznie naciskać, by podczas spotkania był obecny ktoś od nich.

— Znam Toma Manninga — wtrącił Wilson. — Jeśli chodzi o ścisłość, znam także Molly. Oni nie będą naciskać. Sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby przedstawiciel przybyszów powiedział wszystko Molly, ale nikomu nie zdradził ani słowa. Utrzymuje, że jedyną osobą, z którą może rozmawiać, jest prezydent.

— Postępowanie wysoce obywatelskie — mruknął prokurator generalny.

— Jeśli ma pan na myśli Manninga i Molly, to z pewnością tak — odparł Wilson. — Pańska opinia w tej sprawie może się różnić od mojej.

— Ostatecznie — powiedział sekretarz stanu — spotkanie to nie będzie miało charakteru oficjalnego, chyba że sami taki mu nadamy. Nie będziemy w ten sposób mieli związanych rąk.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o wysadzaniu tuneli w powietrze — rzekł sekretarz obrony. — Nie muszę chyba tłumaczyć wam, panowie, dlaczego mnie to zaniepokoiło. Sądzę, że wszystko jest w porządku, dopóki z tuneli wychodzą tylko ludzie. Co jednak zrobimy, jeśli zacznie stamtąd wyłazić coś innego?

— Na przykład co? — zapytał Douglas.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Sandburg.

— Jak poważne są twoje obiekcje, Reilly? — zwrócił się prezydent z pytaniem do prokuratora generalnego.

— Nie bardzo — odparł Douglas. — Po prostu reakcja prawnika na rzeczy niezwykłe.

— Sądzę zatem — oznajmił prezydent — że powinniśmy się z nim spotkać. — Popatrzył na Wilsona. — Czy wiesz może, jak

on się nazywa?

— Maynard Gale. Będzie mu towarzyszyć córka o imieniu Alice.

Prezydent skinął głową.

— Czy macie, panowie, czas, żeby uczestniczyć w tym spotkaniu?

Wszyscy przytaknęli.

— Ty także, Steve — dodał prezydent. — To przecież twoja zasługa.

.. 8 ..



Mieszkańcy wioski wiedzieli, co to głód, ale teraz głód im już nie groził. Oto bowiem w środku nocy stał się cud. Wysoko na niebie, wprost nad wioską, otwarło się sklepienie i zaczął lecieć stamtąd nieprzerwany strumień zboża. Pierwszy dostrzegł to kulawy, bezdomny chłopak, wałęsający się między chatami, równie kaleki na ciele, jak i na umyśle. Włóczył się nocą, cierpiąc na bezsenność, ciągnął za sobą sztywną nogę, wypatrując jakiegoś ochłapu, który mógłby ukraść i wepchnąć do ust, kiedy nagle w blasku księżyca dostrzegł ziarno spadające prosto z nieba. Przeraził się i chciał się rzucić do ucieczki, ale skręcający wnętrzości głód osadził go na miejscu. Nie miał pojęcia, co się dzieje, było to jednak coś zupełnie niespotykanego — coś, czym mógł się pożywić. Dlatego też nie uciekł. Mimo przerażenia zaczął brodzić w zbożu, później zaś, kiedy zrozumiał, co to takiego, rzucił się na ziemię i począł zgarniać pszenicę pod siebie. Zanurzył w niej twarz, napchał nią usta, z trudem łapiąc powietrze, pospiesznie przełykał na wpół pogryzione ziarna, krztusił się i dławił, lecz gdy tylko zdołał przełknąć wszystko, ponownie nabierał pełne usta zboża. Przeładowany, nieprzywykły do takiej ilości pokarmu żołądek w końcu nie wytrzymał, chłopak stoczył się ze sterty i legł na ziemi, targany konwulsyjnymi wymiotami.

Tam też znaleźli go później mieszkańcy wioski i odciągnęli na bok. W obliczu dokonującego się cudu, dostrzeżonego przez jednego z mężczyzn, który wyszedł nocą z chaty za potrzebą, nikt nie miał czasu zajmować się przygłupim, kalekim chłopakiem, nie będącym członkiem wspólnoty i ledwie tolerowanym przez społeczność wioski.

Wszyscy zostali natychmiast poderwani na nogi. Zaczęli ściągać z wiaderkami i miskami, żeby zająć się spadającym zbożem. Było go jednak o wiele więcej, niż dało się schować w chatach, więc starszyzna zebrała się na naradę. Wykopano wielkie jamy w ziemi, do których spychano pszenicę; nie był to najwłaściwszy sposób przechowywania drogiego daru, należało go jednak ukryć przed oczyma innych ludzi, a tylko tą metodą można było uczynić to szybko. W suchej, spalonej słońcem ziemi nie było odrobiny wilgoci grożącej zniszczeniem ziarna, można je więc było bezpiecznie zakopać, przynajmniej do czasu znalezienia lepszego sposobu jego przechowania.

Zboże jednak spadało z nieba nieprzerwanym strumieniem, w spalonej ziemi trudno było kopać, nie dało się więc ukryć sterty zboża, narastającej szybciej, niż mieszkańcy byli w stanie cokolwiek z nią zrobić.

A rankiem nadciągnęło wojsko, zepchnęło mieszkańców wioski i zaczęło wywozić zboże ciężarówkami.

Cud trwał nadal, ziarno sypało się prosto z nieba, lecz teraz ów cud zdecydowanie stracił na znaczeniu — nie tylko dla mieszkańców wioski, lecz także dla wielu innych ludzi.



— Domyślam się — powiedział Maynard Gale — że chcieliby panowie wiedzieć dokładnie, kim jesteśmy i skąd przybywamy.

— To byłby chyba najlepszy temat na początek — odparł prezydent.

— Jesteśmy jak najzwyklejszymi, normalnymi ludźmi z roku 2498, z waszej, odległej niemal o pięć wieków, przyszłości. Różnica czasu między wami i nami jest mniej więcej taka sama, jak różnica między amerykańskimi wyprawami Krzysztofa Kolumba a dniem dzisiejszym. Przybyliśmy tutaj za pośrednictwem tego, co — jak zdążyłem zauważyć — trafnie nazwaliście tunelami czasowymi. To dość dobra nazwa. Przetransportowaliśmy siebie poprzez czas, ale nie będę próbował wyjaśniać, jak to działa. Nawet gdybym chciał, nie potrafię. Nie rozumiem podstaw, może co najwyżej bardzo powierzchownie. O ile je rozumiem w ogóle. Wszystko, co mogę, to przedstawić bardzo nieadekwatne wyjaśnienia laika.

— Powiedział pan — rzekł sekretarz stanu — że przenieśliście się wstecz w czasie aż do chwili obecnej. Czy mogę zapytać, ilu ludzi miało zamiar odbyć tę podróż?

— Mam nadzieję, panie Williams, że przy sprzyjających warunkach wszyscy.

— To znaczy cała populacja? Macie zamiar uczynić wasz świat

w roku 2498 całkowicie bezludnym?

— Owszem, to nasza serdeczna nadzieja.

— Ile ludzi żyło na Ziemi?

— Dwa miliardy z dokładnością do kilku tysięcy. Jak sami panowie widzą, nasza populacja jest nieco mniejsza niż wasza obecnie. Później wyjaśnię...

— Ale dlaczego? — zapytał prokurator generalny. — Dlaczego to robicie? Chyba zdajecie sobie sprawę, że gospodarka naszego świata nie jest w stanie utrzymać jednocześnie waszej i naszej populacji. Tutaj, w Stanach Zjednoczonych, a także w kilku innych najbardziej rozwiniętych krajach świata będziemy mogli poradzić sobie z tą sytuacją przez jakiś czas. Damy radę, biorąc pod uwagę wyjątkową sytuację, zapewnić wam schronienie i wyżywić was, chociaż zużyjemy wszystkie nasze zapasy. W wielu rejonach Ziemi będzie to jednak absolutnie niemożliwe, nawet gdyby chodziło tylko o kilka dni.

— Doskonale to rozumiemy — odparł Maynard Gale. — Dlatego próbujemy ściągnąć pewne dostawy, by złagodzić sytuację. W Indiach, Chinach, na niektórych obszarach Afryki i Ameryki Południowej wysyłamy wstecz w czasie nie tylko ludzi, ale również zboże i inną żywność w nadziei, że to, co możemy dostarczyć, okaże się pomocne. Wiemy, jak bardzo niewystarczające będą te dostawy. Rozumiemy także, jak wielki stres przynosimy ludziom tej epoki. Proszę mi wierzyć, jeśli powiem, że decyzja o przybyciu do was nie przyszła nam łatwo.

— Mam nadzieję — odezwał się cierpko prezydent.

— Sądzę — kontynuował Gale — że już w waszych czasach publikowano rozważania na temat ewentualnego istnienia we wszechświecie innych istot inteligentnych, prowadzące do niemal jednomyślnego wniosku, iż muszą takie istnieć. Rodzi się

zatem pytanie: dlaczego w takim razie żadne z tych inteligentnych istot nie szukały nas, dlaczego nie złożyły nam wizyty? Odpowiadano na to, oczywiście, że przestrzeń jest ogromna, odległości między gwiazdami olbrzymie, a nasz System Słoneczny leży w jednym z ramion Galaktyki, daleko od jądra galaktycznego o dużej gęstości gwiazd, gdzie istoty inteligentne powinny narodzić się wcześniej. Zastanawiano się nad rodzajem ludzi, jeśli zdecydujemy się ich w ten sposób nazwać, którzy mogliby nas odwiedzić, gdyby już do tego doszło. Myślę, że w tym miejscu przeważająca, chociaż w żadnym razie nie jednomyślna, opinia głosiła, iż rasa, która osiągnęłaby stopień rozwoju, pozwalający na podróże międzygwiazdne, musiałaby także być rozwinięta socjalnie i etycznie do tego stopnia, że nie stworzyłaby żadnego zagrożenia. O ile podobne wnioski mogą być zgodne z prawdą, zawsze należy spodziewać się wyjątków. Zdaje się, że my, w naszej epoce, staliśmy się ofiarami takiego właśnie wyjątku.

— Z tego, co pan mówi — odezwał się Sandburg — wynika, że odwiedzili was przybysze z kosmosu, a efekt owej wizyty okazał się dla was zgubny. Czy z tego właśnie powodu polecił pan ustawić artylerię przed wylotami tuneli?

— Nie zrobiliście jeszcze tego? Z tonu pańskiego głosu...

— Nie mieliśmy na to czasu.

— Błagam, zróbcie to. Rozważaliśmy możliwość przedarcia się któregoś z nich przez ustawione linie obronne i wniknięcia do tunelu. Oczywiście, ustawiliśmy silną obronę i wydaliśmy stanowcze rozkazy pozostawionym po drugiej stronie ludziom, żeby zniszczyli tunel, gdyby wydarzyło się coś podobnego, zawsze jednak istnieje ryzyko jakiegoś błędu.

— Ale pańskie ostrzeżenie było dość mgliste. Skąd moglibyśmy

wiedzieć, że coś...

— Wiedzielibyście — odparł Gale. — Nie ma żadnych wątpliwości. Proszę sobie wyobrazić skrzyżowanie niedźwiedzia grizzly z tygrysem wielkości słonia. Stworzenie to porusza się tak szybko, że jest ledwie zauważalne. Proszę je uzbroić w zęby, szpony oraz długi, ciężki ogon, zaopatrzony w jadowite kolce. Nie chodzi o to, że one przypominają wyglądem niedźwiedzia, tygrysa czy też słonia...

— Czy mamy rozumieć, że one uzbrojone są jedynie w szpony i kły...?

— Chodzi panu o jakąś broń? Im broń nie jest potrzebna. Są niewiarygodnie szybkie i silne. Ogarnięte niepojętą żądzą krwi. Zabijają wszystkie istoty. Rozrywają je na strzępy i ciągle są w ruchu. Są w stanie przekopać się pod fortyfikacjami i zamienić w gruzy najsilniejsze mury...

— To niewiarygodne — rzekł prokurator generalny.

— Ma pan rację — odparł Gale — lecz mówię prawdę. Broniliśmy się przed nimi przez prawie dwadzieścia lat, ale łatwo przewidzieć koniec. Domyśliliśmy się tego już w kilka lat po ich pierwszym lądowaniu. Zrozumieliśmy, że naszą jedyną szansą jest ucieczka, a jedynym miejscem, do którego możemy uciec — przeszłość. Nie byliśmy w stanie dłużej z nimi walczyć. Uwierzcie mi, panowie, za pięćset lat cywilizacja ludzi na Ziemi dobiegnie końca.

— Te stworzenia nie mogą podróżować waszym śladem w czasie? — zapytał prezydent.

— Jeśli chodzi o to, czy potrafią powielić nasze urządzenia czasowe, to jestem całkowicie pewien, że nie. Nie są to istoty na tyle zaawansowane w rozwoju.

— W pańskiej opowieści jest poważna luka — odezwał się

sekretarz stanu. — Opisał pan najeźdźców jako istoty niewiele różniące się od krwiożerczych bestii. Prawdopodobnie inteligentne, lecz mimo to zwierzęta. Stworzenia inteligentne, które mogłyby stworzyć technologie niezbędne do skonstruowania czegoś w rodzaju pojazdu kosmicznego, musiałyby dysponować chwytными kończynami: dłońmi, mackami albo czymś podobnym.

— Mają ręce.

— Przecież powiedział pan...

— Przepraszam — rzekł Gale. — Nie mogłem przekazać wszystkiego od razu. Mają kończyny uzbrojone w szpony. Ale mają też kończyny zakończone odpowiednikami dłoni. Dysponują także chwytными mackami. To bardzo dziwny wytwór ewolucji. Widocznie w trakcie ich rozwoju, chociaż nie wiemy, z jakich przyczyn, nie następowało wymienianie jednych organów na inne, jak miało to miejsce na Ziemi. Rozwijali nowe organy, zdobywali nowe możliwości, nic nie tracąc z tego, co już posiadali. Potrafili wszystko zachować. Wykorzystali pomost ewolucyjny na swoją korzyść. Przypuszczam, że gdyby tylko chcieli, mogliby zbudować bardziej skuteczną broń. Często się nad tym zastanawialiśmy. Nasi psycholodzy twierdzą, że znają powód. Sugerują, że przybysze są rasą wojowników. Ich celem jest zabijanie. Możliwe, iż rozwinęli technikę podróży kosmicznych tylko po to, żeby znaleźć sobie nowe ofiary. Zabijanie jest dla nich sprawą czysto osobistą, głębokim duchowym przeżyciem podobnym do tego, jakim niegdyś była religia dla rasy ludzkiej. A ponieważ jest to doświadczenie osobiste, musi być dokonywane osobiście, bez żadnych mechanicznych ułatwień. Powinno być dokonane za pomocą szponów, kłów i jadowitego ogona. Muszą traktować

mechaniczne przyrządy do zabijania tak samo, jak wyśmienity szermierz sprzed kilku wieków mógłby traktować pierwsze pistolety — jako narzędzie walki tchórzów. Prawdopodobnie istoty te odczuwają potrzebę ciągłego podkreślania swojego człowieczeństwa, czy raczej bestialstwa, albo własnej tożsamości, a jedynym sposobem osiągnięcia tego jest dokonanie osobiście morderstwa. Ich sława, szacunek dla samych siebie i dla przedstawicieli swojej rasy mogą być uzależnione od jakości i ilości popełnionych zabójstw. Po zakończeniu walki pożerają swoje ofiary, w każdym razie tyle, ile dadzą radę, nie wiemy jednak, czy jest to kwestia pożywienia, czy też jakiś rytuał. W sumie niewiele o nich wiemy. Jak się domyślicie, nie nawiązano z nimi żadnego kontaktu. Fotografowaliśmy ich, badaliśmy martwe ciała, ale te powierzchowne badania nie pozwoliły nam tych istot zrozumieć. Nie prowadzą żadnych kampanii. Nie układają planów bitew, nie stosują strategii. W przeciwnym razie już dawno wybiliby nas do nogi. Dokonują niespodziewanych ataków, po czym wycofują się. Nie chodzi im o podbój terytorialny, nie biorą żadnych łupów. Wygląda na to, że chodzi im jedynie o zabijanie. Czasami mieliśmy wrażenie, że nie wytępilli nas całkowicie, że ochraniaли nas, pozwalali naszej rasie trwać jak najdłużej, by móc zaspokoić swoją żądzę krwi.

Wilson popatrzył na dziewczynę siedzącą na sofie obok Gale'a. Pochwycił na jej twarzy cień przerażenia.

— Mówi pan, że trwało to dwadzieścia lat — głos zabrał Sandburg. — Przez dwadzieścia lat broniliście się przed tymi istotami.

— Teraz poczynamy sobie już znacznie lepiej — odparł Gale. — A raczej poczynaliśmy, zanim się nie wycofaliśmy. Teraz mamy już broń. Z początku nie mieliśmy żadnej. Kiedy

wylądował ich statek, nie znaleźliśmy wojen od stu lat. Starliby nas z powierzchni ziemi, gdyby wypowiedzieli nam wojnę totalną, lecz, jak już mówiłem, nie o to im chodziło. W ten sposób mieliśmy czas na zorganizowanie obrony. Wyprodukowaliśmy różne rodzaje broni, niektóre z nich bardzo skomplikowane, ale nie wystarczyłoby nawet to, co wy posiadacie. Co najwyżej broń nuklearna, ale żadne normalne społeczeństwo...

Urwał zmieszany, milczał przez chwilę, po czym mówił dalej:

— Oczywiście, zabiliśmy wiele tych istot, ale to chyba nie miało żadnego wpływu. Wydawało się, że zawsze jest ich tyle samo, jeśli nie więcej. Przybył, zdaje się, tylko jeden statek. Mimo że był ogromny, nie mógł pomieścić tyle tych stworzeń. Jedynym wytłumaczeniem ich dużej liczebności może być tylko wysoka płodność oraz fakt, że osiągają dojrzałość niewiarygodnie szybko. Śmierć nie miała dla nich żadnego znaczenia. Nigdy nie uciekali i nie ukrywali się. Przypuszczam, że powodem była właśnie ich wojownicza natura. Nic bardziej przynoszącego chwałę, niż paść na polu walki. Czynili straszliwe spustoszenie. Można było zabić ich stu, lecz jeśli choć jeden się przedostał, natychmiast wyrównywał rachunek. Nasze życie w ciągłym strachu przypominało los pierwszych amerykańskich pionierów, którym bezustannie zagrażały najazdy Indian. Gdybyśmy zostali, w końcu wyniszczyliby nas wszystkich. Nawet gdyby próbowali nas w jakimś stopniu oszczędzić, i tak wytępiliby ludzkość zupełnie. Dlatego przybyliśmy do waszej epoki. Sądzę, że to absolutnie niemożliwe, by ludzie zaakceptowali tego typu istoty. Nie istnieje żadne stworzenie, które można by z nimi porównać. Najbardziej krwiożercze ziemskie drapieżniki wydają się łagodne wobec ich okrucieństwa.

— Chyba teraz — odezwał się prezydent — w świetle tego, co

zostało nam przedstawione, powinniśmy jak najszybciej ustawić artylerię.

— Tak, to prawda — stwierdził prokurator generalny. — Nie mamy jednak na razie żadnych podstaw...

— Wolałbym raczej poczynić pierwsze kroki — rzekł ostro Sandburg — nie mając żelaznych dowodów, niż znaleźć się nagle oko w oko z tymi istotami.

Prezydent sięgnął po telefon i zwrócił się do sekretarza obrony:

— Możesz skorzystać z tego aparatu. Kim przełączy rozmowę.

— Kiedy Jim skończy — rzekł sekretarz stanu — też chyba powinienem zatelefonować. Musimy przekazać naszą radę przedstawicielom rządów innych państw.



Panna Emma Garside wyłączyła radio, wyprostowała się w fotelu i oddała podziwianiu znakomitości pomysłu, który właśnie przyszedł jej do głowy. Niezbyt często, a na dobrą sprawę nigdy przedtem nie odczuwała tak wielkiego szacunku dla samej siebie; mimo że była dumną kobietą, to zarówno do swoich poczynań, jak i myśli odnosiła się z rezerwą. Swoje drobne radości utrzymywała w sekrecie, wyjątkowo tylko, w bardzo stonowanej formie, dzieliła się nimi z panną Clarabelle Smythe, jej najlepszą przyjaciółką. Nigdy jednak nie zdradzała się ze swą dumą, skrywała ją głęboko, były bowiem takie chwile, kiedy przejmował ją dreszcz na wspomnienie koniokrada oraz pewnego człowieka, który został powieszony za popełnienie straszliwej zbrodni. Ani o jednym, ani o drugim nigdy nie wspomniała choćby słowem swojej drogiej przyjaciółce Clarabelle.

Promienie słoneczne owego niedzielnego popołudnia padały przez wychodzące na zachód okna, oświetlając wytarty dywan, na którym spał zwinięty ciasno w kłębek stary kocur. W ogródku na tyłach małego domku przy niepozornej uliczce hałaśliwie pokrzykiwał drozd, prawdopodobnie szykując się do kolejnej uczty w krzaku malin. Nie zwracała jednak na niego uwagi.

Przypomniała sobie, jak wiele pieniędzy ją to kosztowało, ile

musiała włożyć pracy, wysłać listów, a nawet odbyć podróży. Stwierdziła w duchu, że jednak warto było — poświęcić zarówno czas, jak i pieniądze. Nikt poza nią w całym miasteczku nie potrafił przedstawić swego drzewa genealogicznego tak daleko, jak ona — do czasów Rewolucji, a nawet dalej, do korzeni sięgających Anglii i małej angielskiej osady, zagubionej w minionych epokach. Chociaż cieniem na historii rodu kładli się koniokrad i powieszony przestępca, a także inni przodkowie o dość wątpliwej reputacji i niechlubnym rodowodzie, to przecież byli także właściciele ziemscy i dzielni osadnicy, pojawiały się również legendy o rycerzach z zamierzchłej przeszłości. Nie była jednak w stanie uczciwie dowieść swego rycerskiego pochodzenia.

Pomyślała, że oto teraz nadarza się wyjątkowa okazja. Przebadała przeszłość swego rodu na tyle dokładnie, na ile pozwalała ludzka pomysłowość i zachowane dokumenty. Teraz miała możliwość, jeśli starczy jej odwagi, zbadać przyszłość. Znała już wszystkich swoich przodków — a teraz nadarzała się sposobność poznać potomków rodu. Jeśli ci ludzie byli w rzeczywistości takimi, jakimi przedstawiano ich w radiu, nie powinna mieć z tym kłopotów. Ale wykonanie tego zadania spoczywało wyłącznie na jej barkach, bowiem w tym przypadku nie istniały żadne dokumenty. Powinna pójść między nich — ludzi, którzy przybywali z Nowej Anglii — i zadawać pytania. Możliwe, że będzie musiała wypytać wiele osób, zanim trafi na jakikolwiek ślad. "Czy byli, mój drogi, jacyś Garside'owie, Lambertowie albo Lawrence'owie w twojej rodzinie? Jeśli tak uważasz, jeśli nie jesteś pewien, powiedz zatem, czy znasz kogoś, kto mógłby to wiedzieć? Ależ tak, mój drogi, to bardzo ważne. Nie potrafię ci nawet powiedzieć, jak bardzo." Siedziała sztywno

w fotelu. Kot spał na dywanie, ptak wciąż pokrzykiwał za oknem, a ona smakowała rodzący się w duszy dziwny sentyment dla swego rodu, który towarzyszył jej przez wszystkie lata odkrywania genealogii, a teraz, w zmienionych warunkach, mógł poprowadzić ją w nieznaną przyszłość.

.. II ..



— Zatem — rzekł prezydent, sadowiąc się w fotelu — jak do tej pory usłyszeliśmy, że za jakieś pięćset lat od chwili obecnej Ziemia zostanie zaatakowana przez stworzenia pochodzące z przestrzeni kosmicznej. Ludzie nie będą w stanie poradzić sobie z nimi i jedynym wyjściem okaże się ucieczka w przeszłość. Czy tak, panie Gale?

Gale skinął głową.

— Tak. Dokładnie tak.

— Teraz, kiedy już przybyliście do tej epoki, w każdym razie przybyło już wielu z was, a następni wciąż przybywają, co macie zamiar robić? A może nie mieliście czasu, by ułożyć jakiś plan?

— Mamy plany — odparł Gale. — Ale będziemy potrzebowali pomocy.

— Chciałbym jeszcze wiedzieć — odezwał się prokurator generalny — dlaczego przybyliście właśnie do nas? Dlaczego cofnęliście się w czasie do tej właśnie epoki?

— Ponieważ dysponujecie odpowiednimi technologiami oraz materiałami, które będą nam potrzebne — wyjaśnił Gale. — Zrobiliśmy szczegółowe rozpoznanie historyczne i właśnie wasze czasy, z dokładnością do dziesięciu lat, wydają się najlepiej odpowiadać naszym celom.

— Jakiego rodzaju technologii ma pan na myśli?

— Takie, które pozwolą skonstruować kolejne maszyny czasu. Dysponujemy planami, specyfikacjami, mamy też fachowców. Będą nam potrzebne materiały i wasza wyrozumiałość...

— Po co wam następne maszyny czasu?

— Nie mamy zamiaru tutaj zostawać — odparł Gale. — To byłoby nie w porządku. Wasza sytuacja ekonomiczna stałaby się zbyt trudna. I tak bardzo poważnie nadwerężamy waszą gospodarkę. Nie możemy tutaj dłużej zostać. Myślę, że rozumiecie, dlaczego musimy odejść.

— Dokąd macie zamiar się udać? — zapytał prezydent.

— Dalej w przeszłość — odparł Gale. — Do środkowego miocenu.

— Do miocenu?

— To epoka geologiczna. Zaczęła się w przybliżeniu dwadzieścia pięć milionów lat temu i trwała około dwunastu milionów lat.

— Ale dlaczego do miocenu? Dlaczego aż dwadzieścia pięć milionów lat? Dlaczego nie dziesięć albo piętnaście, albo, powiedzmy, sto milionów?

— Istnieje wiele powodów — rzekł Gale. — Staraliśmy się wybrać epokę jak najstaranniej. Po pierwsze — co, jak sądzę, jest głównym powodem — w miocenie, na początku, pojawiła się trawa. Tak twierdzą paleontologowie. Opierają swe przekonanie na wzmocnionych koronach zębów trzonowych zwierząt roślinożernych z tamtego okresu. Na żdźbłach trawy zawsze obecne są szczątki minerałów, które powodują ścieranie się zębów. Właśnie proces wykształcenia się wzmocnionych zębów, rosnących zwierzętom przez całe życie, pozwolił na wyciągnięcie takiego wniosku. Tego typu uzębienia należy oczekiwać u stworzeń żywiących się trawą. Istnieją ponadto dowody, że

panował wówczas suchszy klimat, co doprowadziło do zmiany lasów w połacie trawiastego stepu, na którym żerowały stada zwierząt. Paleontologowie twierdzą, że wydarzyło się to na początku miocenu, jakieś dwadzieścia pięć milionów lat temu, jednakże za wstępny cel podróży — na wypadek, gdyby rachuby naukowców okazały się błędne — wybraliśmy okres odległy o dwadzieścia milionów lat.

— Jeśli więc wybieracie się w odległą przeszłość — zapytał prokurator generalny — dlaczego przybyliście do naszej epoki? Sądzę, że wasze tunele czasowe, dzięki którym znaleźliście się tutaj, mogłyby doprowadzić was aż do tak odległej epoki.

— To prawda, nie mieliśmy jednak czasu. Skok w czasie musieliśmy wykonać jak najszybciej.

— A cóż tu ma czas do rzeczy?

— Nie mogliśmy przenieść się do miocenu bez narzędzi i przyrządów, bez ziarna siewnego i zwierząt hodowlanych. Oczywiście, dysponowaliśmy tym w naszych czasach, ale zajęłoby nam wiele tygodni zebranie wszystkiego i przetransportowanie do wylotów tuneli. Poza tym istniał problem pojemności. Każde narzędzie, pojemnik ziarna czy zwierzę hodowlane znacznie opóźniłyby przejście ludzi. Gdybyśmy mieli czas, nie działali pod presją obcych, uczynilibyśmy to właśnie w taki sposób. Ale nie było mowy o żadnym planowaniu. Potwory wyczuwały, że coś się dzieje, i gdyby tylko odkryły prawdę, z pewnością zaatakowałyby wejścia do tuneli. Wiedzieliśmy, że musimy przenieść się jak najszybciej i ocalić jak najwięcej ludzi. Dlatego przybyliśmy tu z pustymi rękoma.

— I spodziewacie się, że wyposażymy was we wszystko, czego potrzebujecie?

— Reilly — rzekł cicho prezydent. — Zaczynasz być bezwzględny. Nie prosiliśmy się o taką sytuację ani nie spodziewaliśmy się jej. Ale znaleźliśmy się w niej i musimy znaleźć rozsądne i godne wyjście. Cały nasz naród śpieszy z pomocą i nadal pomaga innym, biedniejszym nacjom. Oczywiście, to sprawa polityki zagranicznej, lecz zarazem stary amerykański zwyczaj wyciągania pomocnej dłoni. Ludzie, którzy wychodzą z tuneli znajdujących się na naszym obszarze, są, jak przypuszczam, rodowitymi Amerykanami, naszymi rodakami, naszymi potomkami. Nie sądzę, by właściwym było odmówienie im pomocy, jakiej udzielamy innym narodom.

— O ile — rzekł z naciskiem prokurator generalny — cała ta historia jest prawdziwa.

— Owszem, musimy to ostatecznie ustalić — przyznał prezydent. — Myślę, panie Gale, że nie spodziewacie się, iż zaakceptujemy to, co pan nam powiedział, bez sprawdzenia wszystkiego. Jest jedna rzecz, panie Gale, która mnie niepokoi. Powiedział pan, że planujecie cofnąć się w czasie do epoki, kiedy powstała trawa. Czy chcecie podróżować na ślepo? Co zrobicie, jeśli po przybyciu na miejsce okaże się, iż paleontologowie mylili się co do trawy, albo natraficie na coś innego, co uniemożliwi wam osiąść tam na stałe?

— Oczywiście, tutaj przybyliśmy na ślepo — odparł Gale. — Ale to zupełnie co innego. Dysponowaliśmy wyczerpującymi dokumentami historycznymi. Wiedzieliśmy, co zastaniemy. Nie można jednak mieć pewności, jeśli wykonuje się skok czasowy, sięgający milionów lat. Sądzę jednak, że mamy dość dobrze opracowaną metodę uzyskania informacji. Nasi fizycy i inni naukowcy opracowali, przynajmniej teoretycznie, sposób łączności poprzez tunele czasowe. Mamy nadzieję, że będziemy

mogli wysłać grupę, która zbada sytuację i prześle z powrotem raport. Nie wspomniałem jeszcze, iż według ostatnich badań możemy podróżować w czasie tylko w jednym kierunku. Możemy przenieść się w przeszłość, ale nie możemy w przyszłość. Zatem grupa, która cofnie się w czasie i trafi na niekorzystne warunki, nie będzie miała innego wyjścia, jak tam pozostać. Najbardziej niepokoi nas, że być może zostaniemy zmuszeni do przenoszenia wylotów tuneli, do wysyłania i porzucania kilku takich grup. Oczywiście mamy nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale w razie konieczności nie pozostanie nam nic innego. Nasi ludzie, proszę panów, są na to przygotowani. Zostawiliśmy grupy w waszej przyszłości do obrony wejść do tuneli i ludzie ci nie będą mieli szans przenieść się wraz z resztą. Zdają sobie sprawę, iż nadejdzie czas zniszczenia wszystkich tuneli, a wówczas oni, a także każdy, kto nie zdąży przedostać się w przeszłość, będzie musiał stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. Nie mówię tego, by zdobyć waszą sympatię. Chodzi tylko o zapewnienie was, iż gotowi jesteśmy stawić czoła każdemu możliwemu niebezpieczeństwu. Nie będziemy prosili o nic, czego nie chcielibyście sami ofiarować. Rzecz jasna, będziemy wdzięczni za wszystko, co zdołacie dla nas zrobić.

— Mimo iż czuję do was sympatię — rzekł sekretarz stanu — i jestem skłonny, nie bacząc na wrodzony sceptycyzm, uwierzyć we wszystko, co pan nam powiedział, to jednak niepokoją mnie następstwa. Obecne wydarzenia, to, co się dzieje w tej chwili, muszą znaleźć miejsce w zapisach historycznych. Wynika stąd, że tworzymy coś, co dla was z przyszłości było historią. Zanim wyruszyliście w podróż, musieliście wiedzieć, jakie będą jej skutki. Powinniście byli wiedzieć.

— Nie, nie wiedzieliśmy — odpowiedział Gale. — Tych faktów

nie było w naszej historii. One, choć może zabrzmieć to dziwnie, jeszcze się nie wydarzyły...

— Ależ wydarzyły się — odezwał się Sandburg. — Musiały.

— Wkraczamy teraz w obszar — stwierdził Gale — którego zupełnie nie pojmuję; są to koncepcje filozoficzne, naukowe, dziwnie posplatane i jeśli o mnie chodzi, niemożliwe do zrozumienia. Sprawie tej nasz świat naukowy poświęcił wiele rozpraw. Przede wszystkim zadaliśmy sobie pytanie, czy mamy prawo zmieniać historię, wyruszając w przeszłość i uruchamiając czynniki odmieniające bieg wydarzeń. Zastanawialiśmy się, jakie efekty może wywołać taka zmiana historii, na ile zostanie odmieniona znana nam przeszłość. Teraz twierdzi się, że zmiana nie będzie miała żadnego wpływu na historię. Wiem, że musi to brzmieć dla was nieprawdopodobnie. Przyznaję, że sam nie w pełni to rozumiem. Ludzkość raz już przebyła tę drogę, kiedy nasi przodkowie poruszali się w przyszłość, a zdarzenia, które mają miejsce obecnie, wówczas nie się wydarzyły. Tak więc ludzkość dotarła do naszej przyszłości, po czym nastąpiła inwazja. Teraz cofnęliśmy się w przeszłość, żeby uciec przed najeźdźcami, wydarzenia zaistniały, historia zmieniła się i od tej chwili wszystko będzie już inne. Zmieniliśmy historię, ale nie naszą, nie tę, która prowadziła do momentu naszego przeniesienia się. To wasza historia jest inna. Nasze poczynania sprawiły, że znaleźliście się na innej ścieżce czasu. Nie mamy pewności, czy na tej drugiej ścieżce czasu także nastąpi atak obcych, ale wszystko wskazuje na to, że tak...

— To stek bzdur — oświadczył stanowczo Douglas.

— Proszę mi wierzyć — odparł Gale. — To nie są bzdury. Ludzie, którzy wymyślili i opracowali tę teorię, to cieszący się

uznaniem, znakomici uczeni.

— Nie jest to sprawa — wtrącił się prezydent — którą moglibyśmy w tej chwili rozstrzygnąć. Rzeczy zaistniałe możemy spokojnie odłożyć na razie na bok. Co się stało, już się nie odstanie, i musimy z tym żyć. Niepokoi mnie jedno.

— Proszę mówić — powiedział Gale.

— Dlaczego chcecie się cofnąć o dwadzieścia milionów lat? Po co aż tak daleko?

— Pragniemy wywędrować dostatecznie daleko, by nasz pobyt w tamtej części ziemskiej historii nie miał, w miarę możliwości, żadnego wpływu na rozwój ludzkości. Prawdopodobnie nie zabawimy tam długo. Nasi historycy twierdzą, że człowiek, przy obecnym zaawansowaniu technologicznym, nie powinien spodziewać się więcej niż miliona lat na Ziemi. Chyba nawet znacznie mniej. W ciągu miliona lat, albo nawet wcześniej, wszyscy wyniesiemy się z Ziemi. Jesteśmy, a raczej bylibyśmy w naszych czasach, gdyby zostawiono nas w spokoju, zaledwie o kilka wieków od powszechnych podróży kosmicznych. Gdybyśmy mieli parę tysięcy lat, opanowalibyśmy technikę podróży kosmicznych i prawdopodobnie wszyscy byśmy wyemigrowali z Ziemi. Jeśli człowiek będzie mógł opuścić Ziemię, pewnie to uczyni. Mając milion lat, z pewnością ją opuścimy.

— A jednak zostawicie po sobie ślad — odezwał się Williams.
— Zużyjecie zasoby naturalne, takie jak węgiel, rudę żelaza, ropę naftową, gaz ziemny. Poza tym...

— Nie całą rudę żelaza. Wykorzystamy tyle, że nie będzie uszczerbku na pięćset lat w przyszłość, nauczyliśmy się oszczędzać. Nie potrzebujemy także żadnych paliw kopalnych.

— Będzie wam niezbędna energia.

— Mamy elektrownie termojądrowe — odparł Gale. — Nasza gospodarka byłaby dla was szokująca. Produkujemy bardzo trwałe rzeczy. Nie na dziesięć czy dwadzieścia lat, ale na całe wieki. Wymiana urządzeń nie odgrywa już żadnej roli w naszej gospodarce. W efekcie produkcja przemysłowa w roku 2498 stanowiła mniej niż jeden procent wielkości produkcji w waszych czasach.

— To niemożliwe — stwierdził Sandburg.

— Chyba według waszych standardów, ale nie naszych — odparł Gale. — Musieliśmy zmienić styl życia. Po prostu nie mieliśmy wyboru. Stulecia nadmiernej eksploatacji bogactw naturalnych doprowadziły do ich uszczuplenia. Musieliśmy radzić sobie z tym, co nam zostało. Musieliśmy znaleźć sposoby oszczędzania.

— Jeśli prawdą jest, iż człowiek zostanie na Ziemi nie dłużej niż milion lat — odezwał się prezydent — w takim razie niezupełnie rozumiem, dlaczego musicie udać się dwadzieścia milionów lat w przeszłość. Możecie równie dobrze cofnąć się o pięć milionów.

Gale pokręcił głową.

— Znaleźlibyśmy się zbyt blisko prekursorów ludzkości. To prawda, że człowiek, o ile nam wiadomo, pojawił się nie wcześniej niż dwa miliony lat temu, ale pierwsze naczelne powstały około siedemdziesięciu milionów lat temu. Oczywiście, nasz pobyt w przeszłości wpłynie na rozwój tych naczelnych, ale nie będzie to chyba poważny wpływ, a poza tym niemożliwością byłoby uniknięcie tego, bo gdybyśmy chcieli cofnąć się dalej, trafilibyśmy do epoki dinozaurów i nie byłoby to dla nas korzystne. Nawet nie tyle z powodu dinozaurów. Krytyczny okres rozwoju ludzkości, pojawienie się protoplastów

australopiteka, nie mógł wystąpić wcześniej niż piętnaście milionów lat temu. Nie jesteśmy pewni tych szacunkowych danych. Większość naszych antropologów uważa, że cofnięcie się tylko o dziesięć milionów lat byłoby wystarczająco bezpieczne. Chcemy jednak mieć pewność. Poza tym nie istnieją żadne powody, dla których nie mielibyśmy cofnąć się głębiej w czasie. Stąd właśnie dwadzieścia milionów. Zresztą jest jeszcze jeden powód. Chcemy zostawić wystarczająco dużo miejsca dla was.

Douglas zerwał się na nogi.

— Dla nas?! — wrzasnął.

Prezydent powstrzymał go wyciągniętą dłonią.

— Zaczekaj chwilę, Reilly. Wysłuchajmy wszystkiego do końca.

— To przecież logiczne — powiedział Gale. — Przynajmniej tak sądzimy. Proszę wziąć pod uwagę, że za pięćset lat czeka was inwazja z kosmosu. Tak, wiem, z powodu wprowadzenia was na inną ścieżkę czasu może się to nie zdarzyć, lecz nasi naukowcy uważają, że inwazja nastąpi, są tego niemal pewni. Dlaczego więc mielibyście spokojnie na nią czekać? Dlaczego nie mielibyście cofnąć się razem z nami? Macie tylko pięćsetletni margines. Możecie go wykorzystać. Nie musicie wracać w przeszłość w pośpiechu tak jak my. Możecie wykorzystać jeszcze wiele lat. Czemu nie mielibyście zostawić Ziemi bezludnej i wrócić, żeby zacząć od nowa? Dalibyście nowy początek rasie ludzkiej. Mielibyście nowe lądy do odkrywania...

— To czyste szaleństwo! — krzyknął Douglas. — Jeśli my, wasi przodkowie, wrócimy w przeszłość, wy przestaniecie istnieć, nie będzie komu zacząć i...

— Zapominasz — wtrącił Williams — że on wyjaśniał nam już przeskok na inną ścieżkę czasu.

Douglas usiadł.

— Umywam od tego ręce — powiedział. — Nie chcę mieć więcej z tym do czynienia.

— Nie możemy wrócić razem z wami — zauważył Sandburg. — Jesteśmy zbyt liczni, a poza tym...

— Nie z nami, lecz podobnie jak my. Razem, faktycznie, bylibyśmy zbyt liczną populacją. Wy sami to już za dużo. Jest jednak szansa, jeśli zdecydujecie się ją wykorzystać, na zmniejszenie zaludnienia do bardziej odpowiedniego poziomu. My cofniemy się o dwadzieścia milionów lat. Połowa z was może przenieść się o dziewiętnaście milionów, druga połowa zaś o osiemnaście milionów lat. Wszystkie grupy zostaną rozdzielone okresami miliona lat. Nie będziemy przeszkadzali sobie nawzajem.

— Jest tylko pewien szkopuł — rzekł Williams. — Różnimy się od was. Moglibyśmy wywrzeć kolosalny wpływ na rozwój człowieka. Zużylibyśmy węgiel, rudę żelaza...

— Wcale nie — odparł Gale. — Gdybyście przyjęli naszą filozofię, nasz sposób życia, nasze technologie...

— Ofiarowalibyście nam to wszystko? Elektrownie termojądrowe...

— Jeśli zdecydujecie się wrócić w przeszłość, nawet będziemy na to nalegali.

Prezydent powstał.

— Sądzę — powiedział — że dotarliśmy do punktu, w którym musimy przerwać. Przed nami wiele rzeczy do zrobienia. Bardzo dziękujemy, panie Gale, że zechciał pan tu przyjechać wraz ze swoją uroczą córką. Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli sposobność, w późniejszym czasie, porozmawiać z panem.

— Z pewnością — odparł Gale. — Będzie mi przyjemnie. Jest pośród nas wielu, z którymi powinniście porozmawiać, osób

wiedzących o wiele więcej niż ja o rozlicznych aspektach sytuacji, o których powinniście zostać poinformowani.

— Czy zgodziliby się państwo, oboje, zostać moimi gośćmi? — zapytał prezydent. — Byłbym bardzo rad, mogąc udzielić wam gościny.

Alice Gale przemówiła po raz pierwszy, klasnąwszy w dłonie z radości:

— Ma pan na myśli gościnę tu, w Białym Domu?

Prezydent uśmiechnął się.

— Tak, moja droga, w Białym Domu. Będzie nam bardzo miło gościć was tutaj.

— Proszę jej wybaczyć — rzekł ojciec dziewczyny. — Tak się składa, że darzy ona Biały Dom szczególnym zainteresowaniem. Czytała na jego temat wszystko, co wpadło jej w ręce: o jego historii, architekturze — dosłownie wszystko.

— Tym większym będzie to dla nas zaszczytem — odparł prezydent.



Przez drzwi nadal wychodzili ludzie, lecz teraz żandarmeria kierowała ich na lewo bądź na prawo. Bezustannie usuwała tłum przed wylotu tunelu, robiąc miejsce dla kolejnych uchodźców, a zarazem zwartymi szeregami oddzielała masy napierających z każdej strony przypadkowych gapiów. Z megafonów padały komendy, a kiedy milkły, dawał się słyszeć piskliwy jazgot radia, które ktoś zostawił włączone w jednym z setek zaparkowanych wzdłuż ulicy samochodów. Tylko niektóre z aut stały przy krawężnikach, inne — na dowód widocznego lekceważenia prawa własności — pozostawiono na trawnikach. Wojskowe ciężarówki i transportery piechoty przemykały ulicą, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby zabrać kolejną grupę uchodźców, po czym z rykiem odjeżdżały z powrotem. Lecz ludzie wychodzili z tunelu szybciej, niż ciężarówki były w stanie ich zabierać, a kłębiący się tłum zajmował coraz to nowe kwartały dzielnicy.

Porucznik Andrew Shelby rozmawiał przez telefon z majorem Marcelem Burnsem.

— To, co robimy, to tylko kropla w morzu potrzeb, sir. Na Boga, nigdy nie widziałem takich tłumów. Byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy pozbyli się przynajmniej części gapiów. Robimy, co w naszej mocy, ale trudno sobie z nimi poradzić. Nie

chcą stąd odjechać, a my nie możemy skierować zbyt wielu żołnierzy do oczyszczania terenu. Zablokowaliśmy wszystkie dojazdy do tego obszaru, ostrzeżenia były także nadawane przez radio, ale mimo wszystko ludzie nadal ciągną w tę stronę, próbują się tu dostać i wszystkie drogi są zakorkowane. Aż boję się pomyśleć, co to będzie, kiedy zapadnie zmrok. Co z tymi oddziałami inżynieryjnymi, które miały nam zainstalować przenośne reflektory? — Są już w drodze — odparł Burns. — Trzymajcie się, Andy. Róbcie, co możecie, byle zabrać stamtąd tych ludzi.

— Potrzebuję więcej ciężarówek — powiedział porucznik.

— Staram się o nie — zapewnił major. — Położymy łapę na wszystkim, co da się zarekwirować. Jeszcze jedna sprawa: przybędzie do was oddział artylerii.

— Niepotrzebna nam żadna artyleria. Po co mielibyśmy ustawiać działa?

— Nie mam pojęcia — powiedział major. — Wiem tylko, że oddział jest już w drodze. Nie wyjaśniono mi, w jakim celu ma przybyć.



— Nie macie chyba zamiaru wierzyć w te bzdury? — protestował Douglas. — To zbyt niedorzeczne, by dać temu wiarę. Brzmi jak historia wyjęta żywcem z powieści fantastyczno — naukowej. Mówię wam, zrobiono nas w konia.

— To znaczy, że wszyscy ci ludzie, którzy wychodzą z tuneli czasowych, są niedorzecznością? — zapytał cicho Williams. — Musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Być może to, co mówił Gale, wydaje się nieco fantastyczne, ale na swój sposób trzyma się kupy. Muszę przyznać, że nie bez trudu...

— A jego listy uwierzytelniające? — zachnął się prokurator generalny. — Dokumenty tożsamości to nie listy uwierzytelniające. Rzecznik praw obywatelskich wspólnoty waszyngtońskiej, jakiś urzędnik społeczny, nie mający nic wspólnego z rządem...

— Może oni nie mają rządu takiego jak my — rzekł Williams. — Musisz zrozumieć, że w ciągu pięciuset lat na pewno zaszły jakieś zmiany.

— Co o tym sądzisz, Steve? — spytał prezydent. — Przecież to ty go przyprowadziłeś.

— Strata czasu — oświadczył Douglas.

— Jeśli chcecie, bym poręczył prawdziwość tego, co mówił — powiedział Wilson — to, oczywiście, nie mogę tego zrobić.

— Co mówiła Molly? — zainteresował się Sandburg.

— Nieważnego. Po prostu przekazała go w moje ręce. Jestem pewien, że nie zdradził jej nic z tego, co opowiedział nam, Molly udało się jednak wyciągnąć z niego i jego córki coś niecoś na temat świata, z którego przybyli. Stwierdziła w każdym razie, że jest zadowolona.

— Czy Global News próbowała wywierać nacisk? — odezwał się Douglas.

— Oczywiście. Każda agencja informacyjna i każdy rasowy dziennikarz postąpiliby w ten sposób. Zaniedbaliby swoje obowiązki, gdyby nie próbowali się targować. Ale Manning nie naciskał zbyt mocno. Wiedział równie dobrze jak ja, że...

— To znaczy, że nie uległ pan im? — dopytywał się Douglas.

— Słyszysz chyba, że nie — wtrącił prezydent.

— Jedyne, czego w tej chwili potrzebuję — powiedział Wilson — to wskazówki, ile mogę zdradzić dziennikarzom.

— Nic — rzekł Douglas. — Absolutnie nic.

— Wiedzą, że byłem tu z wami. Domyśla się, że mieliśmy naradę. Będą wściekli, jeśli nic nie dostaną.

— Nie muszą o niczym wiedzieć.

— Powinni wiedzieć — rzekł Wilson. — Nie wolno nam traktować ludzi z prasy jak przeciwników. Mają konkretną rolę do spełnienia. Ludzie mają prawo wiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że dziennikarze nieraz zachodzili nam za skórę i pewnie zrobią to samo teraz, ale nie możemy ich ignorować. Powinniśmy przedstawić im jakieś informacje, najlepiej prawdziwe.

— Sądzę — zabrał głos Williams — że można przekazać im, iż zdobyliśmy pewne informacje, które skłaniają nas ku przekonaniu, że ludzie ci, jak sami twierdzą, pochodzą z przyszłości, ale potrzebujemy czasu, żeby to sprawdzić.

W chwili obecnej nie możemy przedstawić żadnego oficjalnego oświadczenia. Wciąż nad nim pracujemy.

— Będą chcieli wiedzieć — wtrącił Sandburg — dlaczego ci ludzie cofnęli się w przeszłość. Steve musi mieć przygotowaną jakąś odpowiedź. Nie może iść bezbronny na pożarcie. Poza tym dziennikarze dowiedzą się w krótkim czasie, że przed wylotem każdego tunelu umieszczamy armatę.

— Gdyby poznali przyczyny, dla których rozstawiamy artylerię — rzekł Williams — mogłaby wybuchnąć powszechna panika. Z drugiej strony, inne państwa mogą podnieść krzyk, że chcemy za pomocą armat zamknąć wyjścia tuneli.

— Dlaczego nie mielibyśmy oświadczyć — zaproponował prezydent — że ludzie z przyszłości stanęli w obliczu wielkiej katastrofy i przybywają do nas, aby ratować życie? A działa? Uważam, że powinniśmy coś przekazać na ich temat. Nie możemy dopuścić, by przyłapano nas na ewidentnym kłamstwie. Najlepiej powiedz, że to zwykłe środki bezpieczeństwa.

— Ale tylko wtedy, kiedy padnie pytanie o armaty — powiedział Sandburg.

— W porządku — odparł Wilson. — Ale to nie wszystko. Spodziewam się także innych pytań. Czy były prowadzone rozmowy z rządami innych państw? Co z ONZ? Czy później zostanie przedstawione oficjalne oświadczenie?

— Chyba możesz powiedzieć — rzekł Williams — że kontaktowaliśmy się z przywódcami innych państw. Przekazaliśmy przecież ostrzeżenie dotyczące armat.

— Będziesz musiał spróbować grać na zwłokę — powiedział prezydent. — Najpierw musimy stanąć mocno na nogach. Powiedz, że spotkasz się z nimi później.



Molly Kimball.

WASZYNGTON (Global News): Ludzie wychodzący z tuneli czasowych są uchodźcami z przyszłości.

Zostało to potwierdzone dziś późnym popołudniem przez jednego z przybyszów, Maynarda Gale'a. Nie zdradził on jednak przyczyn tej masowej ucieczki w przeszłość. Stwierdził, że okoliczności tego exodusu mogą być wyjawione jedynie oficjalnym przedstawicielom rządu. Dodał też, że czyni starania o spotkanie z odpowiednimi władzami. Wyjaśnił, iż zajmował w przyszłości stanowisko rzecznika praw obywatelskich wspólnoty waszyngtońskiej i został wyznaczony do utrzymywania kontaktu z rządem federalnym po przybyciu do naszych czasów.

Człowiek ten przedstawił pokrótce zdumiewający obraz społeczeństwa, w którym żyje, a raczej żył — obraz świata, gdzie nie istnieje podział na narody i z którego zniknęło pojęcie wojny.

Stwierdził, że jest to prosta wspólnota, której styl życia narzucają znane już dzisiaj problemy ekologiczne. Nie jest to społeczeństwo przemysłowe. Wielkość globalnej produkcji jest prawdopodobnie mniejsza od jednego procenta naszej obecnej produkcji przemysłowej. Wyroby są niezwykle trwałe. Jak powiedział ów człowiek, filozofia produktów nietrwałych została

zarzucona już w niedalekiej naszej przyszłości, w obliczu wyczerpywania się zasobów naturalnych — topnienia bogactw, przed czym nasi ekonomiści i ekologowie ostrzegają od dawna.

Z powodu niemal całkowitego wyeksploatowania węgla i innych paliw kopalnych świat przyszłości, jak utrzymuje Gale, opiera się całkowicie na energii uzyskiwanej w elektrowniach termojądrowych. Tego typu energia jest jedynym ogniwem spajającym delikatny szkielet całej gospodarki w epoce Gale'a.

Świat odległej przyszłości jest silnie skomputeryzowany, a większa część społeczeństwa żyje w “wysokościowych” miastach. Sześć wież, wznoszących się niejednokrotnie na wysokość mili, tworzy miasto. Zabudowa wiejska zniknęła całkowicie. Olbrzymie połacie ziemi wykorzystuje się wyłącznie do uprawy rolnej. Miasta, budowane w większości z przetworzonych odpadów metali, które w naszych czasach zakopywano w ziemi, są niemal całkowicie zautomatyzowane; ich funkcjonowaniem zajmują się komputery.

Gale twierdzi, że w jego świecie nie ma już pogoni za dobrobytem, która charakteryzuje nasze czasy. Nie ma ludzi bogatych, ale nie występuje też poniżająca nędza, której dziś doświadczają miliony. Wszystko wskazuje na to, że nastąpiła nie tylko zmiana stylu życia, lecz także przewartościowanie ideałów. Życie jest łatwiejsze, przyjemniejsze, nie zmuszające do współzawodnictwa. W świecie przyszłości człowiek przedsiębiorczy należy do rzadkości...

.. 15 ..



W Parku Lafayette gromadził się tłum — zbierał się w ciszy i spokoju tak samo, jak czynił to od wielu lat. Ludzie stali, spoglądając na Biały Dom; niczego nie żądali, niczego nie oczekiwali, w milczeniu demonstrując przeciwko ogólnonarodowemu kryzysowi. Ponad ich głowami Andy Jackson wciąż dosiadał swego stojącego dęba rumaka; czas pokrył patyną lat zarówno konia, jak i jeźdźca, stanowiących ulubione siedlisko gołębi.

Nikt dokładnie nie wiedział, jaki charakter ma obecny kryzys i czy w ogóle jest to kryzys. Nikt nie miał pojęcia, ani co się właściwie wydarzyło, ani w jaki sposób wpłynie to na życie ludzi, chociaż kilka osób w tłumie zdążyło już w dość specyficzny i raczej pokrętny sposób sformułować własny pogląd na sprawę i nie omieszkało (w niektórych przypadkach wręcz natarczywie) podzielić się nim z sąsiadami.

W Białym Domu bez przerwy dzwoniły telefony, rosły stosy notatek — zgłaszali się kongresmani, działacze partyjni podsuwali swe propozycje i rady, nieoczekiwanie okazywali nerwowość biznesmeni i przemysłowcy, a pomyłeńcy proponowali sposoby natychmiastowego rozwiązania problemu.

Nadjechała furgonetka z ekipą telewizyjną, rozstawiono sprzęt i reporterzy zaczęli przekazywać komentarze na gorąco,

filmowani na tle zgromadzonego w Parku Lafayette tłumu oraz Białego Domu, tonącego w blasku letniego słońca.

Rozleniwieni turyści włączyli się tam i z powrotem aleją, wszyscy jakby zdumieni faktem, że znaleźli się w samym centrum wydarzeń. Mieszkające wokół Białego Domu wiewiórki podbiegały do ogrodzenia, przeskakiwały na chodnik, przysiadały w komicznych pozach, z łapkami złożonymi na brzuszku, i prosiły o przysmaki.



Alice Gale stała przy oknie, spoglądając na tłum zbierający się w parku po drugiej stronie Pennsylvania Avenue. Przenikał ją dreszcz ekstazy; wciąż nie mogła uwierzyć, że znalazła się tutaj — wróciła do dwudziestowiecznego Waszyngtonu, do miasta, gdzie kształtowano historię, w którym żyli legendarni ludzie. Miała nawet okazję przebywać w tym samym pokoju, w którym sypiały koronowane głowy.

“Koronowane głowy” — powtórzyła w myślach. Co za okropne, wręcz średniowieczne określenie. Miało jednak w sobie pewien urok, elegancję, całkowicie obce jej światu.

Kiedy wraz z ojcem wjeżdżała na teren Białego Domu, widziała przez chwilę pomnik Waszyngtona oraz znajdującego się dalej marmurowego Lincolna, siedzącego w marmurowym fotelu, z rękoma spoczywającymi na poręczach. Miał masywną wąsatą twarz, promieniującą potęgą, smutkiem i litością; niezliczone tłumy milkły w pełnej szacunku powadze, kiedy wspiąwszy się po schodach, stawały z nim twarzą w twarz.

Jej ojciec zajmował po drugiej stronie korytarza sypialnię Lincolna z masywnym wiktoriańskim łóżem oraz krytymi jedwabiem głębokimi fotelami. Przypomniała sobie jednak, że Lincoln na dobrą sprawę nigdy w tym pokoju nie spał.

Dla niej historia ożyła na nowo, zmartwychwstała. Przeżywała

wspaniałe chwile. Miała nigdy o nich nie zapomnieć, choćby nie wiadomo co spotkało ją jeszcze w życiu. Gromadziła wspomnienia na pobyt w miocenie. Niespodziewana myśl o niewiadomym, które czekało ją w tej epoce, wywołała dreszcz strachu. Czy kiedykolwiek się tam dostaną? Czy ludzie z epoki, w której teraz byli, zdecydują się pomóc im wyemigrować w przeszłość?

Cokolwiek jednak się zdarzy, będzie mogła powiedzieć: "Spałam kiedyś w Królewskiej Sypialni".

Odwróciła się od okna i raz jeszcze zdumiona popatrzyła na ogromne łoże ze wspartym na czterech drążkach baldachimem, firankami i różowo—białą kapą, na stojący między oknami mahoniowy sekretarzyk z biblioteczką oraz miękkie białe dywany. Pomyślała, że to bardzo egoistyczne z jej strony napawać się zbytkiem, kiedy w tej samej chwili tak wielu ludzi z jej świata było bezdomnych i zagubionych, niepewnych tego, jak zostaną przyjęci, czy dostaną coś do jedzenia i czy będą mieli gdzie spać tej nocy. Jednak mimo najszczerzych chęci nie potrafiła się za to zganić.



Prezydent rozmawiał przez telefon.

— Witaj, Terry, mówi Sam Henderson.

— Jak to miło, że pan do mnie zadzwonił, panie prezydencie — odezwał się Terrance Roberts. — Co mogę dla pana zrobić?

Prezydent chrząknął.

— Mógłbyś zrobić wiele, nie wiem tylko, czy chciałbyś. Słyszałeś już, co się stało?

— Coś dziwnego — rzekł przywódca związków zawodowych.

— Docierają same plotki. Czy wy w Waszyngtonie wiecie coś sensownego?

— Trochę — odrzekł prezydent. — Wygląda na to, że ci ludzie naprawdę pochodzą z przyszłości. Stanęli w obliczu katastrofy i jedyną drogą ucieczki była dla nich podróż w przeszłość. Nie znamy jeszcze szczegółów.

— Ależ, panie prezydencie... Podróże w czasie?

— Wiem, że brzmi to niewiarygodnie. Nie rozmawiałem jeszcze z żadnym z naszych fizyków, choć noszę się z tym zamiarem. Mam nadzieję, że oni stwierdzą, iż jest to niemożliwe. Ale jeden z ludzi, którzy wyszli z tunelu czasowego, przysięgł nam, że to prawda. Gdyby można to wszystko wytłumaczyć w jakikolwiek inny sposób, byłbym bardziej sceptyczny. Okoliczności zmuszają mnie jednak, bym pogodził się z tym

wyjaśnieniem, przynajmniej na razie.

— Czy to znaczy, że oni wszyscy z przyszłości wracają w nasze czasy? Ilu ich jest?

— Przypuszczam, że w przybliżeniu dwa miliardy.

— Ależ, panie prezydencie... W jaki sposób mamy się nimi zająć?

— Właśnie w tej sprawie, Terry, chciałem z tobą rozmawiać. Wygląda na to, że oni nie mają zamiaru tu zostać. Chcą cofnąć się w jeszcze głębszą przeszłość, o jakieś dwadzieścia milionów lat wstecz. Ale do tego potrzebna jest im pomoc. Planują budowę kolejnych tuneli czasowych i będą potrzebowali narzędzi, które zabiorą ze sobą...

— My nie potrafimy budować tuneli czasowych.

— Mogą nas tego nauczyć.

— To będzie bardzo kosztowne, zarówno z uwagi na siłę roboczą, jak i materiały. Czy oni są w stanie zapłacić?

— Nie wiem, nie pytałem o to. Nie wydaje mi się, by mieli pieniądze. Sądzę jednak, że powinniśmy spełnić ich prośby. Nie możemy pozwolić im tu zostać, i tak jest nas już za dużo.

— Zdaje się, że wiem — rzekł Terrance Roberts — o co chce mnie pan prosić, panie prezydencie.

Prezydent zaśmiał się.

— Nie tylko ty, Terry. Domyślali się tego także przemysłowcy, w gruncie rzeczy wszyscy. Ale ja na razie chciałbym tylko wiedzieć, jakiej współpracy mogę się spodziewać. Czy zgodziłbyś się przybyć tutaj, byśmy mogli omówić sprawę w szerszym gronie?

— Oczywiście. Proszę tylko powiadomić mnie o terminie spotkania. Nie jestem jednak pewien, czy będę w stanie w czymś pomóc. Muszę porozumieć się z pewnymi ludźmi, porozmawiać

z niektórymi kolegami. O co w szczególności panu chodzi?

— Nie mam jeszcze konkretnego planu. Chyba będę potrzebował waszej pomocy przy jego opracowywaniu. Ogólnie rzecz biorąc, w obecnych warunkach nie możemy ofiarować pomocy, o jaką nas poproszono. Rząd nie jest w stanie pokryć wszystkich kosztów. Nie chodzi tu tylko o tunele czasowe. Do tej pory nie mamy pojęcia, ile będzie kosztować ich produkcja. Potrzebne będzie wszelkiego typu wyposażenie do założenia całkowicie nowej cywilizacji, co pochłonie masę pieniędzy. Dochody z podatków od ludności nie pokryją kosztów. Będziemy zmuszeni zwrócić się do wszystkich o pomoc. Powinny nam pomóc związki zawodowe, powinien pomóc cały przemysł. Naród musi sprostać potrzebie chwili, wymagającej nadzwyczajnych rozwiązań. Nie wiem nawet, jak długo będziemy w stanie wyżywić tych wszystkich ludzi...

— To nie tylko nas dotyczy — stwierdził Roberts. — Z tymi samymi problemami musi uporać się cały świat.

— To prawda. Inne narody także będą musiały podjąć pewne działania. Gdybyśmy mieli czas, można by opracować jakiś plan współpracy międzynarodowej, ale to wymaga pewnych ustaleń, a my nie mamy czasu. Przynajmniej na początku musimy zacząć działać sami.

— Czy rozmawiał już pan z innymi rządami?

— Kontaktowałem się z Londynem i Moskwą — odparł prezydent. — Z innymi porozumiem się później. Ale nie na ten temat. Kiedy będziemy mieli już coś konkretnego, zobaczymy, co o tym myślą w innych krajach. Podzielimy się naszymi pomysłami, wybierzemy najlepsze rozwiązania. Nie wolno nam tracić czasu. Jeśli zdecydujemy się na coś, trzeba będzie natychmiast zaczynać realizację tego i pracować najszybciej, jak

się da.

— Czy jest pan pewien, że są wśród nich ludzie, który potrafią objaśnić działanie tych tuneli? Będą mogli udzielić na tyle wyczerpujących informacji, by nasi naukowcy i inżynierowie zrozumieli zasadę działania i konstrukcję? Do diabła, panie prezydencie, to czyste szaleństwo. Robotnicy amerykańscy, budujący tunele czasowe! To musi być sen. Albo kiepski żart.

— Obawiam się, że ani jedno, ani drugie — odparł prezydent.
— Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, Terry. Sam jeszcze nie wiem, na ile poważnej. Podejrzewam, że dopiero za dzień lub dwa będziemy mieli tyle informacji, że będziemy wiedzieli, co nas naprawdę czeka. W tej chwili chcę cię prosić tylko o to, żebyś przemyślał sprawę. Zbierz kilka pomysłów, rozejrzyj się, zastanów się, co będziesz mógł zdziałać. Dam ci znać o terminie spotkania; teraz nie miałoby ono sensu. Najpierw musimy uporządkować parę rzeczy, zanim będziemy mogli rozmawiać. Odezwę się, gdy tylko sytuacja odrobinę się wyklaruje.

— O każdej porze, panie prezydencie — zapewnił Roberts. — Proszę dać mi znać, a przybędę natychmiast.

Prezydent odłożył słuchawkę, wcisnął przycisk interkomu i wezwał Kim.

— Poproś do mnie Steve'a — rzekł, gdy tylko sekretarka otworzyła drzwi.

Zagłębił się w fotelu, splótł ręce za głową i popatrzył w sufit. Pomyślał, że nie dalej jak pięć godzin temu wyciągnął się na kanapie, żeby wypełnić to spokojne niedzielne popołudnie drzemką. Nieczęsto zdarzało mu się miewać spokojne popołudnia, cenił je więc bardzo. Zdążył jednak ledwie przymknąć oczy, kiedy świat zwałił mu się na głowę. “Na Boga, co teraz robić? — zapytał siebie w duchu. — Co można zrobić? Co

byłoby najrozsądniejsze?" Tak łatwo mógł popełnić błąd czy nawet wiele błędów, a zdawał sobie sprawę, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze nawet potknięcie.

W drzwiach stanął Steve Wilson. Prezydent wysunął rękę zza głowy i wyprostował się w fotelu.

— Czy rozmawiałeś już z dziennikarzami, Steve?

— Nie. Jeszcze nie. Dobijają się do sali konferencyjnej, ale nie wpuszczam ich. Nie mam odwagi stanąć przed nimi z tak mizernymi informacjami. Miałem nadzieję...

— W porządku — przerwał mu prezydent. — Twoje nadzieje się spełniły. Możesz przedstawić im wszystko z dwoma wyjątkami. Nie mów nic na temat powodu rozmieszczenia armat. Wyjaśnij, że to normalne środki ostrożności. Poza tym ani słowa o propozycji Gale'a, dotyczącej cofnięcia się razem z nimi w czasie.

— To znaczy, że nie mogę powiedzieć nic o przyczynach ucieczki tych ludzi z przyszłości. Nie wspominać o najeźdźcach?

Prezydent pokręcił głową.

— Powiedz po prostu, że przyczyny nie zostały do końca wyjaśnione, i musimy przeprowadzić bardziej szczegółowe rozmowy, zanim je ujawnimy.

— To im się nie spodoba — rzekł Wilson. — Ale chyba dam sobie jakoś radę. Co z telewizją? Powiadomiłem sieci, że być może wystąpi pan przed kamerami dziś wieczorem.

— Co myślisz o godzinie dziesiątej? To dość późna pora, ale...

— Wszystko będzie przygotowane.

— Możesz zatem zapowiedzieć moje wystąpienie. Jakies dziesięć, piętnaście minut, nie więcej.

— Przygotuję szkic przemówienia.

— Ty masz pełne ręce roboty, Steve. Zwrócę się z tym do Brada albo Franka.

— Dziennikarze będą chcieli wiedzieć, czy kontaktował się pan z kimś.

— Rozmawiałem ze Sterlingiem z Londynu i z Menkowem z Moskwy. Możesz im przekazać, że Menkow spotkał się z rosyjskim odpowiednikiem Gale'a i wie mniej więcej tyle samo co my. Londyn do czasu mojej rozmowy ze Sterlingiem nie nawiązał jeszcze żadnego kontaktu. Możesz przekazać także, że mam zamiar rozmawiać z przywódcami innych krajów jeszcze dzisiaj.

— A co z posiedzeniem gabinetu? Na pewno padnie takie pytanie.

— W ciągu ostatnich kilku godzin spotykałem się z osobna z wszystkimi członkami gabinetu. Teraz, po raz pierwszy od chwili, gdy się to zaczęło, zostałem tutaj sam. Oczywiście, mam zamiar w najbliższym czasie uczestniczyć w posiedzeniu gabinetu. Czy to już wszystko, Steve?

— Prawdopodobnie padnie jeszcze wiele innych pytań, ale chyba sobie poradzę. Nie potrafię przewidzieć wszystkiego, co zresztą bardzo ich cieszy.

— Co myślisz o Gale'u, Steve? Chciałbym usłyszeć twoją opinię.

— Trudno powiedzieć — odparł Wilson. — Raczej nie mam wyrobionego zdania. Nie umiem sobie wyobrazić, co mógłby zyskać, okłamując nas, a w każdym razie przedstawiając nam swoją wersję wydarzeń. Jakkolwiek na to patrzeć, ci ludzie znaleźli się w poważnych tarapatkach i oczekują od nas pomocy. Możliwe, że ukrywają coś przed nami. Być może opowieść Gale'a nie jest do końca prawdziwa. Sądzę jednak, że nie kłamał. Jestem skłonny mu uwierzyć, chociaż sytuacja jest dość trudna do

zaakceptowania.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — powiedział prezydent. —
W przeciwnym razie możemy wyjść na skończonych głupców.



Limuzyna okrążyła kolisty placyk i zajechała przed fronton okazałej rezydencji, stojącej z dala od ulicy w otoczeniu kwiatów i drzew. Kiedy zatrzymała się przed portykiem, wyskoczył szofer i otworzył tylne drzwi. Ze środka, wspierając się na lasce, zaczął wysiadać starszy człowiek. Bezceremonialnie odsunął wyciągniętą mu do pomocy rękę szofera.

— Potrafię jeszcze wysiąść z samochodu o własnych siłach — wysapał, gramoląc się z samochodu. Wsiadł w końcu i stanął chwiejnie na nogach. — Zaczekaj tu na mnie — dodał. — To może trochę potrwać, ale masz czekać.

— Oczywiście, senatorze — odparł kierowca. — Te schody, sir... wyglądają na dość strome.

— Zostań na miejscu — rzucił senator Andrew Oakes. — Siadaj za kierownicą. Kiedy nadejdzie taki dzień, że nie będę mógł wejść na schody, wrócę do domu i pozwolę, by ktoś młodszy zajął moje miejsce. Ale jeszcze nie teraz. — Zasapał się nieco. — Nie teraz. Może za rok lub dwa. Zobaczymy. Zależy od tego, jak będę się czuł.

Powlókł się w stronę schodów, precyzyjnie wybierając na żwirowym podejździe miejsca do oparcia laski. Wszedł na pierwszy stopień, postął tam przez chwilę, zanim uczynił następny krok. Przy każdym takim przystanku rozglądał się na

lewo i prawo, jakby szukał kogoś, kto oceniłby jego wspinaczkę. Bezskutecznie jednak — w pobliżu nie było nikogo prócz szofera, który usiadł z powrotem za kierownicą i starał się nie patrzeć w stronę wkraczającego na schody mężczyzny.

Kiedy senator stanął między kolumnami portyku, otworzyły się drzwi.

— Cieszę się, że pana widzę, senatorze — rzekł Grant Wellington — ale niepotrzebnie zadawał pan sobie trud tej podróży. Mogłem przybyć do pana.

Senator zatrzymał się przed gospodarzem i oparł ciężko na lasce.

— Piękny dzień na przejażdżkę — powiedział. — Poza tym twierdził pan, że będzie sam.

Wellington skinął głową.

— Rodzina jest w Nowej Anglii, a służba ma dziś wolne. Będziemy zupełnie sami.

— To świetnie. U mnie nigdy nie ma spokoju. Ciągłe ktoś się kręci, telefony dzwonią bez przerwy. Tu będzie lepiej.

Wszedł do środka.

— Proszę na prawo — powiedział Wellington, zamykając drzwi.

Starzec wkroczył do gabinetu, szurając nogami, przeszedł po dywanie i zapadł się w głęboki, miękko wyściełany fotel, stojący przy kominku. Laskę położył ostrożnie na podłodze obok fotela i obrzucił spojrzeniem zastawione książkami półki, wielkie urzędnicze biurko, gustowne meble oraz obrazy wiszące na ścianach.

— Nieźle się panu powodzi, Grant — powiedział. — Czasami nawet mnie to niepokoi. Czy nie za dobrze?

— Nie będę walczył z podejrzeniami. Bałbym się ubrudzić

sobie ręce.

— Coś w tym rodzaju, Grant. Tłumaczę sobie, że się mylę. Ale w dzisiejszych czasach jest tyle przepychanek, zwłaszcza w świecie biznesu. — Wskazał dłonią obrazy na ścianach. — Ktoś, kto ma prawdziwego Renoira, będzie zawsze podejrzany.

— Co pan powie na drinka, senatorze?

— Jest na tyle późna pora — odparł rozważnie senator — iż mogę pozwolić sobie na kropelkę burbona. Bourbon to wspaniały trunek. Prawdziwie amerykański. Posiada własny charakter. Pamiętam, że pan pije szkocką.

— Z panem napiję się burbona — stwierdził Wellington.

— Słyszał pan, co się stało?

— Oglądałem relację w telewizji.

— Na czymś takim można się poważnie pośliznąć — rzekł senator. — Można naprawdę paskudnie się przejechać.

— Ma pan na myśli Hendersona?

— Nie tylko. Wszystkich. To zagraża im wszystkim.

Wellington podał gościowi szklaneczkę, po czym wrócił do barku i napełnił drugą. Senator rozsiadł się wygodniej, obrócił szklaneczkę w palcach, pociągnął łyk, w końcu z uznaniem wydał policzki. — Jak na Szkota — powiedział — ma pan znakomite trunki.

— Idę za pańskim przykładem — odrzekł Wellington, przechodząc przez gabinet i siadając na sofie.

— Wyobrażam sobie — zaczął senator — że człowiek w roku 1600 musiał mieć bardzo dużo na głowie. Może nawet więcej, niż potrafił sobie z tym poradzić. Jaką straszliwą ilość decyzji musiał podejmować. Tak, koszmarną ilość.

— Nie zazdroszczę mu — mruknął Wellington.

— To chyba najgorsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć —

ciągnął senator. — Zwłaszcza że w przyszłym roku czekają nas wybory. On będzie musiał cały czas o tym pamiętać, a ta świadomość jeszcze tylko pogorszy jego sytuację. Największy problem w tym, że musi zająć stanowisko, musi podjąć jakieś działania. Nikt nie jest do tego zmuszony, ale on tak.

— Jeśli chce pan powiedzieć — rzekł Wellington — że ja nie powinienem publicznie zabierać głosu ani podejmować jakichkolwiek akcji, to ma pan całkowitą rację. Niech pan nie stara się być subtelny, senatorze. Przebiegłość nie jest pańską mocną stroną.

— Cóż, może i tak — odparł senator. — Ale nie mogłem przecież przyjść i powiedzieć panu wprost, żeby siedział pan cicho.

— O ile ci ludzie naprawdę pochodzą z przyszłości...

— Oczywiście, że z przyszłości. Skąd mogliby pojawić się w ten sposób?

— Zatem nie możemy mieć do nich żalu — powiedział Wellington. — Są naszymi potomkami. Można ich porównać do gromadki dzieciaków, które spotkała jakaś przykrość i biegiem uciekają do domu.

— Nie byłbym tego wcale taki pewien — rzekł senator. — Ale nie o tym chciałem rozmawiać. Nie chodzi mi o tych ludzi, lecz o staruszkę Samę z Białego Domu. Został zmuszony do zrobienia pewnych posunięć, a tym samym naraża się na popełnienie błędu. Musimy dokładnie patrzeć mu na ręce i oceniać wszystkie jego działania. Niektóre z nich będziemy mogli zakwestionować, innych nie. Możliwe, iż pewne decyzje trzeba będzie wyraźnie poprzeć — nie możemy pozwolić sobie na pochopne sądy. Ale przede wszystkim nie wolno nam się narazić. Wie pan równie dobrze jak ja, że wielu ludzi w przyszłym roku nie poprze

kandydatury staruszka Sama, co oznacza, jak sobie wyobrażam, że będą oni głosować na pana. Z pewnością znajdzie się paru facetów, którzy w poczynaniach Sama zwietrzą okazję i żądni władzy zaczną głośno pyskować, ale mówię panu, Grant, ludzie nie będą pamiętali, kto zaczął pierwszy, ale kto miał rację.

— Oczywiście, wysoko cenię sobie pańską troskę — odparł Wellington — ale tak się składa, że odbył pan tę podróż nadaremnie. Nie miałem najmniejszego zamiaru zajmować jakiegokolwiek stanowiska w tej sprawie. Nie jestem jeszcze do końca przekonany, że należałoby się teraz wypowiadać.

Senator wyciągnął przed siebie pustą szklaneczkę.

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, prosiłbym jeszcze o odrobinę.

Wellington napełnił jego szklaneczkę, a senator ponownie rozsiadł się w fotelu.

— Zajęcie stanowiska — powiedział — będzie wymagało długotrwałego, dogłębnego przemyślenia sprawy. Może nie jest to jeszcze zbyt oczywiste, ale nadejdzie czas przedstawienia własnego sądu, a wtedy trzeba będzie dokładnie wszystko rozważyć i wybrać najbardziej odpowiednie stanowisko. To, co pan powiedział o ludziach, którzy są naszymi potomkami, jest godne uznania. Oczywiście, pańskie podejście wynika z długiej i chlubnej tradycji pańskiego rodu. Ale musi pan pamiętać, że wielu ludzi nie kultywuje wiekowych tradycji, nie chlubi się także swą sytuacją, a właśnie tych ludzi, stanowiących olbrzymią większość obywateli USA, w ogóle nie będzie obchodził los ich potomków. Niewykluczone, że fakt, iż chodzi o ich potomków, jeszcze bardziej ich rozwścieczy. Przecież w naszych czasach większość rodzin ma olbrzymie kłopoty ze swoim potomstwem. Z tuneli wyszły już miliony ludzi, a następne wciąż napływają.

Wolno nam jeszcze wznosić nabożnie ręce i pytać, jak zaopiekować się tymi ludźmi; prawdziwy wybuch nastąpi dopiero wówczas, gdy zaznaczy się wpływ dodatkowych milionów mieszkańców na naszą gospodarkę. Zapasy żywności i innych towarów mogą błyskawicznie stopnieć, ceny zaczną rosnać, pojawią się kłopoty mieszkaniowe, skurczy się rynek pracy, narosną niedobory rynkowe. Teraz wygląda to na problem czysto ekonomiczny, ale wkrótce, kiedy odczują to na własnej skórze każdy mężczyzna i każda kobieta w najdalszych zakątkach tego kraju i nic nie będzie można na to poradzić, przestanie to być tylko problemem ekonomistów. Właśnie wtedy człowiek pańskiego pokroju będzie zmuszony przedstawić swoje stanowisko, po uprzednim rozważeniu wszystkich aspektów sprawy.

— Dobry Boże — westchnął Wellington. — To wszystko dzieje się na naszych oczach. Nasi krewniacy uciekają do nas z przyszłości, a my dwaj siedzimy tu i próbujemy znaleźć najwygodniejsze, bezpieczne stanowisko polityczne...

— Polityka to bardzo skomplikowany i niezwykle praktyczny biznes — odparł senator. — Musimy do niego podchodzić trzeźwo, nie możemy sobie pozwolić na uleganie emocjom. To jest pierwsza zasada, o której musi pan zawsze pamiętać: absolutnie nie można sobie pozwolić na kierowanie się emocjami. Oczywiście, okazywanie ich robi znakomite wrażenie, czasami jest to świetny wabik na część elektoratu. Ale zanim pozwolimy sobie na uzewnętrznienie naszych uczuć, musimy mieć zawczasu wszystko dokładnie przygotowane. Można okazywać swe emocje dla efektu, ale naprawdę nie wolno im ulegać.

— Przedstawia to pan, senatorze, w niezbyt atrakcyjny sposób,

pozostawiający raczej smak goryczy.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparł senator. — Znam dobrze ów smak goryczy. Ale pan musi o nim po prostu zapomnieć, to wszystko. Być mężem stanu i kierować się pobudkami humanitarnymi to wielki zaszczyt, lecz zanim się nim zostanie, trzeba się zmienić w brudnego polityka. Przede wszystkim trzeba odnieść sukces w wyborach, a tego nie osiągnie się bez zabrudzenia sobie w jakimś stopniu rąk. — Postawił szklaneczkę na stoliku obok fotela, pomacał dłonią otoczenie w poszukiwaniu laski, wreszcie znalazł ją i powstał. — Myślę, że rozumie pan — dodał — iż przed udzieleniem oficjalnej wypowiedzi powinien pan porozumieć się ze mną. Ja mam już to wszystko za sobą, przechodziłem przez to wielokrotnie. Chyba można powiedzieć, że rozwinąłem w sobie niezwykły instynkt polityczny i rzadko się mylę. Wiele rzeczy słyszy się w Kongresie. Zwłaszcza że mam naprawdę dobrych informatorów. Będę wiedział, gdyby zanosilo się na coś poważnego, będziemy mieli zatem czas, by przestudiować sytuację.



Konferencja prasowa przebiegła bez zakłóceń. Przygotowania do wystąpienia prezydenta w telewizji zostały zakończone. Zegar ścienny wskazywał, że dochodziła szósta. Teleksy nadal postukiwały cicho.

— Możesz sobie zrobić na dziś fajrant — odezwał się Wilson do Judy. — Najwyższa pora zwijać kram.

— A ty?

— Muszę jeszcze zostać. Weź mój samochód. Pojadę taksówką i zabiorę go spod twojego domu.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kluczyki i wręczył jej.

— Jak przyjedziesz, wpadnij na drinka — powiedziała Judy. — Będę czekała.

— Może być już dość późno.

— Jeśli będzie za późno, najwyżej nie wrócisz do domu. Ostatnim razem zostawiłeś szczoteczkę do zębów.

— A piżama? — zapytał.

— Czy kiedykolwiek potrzebna ci była piżama?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

— Dobra, może być ze szczoteczką i bez piżamy.

— Może odbiję sobie jeszcze dzisiejsze popołudnie.

— Dzisiejsze popołudnie?

— Nie pamiętasz? Mówiłam ci, co miałam zamiar zrobić.

— Ach, tak.

— Właśnie: ach, tak. Nigdy nie robiłam tego w ten sposób.

— Jesteś bezwstydnym dzieciakiem. No, ruszaj już.

— Bufet ma serwować kawę i kanapki w sali konferencyjnej. Jak uśmiechniesz się do nich ładnie, może rzuca ci jakąś suchą przylepkę.

Siedział i przyglądał się, jak odchodzi tym swoim pewnym i zarazem lekkim krokiem, który go zawsze intrygował i wprawiał w zakłopotanie — jakby była duszkiem, świadomie starającym się uchodzić za istotę z krwi i kości.

Zebrał porozrzucane na biurku papiery i odsunął je na bok.

Zagłębił się w fotelu i zasłuchał w dobiegające zewsząd dźwięki. Gdzieś w oddali dzwonił telefon. Rozbrzmiewały przytłumione odgłosy czyichś kroków. W centrum prasowym ktoś stukał na maszynie, a za ścianą bezustannie terkotały dalekopisy.

“To istny obłęd — stwierdził w duchu. — Ta cała sprawa to czyste szaleństwo. Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby choćby w jedno słowo. Tunele czasowe i obcy najeźdźcy z kosmosu należą do repertuaru telewizyjnego, którym pasjonuje się młodzież. Czy nie jest to przywidzenie, zbiorowa halucynacja? Kiedy jutro rano wstanie słońce, czy to wszystko nie zniknie, a świat nie pójdzie swoim utartym torem?”

Odsunął fotel i wstał. Na pulpicie biurka Judy migało kilka światełek, ale zignorował je. Wyszedł na korytarz i zbiegł po schodach do drzwi prowadzących na zewnątrz. W ogrodzie powoli słabł żar letniego dnia, na trawnikach kładły się wydłużone cienie drzew. Rabaty kwiatowe stały w pełni swojej glorii — róże, heliotropy, geranium, tytoń, orliki i stokrotki. Stanął i zapatrzył się na bielejący w głębi parku pomnik

Waszyngtona.

Doszedł go z tyłu odgłos kroków i odwrócił się. W pewnej odległości stała kobieta w sięgającej kostek białej sukni. Na nogach miała sandały.

— Panna Gale — rzekł nieco zaskoczony. — Cóż za miła niespodzianka.

— Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego — odezwała się dziewczyna. — Nikt mnie nie zatrzymywał. Czy mogę tu przebywać?

— Oczywiście. Jest pani gościem...

— Musiałam zobaczyć ogród. Tak wiele o nim czytałam.

— To znaczy, że pani nigdy tu nie była?

Zawahała się.

— Tak, byłam. Ale to nie to samo. Tam nie było niczego podobnego.

— No cóż — odparł. — Domyślałam się, że wiele rzeczy się zmieniło.

— Tak, to prawda.

— Czy coś się stało?

— Nie, chyba nie — odparła niepewnym głosem. — Widzę, że pan nie rozumie. Chyba nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałabym panu powiedzieć.

— O czym? Ó tym miejscu?

— Właśnie. W moich czasach, pięćset lat w przyszłość, nie ma tu ogrodu. W ogóle nie ma Białego Domu.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— No proszę, nie wierzy mi pan. I nie uwierzy. U nas nie ma podziału na narody, jesteśmy jednym wielkim narodem, chociaż nie jest to do końca prawdą. Nie ma podziału na narody i nie ma Białego Domu. Zostało tylko kilka zrujnowanych ścian

i zardzewiałe szczątki ogrodzenia, które można znaleźć, gdy pogrzebie się butem w ziemi. Nie ma żadnego parku, nie ma rabat kwiatowych. Czy potrafi pan to zrozumieć? Czy wie pan, co to oznacza dla mnie?

— Ale dlaczego? Kiedy?

— Nie w najbliższej przyszłości. Nawet nie w ciągu stulecia. A teraz to może się o ogóle nie wydarzyć. Jesteście na innej ścieżce czasu.

Oto stała przed nim drobniutka dziewczyna, w prostej białej sukni, przewiązanej paskiem, i mówiła o różnych ścieżkach czasu oraz o przyszłości, w której nie będzie Białego Domu. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Ile pani rozumie — zapytał — jeśli chodzi o teorię ścieżek czasowych? Pamiętam, że pani ojciec mówił o tym, ale było tak wiele innych spraw...

— Istnieją równania, które powinniście poznać, żeby wszystko zrozumieć — odpowiedziała. — Jak sądzę, tylko kilka osób naprawdę zna się na tej teorii. Ale jej podstawy są bardzo proste. Opiera się na relacji przyczynowo—skutkowej i jeśli zmieni się jakąś przyczynę, a tym bardziej wiele przyczyn, jak to uczyniliśmy naszym przybyciem do waszej epoki...

Zrobił dłonią gest zniecierpliwienia.

— Ja po prostu nie mogę w to uwierzyć — rzekł. — Nie tylko w ścieżki czasu, ale w ogóle we wszystko. Obudziłem się dziś rano, mając zamiar pojechać na piknik. Czy wie pani, co to jest piknik?

— Nie — odparła. — Nie wiem, co to jest piknik. Zatem jesteśmy kwita.

— Któregoś dnia zabiorę panią na piknik.

— Z miłą chęcią — powiedziała. — Czy to coś przyjemnego?



Bentley Price wrócił do domu nieco skołowany, lecz z poczuciem triumfu — udało mu się przekonać żołnierzy blokujących drogę, żeby go przepuścili, wymusić pierwszeństwo przejazdu na dżipie oraz nadużywając klaksonu, przedrzeć się przez dwa sektory wypełnione tłumami uchodźców i gapiów, którzy mimo wysiłków żandarmerii nadal gromadzili się w całej dzielnicy. Ulicę częściowo zagradał jakiś samochód, ominął go jednak łukiem, ścinając przy tym krzak róży.

Zapadła już noc i po tym pełnym krzątaniny dniu Bentley marzył jedynie o rzuceniu się na łóżko. Przedtem jednak musiał zabrać z samochodu aparaty oraz pozostały sprzęt. Nie miał zamiaru zostawiać wszystkiego w zamkniętym samochodzie, zwłaszcza że w okolicy kręciło się tak wielu ludzi. Zamknięty wóz nie stanowił żadnego problemu dla wprawionego w swym fachu złodzieja. Zarzucił paski trzech aparatów fotograficznych na szyję i wyciągnął właśnie ciężką torbę ze sprzętem, kiedy z przerażeniem spostrzegł, co się stało z rabatami kwiatowymi Edny.

W samym środku, z kołami zagłębionymi w ziemi, stała armata, wokół której krzatali się żołnierze. Stanowisko artyleryjskie oświetlał jasno wielki przenośny reflektor, umieszczony wysoko na gałęzi drzewa, a snop światła rozwiewał

wszelkie wątpliwości co do rozmiaru spustoszeń wśród kwiatów.

Bentley ruszył w tamtą stronę niczym szarżujący byk, odepchnął stojącego mu na drodze zdumionego kanoniera, wreszcie — nastroszony niczym szkolony do walk kogut — zmierzył się z młodym mężczyzną, noszącym na rękawach oficerskie naszywki.

— Miał pan czelność — zaczął — wtargnąć tu, kiedy akurat właścicieli nie było w domu...

— Czy to pański dom, sir? — zapytał kapitan.

— Nie, ale jestem za niego odpowiedzialny — odparł Bentley.
— Powierzono mi pieczę nad tą posiadłością i...

— Proszę nam wybaczyć, sir — rzekł oficer — że rozgniewaliśmy pana, ale mamy rozkazy.

— Czyżby otrzymał pan rozkaz, żeby ustawić to urządzenie w samym środku ogródka kwiatowego Edny? — naskoczył na niego Bentley. — Przypuszczam, że rozkaz dotyczył dokładnie środka ogródka, nie mogło to być ani dalej o metr, ani bliżej, tylko precyzyjnie pośrodku rabat, które gospodyni z całym poświęceniem pielęgnowała, by osiągnąć doskonałość...

— Nie, niezupełnie. Otrzymaliśmy rozkaz ustawić działo na wprost wylotu tunelu czasowego i zrobić wszystko, żeby oczyścić linię strzału.

— Przecież to bez sensu — rzekł Bentley. — Dlaczego mielibyście celować w tunel, z którego wychodzą ci wszyscy biedni ludzie?

— Nie wiem. Nikt nie raczył nam tego wyjaśnić. Po prostu dostałem rozkaz i robię wszystko, żeby go wykonać, bez względu na rabaty kwiatowe, obecność czy też nieobecność właściciela.

— Odnoszę wrażenie, że nie jest pan człowiekiem kulturalnym — podsumował Bentley. — Nie jest pan dżentelmenem, czego

należałoby się spodziewać po oficerze. Z pewnością żaden dżentelmen nie ustawiałby armaty pośrodku klombu. Poza tym, który oficer kieruje działą w uchodźców...

Piskliwy wrzask rozdarł ciszę nocną. Bentley odwrócił się błyskawicznie i ujrzał, że coś straszego dzieje się we wnętrzu tunelu. Nadal wyłaniali się stamtąd ludzie, lecz nie maszerowali już spokojnie czwórkami i piątkami jak poprzednio. Wypadali biegiem, chcąc jak najszybciej się wydostać, a ponad nimi i pośród szeregów przesuwało się coś tak przerażającego, że Bentley w pierwszej chwili nie potrafił sobie nawet tego uzmysłwić. Mignęły mu straszliwe kły, ociekająca śliną paszcza, potężne szpony, wieńczące masywne, okryte futrem łapy — świadczące o olbrzymiej sile i okrucieństwie. Niemal odruchowo chwycił aparat i uniósł go do oczu.

Dostrzegł przez obiektyw, że nie jest to jedno, ale dwa stworzenia; pierwsze znajdowało się już przy wylocie tunelu, drugie pędziło tuż za nim. Ujrzał wyrzucane w powietrze ciała ludzi, bezwładne niczym lalki ciskane przez dziecko. Inni padali stratowani pod nogami potwora. Przed oczyma mignęły mu także wijące się macki, jak gdyby stworzenia nie potrafiły podjąć decyzji, czy mają być drapieżnikami, czy ośmiornicami.

Za jego plecami rozległy się nagle głośnie komendy i niemal tuż przy jego ramieniu z lufy działa buchnął snop ognia, oświetlając okoliczne domy, podwórza i ogrody. Huk wystrzału ogłuszył go, cisnął na bok. Padł na ziemię i przetoczył się. Błyskawicznie próbował zorientować się w sytuacji. Wylot tunelu zamigotał nagle w dziwnej eksplozji, stanowiącej jak gdyby echo armatniego wystrzału, choć towarzyszył temu jeszcze bardziej ogłuszający, szarpiący wszystkimi nerwami huk. Na ziemi leżeli martwi ludzie, ciała ich dymiły, jakby wypadły z pieca. Jeden

z potworów leżał na trawniku obok pnia wielkiego dębu, gdzie otworzył się tunel czasowy, drugi jednak nie ucierpiał ani trochę. Tworzył wraz z działem i jego obsługą dziwaczne kłębowisko, z którego wypadali wrzeszczący z przerażenia ludzie.

Bentley poderwał się na nogi i szybkim spojrzeniem obrzucił ogródek. Żołnierze leżeli martwi — w nienaturalnych pozach, zmasakrowani. Z lufy przewróconego działła sączyła się smużka dymu. W głębi ulicy rozległy się piskliwe wrzaski. Bentleyowi mignął wielki ciemny kształt, poruszający się z niezwykłą szybkością — przeciął róg podwórka, wpadł na ażurowe ogrodzenie z listewek, które eksplodowało fontanną białych szczap, po czym zniknął po drugiej stronie.

Bentley ruszył biegiem; minął narożnik budynku, wskoczył przez drzwi kuchenne i chwycił za słuchawkę telefonu, niemal instynktownie nakręcając numer, modląc się w duchu, by linia nie była zajęta.

— Global News — odezwał się zachrypnięty głos. — Manning.

— Tom, tu Bentley.

— Tak. Co się stało, Bentley? Gdzie jesteś?

— U siebie, w domu Joego. Mam nowiny.

— Nie jesteś przypadkiem pijany?

— Cóż, odwiedziłem pewien lokal i wypilem dwa głębsze. Sam wiesz, jest niedziela, wszystkie porządne bary zamknięte. A kiedy wróciłem do domu, zastałem na podwórku, w samym środku rabat kwiatowych Edny, ustawioną armatę...

— Do diabła — przerwał mu Manning. — To żadna nowina. Wiemy o tym już od kilku godzin. Z jakiegoś powodu rozmieszczają działa przed wylotami wszystkich tuneli.

— Ale ja znam ten powód.

— Świetnie, to już coś.

— Owszem, z tunelu wypadł potwór...

— Potwór!? Jaki znowu potwór!?

— Sam dobrze nie wiem — odparł Bentley. — Nie zdążyłem mu się nawet dobrze przyjrzeć. Poza tym to nie był jeden potwór, ale dwa. Pierwszego zabito z działa, a drugi uciekł. Wymordował żołnierzy, przewrócił armatę, a gdy ludzie zaczęli uciekać z wrzaskiem, zwiął. Widziałem, jak przedarł się przez ogrodzenie...

— Chwileczkę, Bentley — wtrącił Manning. — Nie wszystko naraz. Zwolnij trochę i zacznij od początku. Mówisz, że potwór uciekł. To znaczy, że jest na wolności...

— Tak. Zabił żołnierzy obsługujących działą, a pewnie także innych ludzi. Tunel przestał istnieć, a w tym miejscu leży martwy potwór.

— Powiedz mi o nim coś więcej. Jak wygląda?

— Trudno powiedzieć, ale mam jego zdjęcia.

— Tego zabitego, jak się domyślam.

— Nie, żywego — odparł Bentley podniesionym, pełnym pogardy głosem. — Nie zawracałbym sobie głowy zabitym potworem, jeśli miałem okazję sfotografować żywego.

— Posłuchaj, Bentley. Słuchaj uważnie. Czy jesteś w stanie usiąść za kierownicą?

— Pewnie, że jestem. Przecież dojechałem do domu, prawda?

— W porządku. Zaraz wyślę tam kogoś. A ty... Chcę, żebyś przyjechał tu ze zdjęciami najszybciej, jak tylko możesz. Poza tym, Bentley...

— Tak?

— Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś? Czy to rzeczywiście był potwór?

— Jestem absolutnie pewien — uroczyście zapewnił Bentley.

— Wypiłem tylko dwa małe drinki.



Steve Wilson wszedł do sali konferencyjnej w poszukiwaniu kawy i kanapek. Nadal kręciło się tam kilkunastu dziennikarzy.

— Jest coś nowego, Steve? — zagadnął go Carl Anders zAP.

Wilson pokręcił głową.

— Wygląda na to, że panuje spokój. Sądzę, że otrzymałbym informacje, gdyby wydarzyło się coś ważnego.

— I przekazałbyś nam?

— Przekazałbym wam — rzekł ostro. — Do cholery, wicie przecież dobrze, że nic przed wami nie ukrywamy.

— Na pewno? To po co te armaty?

— Zwykły środek ostrożności. Zostały jeszcze jakieś kanapki, czy wykończyliście wszystkie, chłopcy?

— Są tam, w rogu, Steve — rzekł John Gates z "Washington Post".

Wilson nałożył sobie dwie kanapki na talerzyk i nalał kawy do kubeczka. Kiedy przemierzał z powrotem salę, Gates, który tkwił do tej pory oparty o biurko, ruszył za nim. Wilson postawił talerzyk i kubeczek z kawą na stoliku ustawionym naprzeciw biurka i usiadł.

Anders zajął fotel obok. Henry Hunt, reporter "New York Timesa", usiadł na biurku na wprost Wilsona.

— To był bardzo długi dzień, Steve — zaczął.

Wilson wbił zęby w kanapkę.

— I burzliwy — dodał po chwili.

— Co się teraz dzieje? — zapytał Anders.

— Raczej niewiele. Nie wiem o niczym ważnym. Nie mam wam nic nowego do przekazania, o niczym nie wiem. Gates zachichotał.

— Chyba możesz mówić, prawda?

— Pewnie, że mogę, ale nic dla was nie mam. Znaście reguły gry, chłopcy. Gdyby jakimś trafem powiedziało mi się po tym wszystkim coś sensownego, wy o niczym nie słyszeliście.

— Do diabła, to oczywiste — rzekł Anders. — Sam byłeś dziennikarzem. Wiesz, jak to jest.

— Wiem, jak to jest — mruknął Wilson.

— Zastanawia mnie jedna rzecz — odezwał się Hunt. — W jaki sposób ktokolwiek, nawet prezydent, poradzi sobie z tym wszystkim. Przecież to sprawa bez precedensu. Do tej pory nie zdarzyło się nic podobnego, do niczego tej sytuacji nie można porównać. Zwykle kryzys narastał powoli, można było przewidzieć bieg wydarzeń i jakoś się przygotować. Ale nie w tym przypadku. To spadło na nas zupełnie bez ostrzeżenia.

— Mnie również zastanawia — powiedział Anders — jak macie zamiar się w tym wszystkim pozbierać.

— To spadło jak grom z jasnego nieba — odparł Wilson. — Nie można tego zignorować, trzeba zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy. Musimy postarać się to rozgryźć. W przypadku takim jak ten należy zachować właściwą dozę sceptycyzmu, a to oznacza, że nie można rozeznaczyć w sytuacji tak szybko, jak by się tego chciało. Trzeba przeprowadzić rozmowy z wieloma ludźmi, sprawdzić wszystkie informacje i starać się wypracować właściwy osąd. Podejrzewam, że można by zasypać tych ludzi

pytaniem. Oczywiście, nie chodzi mi o...

— Czy to właśnie uczynił prezydent? — zapytał Anders.

— Nic takiego nie powiedziałem. Rozwazałem tylko głośno.

— Co ty sam o tym myślisz, Steve? — wtrącił Gates. — Nie prezydent, ale ty.

— Trudno powiedzieć — odparł Wilson. — Wszystko jest jeszcze zbyt świeże. Parę minut temu przyszło mi do głowy, że to nie może dziać się naprawdę, że gdy obudzimy się rano, stwierdzimy, że to znikło. Oczywiście, wiem dobrze, że tak nie jest, ale nie sposób nie myśleć tak o tym. Zdobyłem się na to, żeby dać wiarę, iż ci ludzie naprawdę przybyli z przyszłości. Nawet jeśli nie, to i tak musimy się nimi zająć. Na dobrą sprawę nie ma większego znaczenia, skąd oni pochodzą.

— To znaczy, że ty, osobiście, masz jeszcze wątpliwości?

— Co do ich pochodzenia z przyszłości? Nie, w zasadzie nie mam wątpliwości. Ich wyjaśnienia trzymają się kupy. Zresztą, dlaczego mieliby kłamać? Co mogliby zyskać w ten sposób?

— A jednak ty...

— Nie, chwileczkę. Nie chcę, żebyście zaczęli spekulować, czy wyjaśnienia, które uzyskaliśmy, są prawdziwe. To nie miałyby sensu. Pamiętajcie, że tylko tak sobie rozmawiamy. Jakbyśmy spotkali się przy kawie.

Drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się z hukiem. Wilson uniósł szybko głowę. W progu stanął Brad Reynolds. Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zakłopotanie.

— Steve! — zawołał. — Steve, muszę z tobą porozmawiać!

— Co się stało? — zapytał Hunt.

Za otwartych drzwi dobiegł jazgot brzęczyka teleksu, sygnalizującego pilny komunikat.

Wilson zerwał się na nogi tak gwałtownie, że potrącił stolik

i przewrócił kubek z kawą, która pociekła strumyczkiem po blacie i zaczęła skapywać na dywan.

Szybko przemierzył salę i chwycił Reynoldsa za ramię.

— Potwór się przedarł! — oznajmił Reynolds. — Global News przekazała wiadomość, podali ją już w radiu.

— Na miłość boską! — jęknął Wilson. Obejrzał się szybko przez ramię na dziennikarzy i dostrzegł, że tamci wszystko słyszeli.

— Co to za historia z potworem?! — wykrzyknął Anders. — Nie wspominałeś nam nic o potworach!

— Później — rzucił rozpaczliwie Wilson. Wypchnął Reynoldsa z sali i zatrzasnął drzwi. — Myślałem, że razem z Frankiem pracujecie nad wystąpieniem telewizyjnym — rzekł. — Jakim sposobem...

— Słyszeliśmy w radiu — odparł Reynolds. — Co teraz zrobimy z przemówieniem przed kamerami? Nie możemy już tego odwołać, a została nam ledwie godzina.

— Zajmiemy się tym — rzekł Wilson. — Czy Henderson już wie?

— Frank pobiegł do niego. Ja miałem znaleźć ciebie.

— Czy wiesz dokładnie, co się stało? Gdzie to miało miejsce?

— Niedaleko, w Wirginii. Dwa z nich przeszły przez tunel. Jednego zabili z działa, drugiemu udało się przedrzeć. Wymordował artylerzystów...

— To znaczy, że jeden z nich się przedostał?

Reynolds żałośnie pokiwał głową.



Tom Manning odwrócił się od biurka, wkręcił czystą kartkę papieru w maszynę i zaczął pisać:

Potwór z trzeciej cywilizacji.

WASZYNGTON, D.C (GN) — Dziś wieczorem przedostała się na Ziemię bestia z kosmosu. Nikt nie wie, gdzie się znajduje. Wyskoczyła z tunelu czasowego w Wirginii, zabiła obsługę działa wycelowanego w wylot tunelu, mającą za zadanie zapobiec tego typu wypadkowi, i zniknęła. Druga bestia wychodząca z tunelu została zabita pociskiem armatnim.

Nie potwierdzone doniesienia mówią o innych — oprócz żołnierzy — ofiarach śmiertelnych potwora z tunelu.

Naoczni świadkowie utrzymują, że bestia była ogromna i poruszała się niewiarygodnie szybko. Nikt nie zdążył jej się dobrze przyjrzeć. “Pędziła tak, że w ogóle trudno ją było zobaczyć” — stwierdził jeden ze świadków. W kilka sekund po wyjściu z tunelu potwór zniknął. Nie ma żadnych informacji co do jego obecnego miejsca pobytu.

— Panie Manning — odezwał się ktoś za jego plecami.

Manning spojrzął przez ramię i ujrzał gońca.

— Zdjęcia pana Price'a — rzekł tamten, wyciągając ku niemu

plik fotografii.

Manning rzucił okiem na pierwszą odbitkę i gwałtownie wciągnął powietrze.

— Jezu Chryste! — mruknął pod nosem. — Czy ktoś widział coś podobnego?

Ujęcie należało do tych, o jakich marzą redakcje reklamujące filmy grozy, tyle że pozbawione było charakteryzującego reklamy fałszu. Stworzenie było w trakcie skoku, prawdopodobnie w kierunku grupy artylerzystów. Musiało poruszać się bardzo szybko; emanowała z niego olbrzymia siła i gwałtowność. Aparat Bentleya uchwycił obnażone kły, szpony uniesionej w górę łapy, błyszczące pośród futra, kłęb macek wyrastających wokół szerokiego karku. Oczy rzucały błyski nienawiści, gęsta grzywa wokół szyi sterczała nastroszona. Cała postać stworzenia wyrażała zło. To była prawdziwa bestia, nawet coś gorszego niż bestia. Emanowało z niej coś, co powodowało, że włosy stawały na głowie. Nie był to dreszcz przerażenia, ale podświadomy, niezrozumiały strach.

Manning odwrócił się do biurka, położył na nim plik fotografii i jednym ruchem dłoni rozłożył je w wachlarz, jakby rozkładał talię kart. Wszystkie zdjęcia były przerażające. Kilka z nich przedstawiało — w niezbyt przypadających Manningowi do gustu ujęciach — jatkę u wylotu tunelu i martwego potwora na szczycie piramidy zmasakrowanych ciał.

— Ten przeklęty Price — mruknął Manning — nie zrobił zdjęcia potwora pośród żołnierzy obsługujących działą.



— Nie możemy odwołać pańskiego wystąpienia w telewizji — powiedział Wilson do prezydenta. — Sytuacja jest już wystarczająco zła, a byłaby o wiele gorsza, gdybyśmy odwołali wystąpienie. Damy sobie z tym radę; dołożymy jeden czy dwa akapity na początku. Proszę powiedzieć, że incydent w Wirginii zdarzył się stosunkowo niedawno i nie można go jeszcze skomentować. Proszę także zaznaczyć, iż obcy zostanie wytropiony, osaczony i zabity, i że już ruszono jego śladem...

— Przecież to nieprawda — przerwał mu prezydent. — Nie wiemy, do diabła, gdzie on może być. Nie wpłynął jeszcze żaden meldunek. Pamiętasz, co powiedział Gale? Jak szybko one potrafią się poruszać? Wędrując w ciemnościach, być może zaszył się już głęboko w górach Zachodniej Wirginii i będzie czekał w ukryciu do świtu.

— Tym bardziej powinien pan, panie prezydencie, przemówić do narodu — wtrącił Frank Howard, który wraz z Reynoldsem pracował nad tekstem wystąpienia. — Ludzie, wszyscy ludzie w kraju zaczną o tym mówić i musimy zawczasu ich uspokoić.

— Chyba zdajesz sobie sprawę, Frank — odparł prezydent — że nie chciałbym teraz uspokajać ludzi. Czy nie przyszło ci do głowy, że nie chodzi tu o zagrywkę polityczną? To coś znacznie poważniejszego. Nie umiem nawet określić, jak wielkie

niebezpieczeństwo zagraża ludziom, wiem jednakże, że im zagraża. Poprosiłem Gale'a, by zszedł tu do nas na dół i powiedział, co o tym sądzi. On o wiele lepiej potrafi ocenić sytuację niż my.

— Nie chce zrozumieć pan jednej rzeczy, panie prezydencie — odezwał się Wilson. — Cały kraj czeka na pańskie wystąpienie. Obywatele chcieliby usłyszeć jakieś uspokajające słowa, a jeśli nie może pan im tego zapewnić, to proszę przynajmniej dać do zrozumienia, że pracujemy nad sprawą. Jeśli zobaczą i usłyszą pana, to ten fakt, sam w sobie, będzie dla nich wystarczającym dowodem, że nie wszystko jeszcze stanęło na głowie. Ludziom potrzebna jest świadomość, że rząd wie, co się dzieje.

Zadzwoił telefon na biurku. Prezydent sięgnął po słuchawkę.

— Słucham.

— Telefon do pana Wilsona, panie prezydencie. Pilna wiadomość. Czy mogę przełączyć rozmowę?

Prezydent wyciągnął słuchawkę w stronę Wilsona.

— Tu Henry — rozległ się głos Hunta. — Wybacz, że przeszkadzam, ale sądziłem, że powinniście o tym wiedzieć. Jeden z pozostałych tuneli, w Wisconsin, przestał działać. Właśnie AP przekazała wiadomość.

— Mówisz, że przestał działać? Nie zdarzyło się to, co w Wirginii? Nic się nie przedarło?

— Chyba tak. Wiadomość mówi tylko, że przestał działać. Zniknął. Tylko tyle.

— Dzięki, Henry. Dziękuję za informację. — Zwrócił się do prezydenta:

— Kolejny tunel przestał działać. Zniknął. Przypuszczalnie dokonali tego ludzie z tamtej strony. Pamiętaj pan, że Gale mówił, iż zostawili na straży ludzi, którzy mieli zniszczyć tunel, gdyby

działo się coś złego.

— Pamiętam — odparł prezydent. — Musieli się do nich dostać najeźdźcy. Aż boję się o tym pomyśleć. Ile trzeba mieć odwagi, żeby zdobyć się na taki krok. Prawdopodobnie ci, którzy strzegli tunelu w Wirginii, nie mieli nawet szans uczynić to.

— Wracając do pańskiego przemówienia, panie prezydencie — podjął Reynolds. — Zostało już niewiele czasu.

— W porządku. Chyba jestem zmuszony wystąpić. Zróbcie co w waszej mocy, ale ani słowa o wytropieniu i osaczeniu.

— Będzie pan musiał powiedzieć prawdę — stwierdził Wilson. — Należy ludziom wyjaśnić, czym jest ten potwór. Będziemy zmuszeni zaznaczyć, że właśnie owe potwory są powodem ucieczki ludzi przez tunele czasowe.

— Podniesie się krzyk, żeby pozamykać wyloty tuneli — wtrącił Reynolds.

— Trudno — stwierdził prezydent. — Nie znamy innego sposobu na ich zamknięcie niż wystrzał z działa. A przecież bez powodu nie możemy strzelać do tłumu uchodźców, naszych uchodźców.

— W dość krótkim czasie problem może w ogóle przestać istnieć — zauważył Howard. — Jeden tunel już zniknął, wkrótce wyłączą się inne. Możliwe, że za kilka godzin nie będzie żadnego.

— Mam nadzieję, że nie — odparł prezydent. — Bez względu na to, co się jeszcze wydarzy, bez względu na problemy, jakie mogą się pojawić, żywię głęboką nadzieję, że uda się przejść wszystkim.

W drzwiach pojawiła się Kim.

— Przyszedł pan Gale, panie prezydencie.

— W porządku, wpuść go.

Gale wszedł do gabinetu przygarbiony, powłócząc nogami,

lecz po chwili wyprostował się i sprężystym krokiem podszedł do biurka. Na jego twarzy malowało się zmęczenie.

— Tak mi przykro, panie prezydencie — rzekł. — Brak mi odpowiednich słów, by wyrazić mój żal i żal moich ludzi. Sądziłyśmy, że nasze zabezpieczenia okażą się skuteczne.

— Proszę usiąść, panie Gale — powiedział prezydent. — Może pan nam teraz pomóc. Potrzebujemy pańskiej pomocy.

Gale ostrożnie usiadł w fotelu.

— Chodzi panu o obcych? Chcielibyście dowiedzieć się o nich czegoś więcej? Powinienem był powiedzieć więcej już dziś po południu, ale mieliśmy tak wiele spraw, a ja nie sądziłem...

— W pełni się z panem zgadzam. Poczyniliście pewne kroki, by uniknąć tego, co się wydarzyło. Możliwe, że zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy. Lecz obecnie potrzebujemy pańskiej pomocy, żeby odnaleźć to stworzenie. Musimy poznać jego zwyczaje, musimy wiedzieć, czego możemy się spodziewać. Trzeba je wytropić.

— Na szczęście przedostało się tylko jedno z nich — wtrącił Reynolds. — Kiedy je schwytamy...

— Niestety — przerwał mu Gale. — To wcale nie jest takie szczęście, jak się panu wydaje. Obcy są istotami obupłciowymi...

— Chce pan powiedzieć...

— Dokładnie to chcę powiedzieć — odparł Gale. — Młode wykluwają się z jaj. Każdy dorosły osobnik może złożyć zapłodnione jaja. A obcy składają je w olbrzymiej ilości. Zaraz po wykluciu młode stworzenie nie wymaga żadnej opieki, w każdym razie one nie opiekują się młodymi i...

— Zatem musimy go znaleźć — powiedział prezydent — zanim zaczną składać jaja.

— Tak — odrzekł Gale — chociaż obawiam się, że może być już

za późno. Należy spodziewać się, że stworzenie to zacznie składać jaja w ciągu kilku godzin od chwili wyjścia z tunelu. Z pewnością zda sobie sprawę ze swego krytycznego położenia. Przede wszystkim musicie pozbyć się złudzeń i przestać traktować obcych jak zwykle potwory. To nie są zwyczajne stworzenia. Odznaczają się bardzo wysoką inteligencją. Ich procesy myślowe, a także fizjologia, podporządkowane są rytualnej drapieżności. Przynajmniej my sądzimy, że wynika to z rytuału. Ale nie oznacza to wcale, że są zwierzętami. Stworzenie, które się przedostało, zdaje sobie sprawę, iż jest jedynym przedstawicielem gatunku w tym konkretnym czasie, że cała przyszłość jego gatunku w tutejszej odnodze czasowej może zależeć tylko i wyłącznie od niego. Można przypuszczać, że jego świadomość jakimś sposobem zapanuje nad ciałem i organizmem. Reagując na zagrożenie, uruchomi wszelkie rezerwy fizyczne, ukierunkowując je na produkcję tak wielu jaj, jak to tylko możliwe. Co więcej, rozumiejąc, że może w końcu zostać wytropione i zabite oraz że będą prowadzone poszukiwania gniazd z jajami, stworzenie zacznie rozmieszczać ich kopczyki na jak największym obszarze. Będzie wyszukiwało odludne, najbardziej niedostępne miejsca na swoje gniazda. Rozumiecie chyba, że ono już toczy walkę, nie dba o własne życie, a cały instynkt skierowany jest na zachowanie gatunku.

Czterej mężczyźni w gabinecie siedzieli jak sparaliżowani w zapadłej nagle ciszy. W końcu prezydent poruszył się i powiedział:

— Zatem nie daje nam pan żadnych szans na odnalezienie go, zanim zacznie składać jaja?

— Skłonny jestem twierdzić, że nikt nie ma tu najmniejszych szans — odparł Gale. — Obcy prawdopodobnie już złożył pewną

ilość jaj i będzie je składał nadal. Chyba powinienem zostawić wam jakąś nadzieję, choćby tylko po to, by w nikłym stopniu zmazać moją winę, winę naszej społeczności. Ale byłbym nie w porządku, gdybym nie przekazał wam całej prawdy. Bardzo mi przykro.

— Należy chyba przypuszczać — rzekł prezydent — że stworzenie będzie kierowało się w stronę gór. To znaczy na zachód.

— Ono będzie wiedziało, w którym kierunku są góry — wyjaśnił Gale. — Jego znajomość geografii nie jest gorsza niż kogokolwiek z nas. Zresztą ukształtowanie terenu w odległej o pięćset lat przyszłości jest identyczne jak obecnie.

— A więc zakładając, że stworzenie to będzie się kierowało w stronę gór — kontynuował prezydent — musimy nie tylko otoczyć góry kordonem, lecz także pomyśleć o ewakuacji ludzi z tamtego obszaru.

— Myśli pan w kategoriach nuklearnych — rzekł Wilson. — Pokryć cały obszar bombami. Ale nie wolno panu tego zrobić, panie prezydencie. Jedynie w ostateczności, a i to niekoniecznie. Trzeba by zrzucić olbrzymią ilość ładunków, a skażenie...

— Zbyt pośpiesznie wyciągasz wnioski, Steve. Zgadzam się z tobą: tylko w ostateczności, a i to niekoniecznie.

— Jest jeszcze jedna rzecz, o której muszę powiedzieć — odezwał się Gale. — Nie wolno nam nie doceniać przeciwnika tak pod względem inteligencji, jak i okrucieństwa. To zabójca. Nawet gdy wszystko sprzysięgnie się przeciw niemu, pozostanie zabójcą. Teraz, w takiej sytuacji, będzie prawdopodobnie unikał konfrontacji, będzie raczej uciekał zamiast walczyć, będzie próbował utrzymać się przy życiu, by stworzyć jak najwięcej szans dla zachowania gatunku. Ale zapędzony w ślepy zaułek,

ruszy do ataku. On nie wie, co to strach, nie zna lęku przed śmiercią.

Prezydent poważnie skinął głową.

— Tak, rozumiem — powiedział. — Chciałem jednak poruszyć jeszcze inną sprawę.

— Słucham — odparł Gale.

— Powiedział pan, że wasi ludzie mogą dostarczyć nam dokumentację niezbędną do skonstruowania tuneli.

— To prawda.

— Chodzi o to, że jeśli mamy cokolwiek zrobić, musimy zrobić to jak najszybciej. Jeżeli będziemy zwlekali, sytuacja, tak pod względem społecznym, jak i ekonomicznym, nie mówiąc już o politycznym, może stać się groźna. Jestem pewien, że pan mnie rozumie. Cała ta sprawa z potworem daje nam jeszcze mniej czasu, niż początkowo sądziłem. Z tego właśnie powodu uważam, że niezmiernie ważne jest, byśmy otrzymali tę dokumentację i mogli porozmawiać z waszymi fachowcami najszybciej, jak to tylko możliwe.

— Za niecałe dwie godziny musimy mieć gotowy tekst pańskiego wystąpienia, panie prezydencie — wtrącił Reynolds.

— Tak, wiem — odparł prezydent. — Przykro mi, że musiałem was zatrzymać. Steve, zostań jeszcze na chwilę.

— Dziękujemy, panie prezydencie — rzekł Howard, ruszając za Reynoldsem w stronę drzwi.

— Na czym skończyliśmy? — spytał prezydent. — Ach, tak, mówiłem właśnie, że powinniśmy jak najszybciej zająć się tymi tunelami. Chciałbym zebrać grupę naszych fizyków i inżynierów i zorganizować spotkanie z waszymi specjalistami...

— Czy to znaczy, że pomożecie nam?

— Myślę, że tak, panie Gale, chociaż w tej chwili nie mogę

jeszcze dać panu ostatecznej odpowiedzi. Nie widzę jednak innego wyjścia. Nie możecie tu zostać, nie możemy włączyć was do naszej populacji. To by zrujnowało naszą gospodarkę. W pierwszej kolejności musimy porozmawiać z waszymi fizykami i dowiedzieć się, co będzie potrzebne — jakiego rodzaju produkty, jakie technologie, ilu ludzi. Dopóki się tego nie dowiemy, nie możemy niczego planować. Poza tym istnieje problem wyboru odpowiednich miejsc.

— Wszystko przygotowaliśmy — powiedział Gale. — Nasi geolodzy dokonali, na ile to było możliwe, analiz ukształtowania terenu w młócenie. Najłatwiej będzie umieścić wyloty tuneli nad zatokami oceanów, pośrodku jezior albo na obszarach wulkanicznych. Zostały wybrane i naniesione na mapy obszary, które się nie zmieniły. Oczywiście, nie mamy żadnej pewności, ale nasi ludzie, wykorzystując całą swoją wiedzę, wykonali przynajmniej wszystkie prace wstępne.

— Zatem nie musimy się już o to martwić — stwierdził prezydent. — Niemniej jednak potrzebne nam są dane, byśmy mogli rozpocząć pracę.

— Specjaliści, z którymi powinniście rozmawiać, byli w pierwszej grupie, która wyszła z tunelu — wyjaśnił Gale. — Muszą być tam, gdzie umieściliście ludzi przybywających tunelem w Wirginii.

— W Forcie Myer — rzekł prezydent. — W każdym razie zawieziono tam większość z nich. Armia przygotowała miasteczko namiotowe.

— Mógłbym już teraz podać nazwiska — powiedział Gale — ale i tak będę musiał pojechać z waszym wysłannikiem, który będzie się kontaktować z naszymi specjalistami. Beze mnie nie będą chcieli rozmawiać. Chyba rozumie pan naszą sytuację. Nie

możemy dopuścić, by nasi specjaliści ze swoją wiedzą dostali się w niepowołane ręce.

Prezydent zmarszczył brwi.

— Nie chciałbym, żeby pan wyjeżdżał, nawet na krótko. Oczywiście, może pan opuścić ten budynek, kiedy tylko pan zechce. Nie jest pan więźniem. Ale w każdej chwili możemy pilnie potrzebować pańskiej rady. Nie mamy pełnych informacji. Dzięki panu wiele się dowiedzieliśmy, ale może powstać taka sytuacja...

— Rozumiem — przerwał Gale. — Niech więc pojedzie Alice. Wszyscy ją znają, a jeśli będzie miała list ode mnie na papierze Białego Domu...

— Byłoby wspaniale, gdyby pańska córka się zgodziła — rzekł prezydent — Czy nie zechciałbyś jej towarzyszyć, Steve?

— Oczywiście, panie prezydencie. Ale nie mam tu swojego samochodu. Judy pojechała nim do domu.

— Możesz wziąć samochód służbowy z szoferem. Chyba powinieneś także zabrać kogoś z ochrony. Możliwe, że to zbyt ostrożność, ale bardzo wiele od tego zależy. — Uniósł ręce i przetarł twarz. — Żywię głęboką nadzieję, panie Gale — powiedział — że pan i ja, pańscy i nasi ludzie uporają się z tym. Przecież to dopiero początek. Będzie coraz ciężej. Pojawią się naciski z różnych stron, odżyją fobie. Czy ma pan wystarczająco mocny kręgosłup i wystarczająco grubą skórę?

— Myślę, że tak — odparł Gale.



Gościem prokuratora generalnego był jego stary, dobry przyjaciel. Dzielili ten sam pokój podczas studiów na Harvardzie i od tamtej pory byli cały czas w kontakcie. Reilly Douglas wiedział, że w znacznym stopniu zawdzięcza swoje stanowisko wpływom, a chyba także politycznym naciskom Clintona Chapmana, człowieka stojącego na czele jednego z najbardziej prestiżowych kompleksów przemysłowych kraju, a zarazem hojnego sponsora jego partii.

— Wiem, że musisz być teraz bardzo zajęty — zwrócił się Chapman do Douglasa — i z uwagi na okoliczności nie zabiorę ci zbyt wiele czasu.

— Miło mi spotkać przyjazną duszę — odparł Douglas. — Chyba nie muszę cię przekonywać, że nie wchodzę w to. Nie dlatego, że to nie ma znaczenia. Pakujemy się w to na oślep. Prezydent przyjął za dobrą monetę historyjkę o podróżach w czasie i chociaż na razie sam nie widzę innego wyjaśnienia, to jednak wydaje mi się, że powinniśmy dokładnie zbadać sprawę, zanim się w nią zaangażujemy.

— No cóż — mruknął Chapman. — Zgadzam się z tobą. W pełni podzielam twój pogląd. Zebrałem dziś po południu grupę moich fizyków. Wiesz zapewne, że zatrudnimy pewną liczbę ludzi nauki. A więc, jak powiedziałem, zaprosiłem dzisiaj

kilku z nich i urządziliśmy małą burzę mózgów na temat tuneli czasowych...

— I oni stwierdzili, że to niemożliwe...

— Niezupełnie tak — odrzekł Chapman. — Wręcz coś całkowicie przeciwnego. Nie chcę powiedzieć, że któryś z nich w pełni rozumie, jak tego dokonano, powiedzieli mi jednak, ku memu absolutnemu zdziwieniu, że problem kierunku upływu czasu, a w szczególności przyczyn upływu, był przedmiotem kilku tajnych prac oraz tematem rozważań już od wielu lat. Mówili o wielu rzeczach, których nie rozumiałem, i posługiwali się terminami, które słyszałem po raz pierwszy w życiu. Na przykład strzałki czasu i warunki brzegowe. Wygląda na to, że strzałki czasu, o których rozprawiali, mogą być rozpatrywane z kilku punktów widzenia: statystycznego, biologicznego, termodynamicznego i pewnie jeszcze z kilku innych, ale ich nazwy wyleciały mi z pamięci. Mówili o zasadzie opóźnienia falowego, o przypadkowości, a także długo dyskutowali na temat równań pola czasowo—symetrycznego. Wyszło na to, że chociaż w świetle aktualnej wiedzy i osiągnięć nauki cała sprawa robi wrażenie nierealnej, to jednak nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, że podróże w czasie nie są możliwe. Zdaje się, że i z naszej strony uchyliliśmy nieco drzwi. Wystarczy, że znajdzie się ktoś, kto popchnie je odrobinę, i wszystko nabierze realnych kształtów.

— Czy to znaczy, że za jakieś sto lat...

Chapman pokiwał głową.

— Coś w tym rodzaju. Próbowali mi to wyjaśnić, ale nic nie rozumiałem. Nie mam odpowiedniego wykształcenia, żeby pojąć to, co chcieli mi przekazać. Ci ludzie mają swój język i dla kogoś takiego jak ty czy ja jest to język zupełnie niezrozumiały,

z którego istnienia nawet nie zdajemy sobie sprawy.

— A więc to wszystko może być prawdą — rzekł Douglas. — Sądząc po tym, co się wydarzyło, to na pewno prawda. Zdaje się, że nie istnieje inne wyjaśnienie; mnie jednak chodziło o to, że nie powinniśmy włączać się w sprawę, póki nie przekonamy się, że to prawda. Zresztą, jeśli chodzi o mnie, mimo iż nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia, z wielką trudnością przychodzi mi w to uwierzyć.

— Powiedz mi, co właściwie rząd zamierza z tym zrobić? — zapytał Chapman. — Rozumiem, że mają zamiar budować nowe tunele i wysyłać ludzi z przyszłości w jeszcze głębszą przeszłość. Czy oni mają jakiegokolwiek pojęcie, ile to będzie kosztowało? Jak długo to potrwa? Czy...

— Nie mają żadnego pojęcia — odparł Douglas. — Nic pewnego. Nie wiedzą nawet, co będzie im potrzebne. Ale będziemy musieli zrobić wszystko, co w naszej mocy. Ludzie z przyszłości nie mogą tu zostać. To absolutnie niemożliwe. Musimy się ich jakoś pozbyć.

— Mam przeczucie, że koszty tego przedsięwzięcia będą ogromne — powiedział Chapman. — A to znaczy, że można się spodziewać silnej fali sprzeciwu. Ludzie są teraz bardziej wyczuleni na sprawę podatków niż kiedykolwiek przedtem, a cała ta sprawa może doprowadzić do czegoś w rodzaju podatku konfiskacyjnego.

— Masz już, zdaje się, jakieś rozwiązanie, Clint.

— Tak, chyba tak. Coś, co można by nazwać zagrywką pokerową.

— Zawsze byłeś dobrym graczem — rzekł Douglas. — Masz nawet twarz pokerzysty.

— To będzie kosztowało kupę pieniędzy — stwierdził

Chapman.

— Pieniędzy z podatków.

— Jasne, że z podatków. Może to jednak oznaczać, że przegramy wybory w przyszłym roku. Wiesz, że zawsze miałem hojną rękę, gdy chodziło o kampanię wyborczą, i bardzo rzadko prosiłem o przysługę. Teraz też nie chcę o nic prosić. W obecnej sytuacji skłonny jestem uczynić coś, co można by nazwać jeszcze bardziej namacalnym wkładem. I to nie tylko do kasy partii, lecz na konto całego kraju.

— Byłoby to dowodem twojej wspaniałomyślności — odparł Douglas, niezbyt pewien, czy powinien się cieszyć z nieoczekiwanego obrotu sprawy.

— Oczywiście, muszę jeszcze sprawdzić to i owo — kontynuował Chapman. — Lecz jeśli koszty nie przekroczą moich możliwości, sądzę, że mógłbym zająć się budową tych tuneli. O ile, rzecz jasna, będziemy w stanie je skonstruować.

— W zamian za co?

— W zamian za wyłączne prawo na budowę i obsługę tuneli.

Douglas zmarszczył brwi.

— Trudno mi coś powiedzieć — stwierdził. — Nie wiem nawet, czy podobna umowa byłaby legalna. W grę wchodzi powiązania międzynarodowe...

— Gdybyś ty się tym zajął — rzekł Chapman — mógłbyś wszystko załatwić. Jesteś diabelnie dobrym prawnikiem, Reilly.

— Chyba jednak nie wszystko pojąłem. Nie rozumiem, po co ci to prawo. Co ci przyjdzie z kontroli nad tunelami?

— Kiedy to wszystko się skończy — odparł Chapman — ludzi zaintryguje idea podróżowania w czasie. To zupełnie coś nowego — możliwość odwiedzenia miejsc, gdzie nikt przedtem nie był.

— Ależ to szaleństwo!

— Nie wydaje mi się. Wyobraź sobie, ile gotów byłby zapłacić zapalony myśliwy za możliwość przeniesienia się w przeszłość na polowanie. Uniwersytety chciałyby wysłać zespoły paleontologów do ery gadów w celu badania i fotografowania dinozaurów. Historycy oddaliby dusze, by tylko móc cofnąć się w czasie i przekonać, co naprawdę wydarzyło się podczas oblężenia Troi...

— A duchowni — wtrącił Douglas jadowitym tonem — mogliby zamawiać bilety pierwszej klasy na Ukrzyżowanie.

— Oczywiście, to również — przyznał Chapman. — Rzecz jasna, jak sugerujesz, cała sprawa mogłaby mieć czasami złe strony. Trzeba by opracować zasady i przepisy, podjąć odpowiednie środki zabezpieczające przed zmianą biegu historii, ale...

— Nic z tego — przerwał mu sucho Douglas. — Podróże w czasie, jak twierdzą naukowcy, mogą się odbywać tylko w jednym kierunku, w przeszłość. Jeśli się cofniesz, nie będziesz mógł wrócić. Nie istnieje możliwość podróży w przyszłość.

— Nie jestem o tym przekonany. Możliwe, że tak wam powiedziano. Być może obecnie nie jest to realne. Ale moi fizycy zapewniali mnie dziś po południu, że jeśli w ogóle można podróżować w czasie, to można poruszać się w obu kierunkach. Byli tego pewni. Twierdzili, że po prostu nie ma sensu, by możliwe było przenoszenie się tylko w jednym kierunku. Jeśli można cofnąć się w przeszłość, z pewnością można także udać się w przyszłość, tym bardziej że jest to kierunek preferowany. Tyle wiadomo.

— Nie mogę się zgodzić, Clint.

— Ale możesz to przemyśleć. Zobaczysz zresztą, jak potoczą się wydarzenia. Możesz mnie informować na bieżąco. Gdyby ta

sprawa wypaliła, byłaby dla ciebie niezwykle opłacalna.



— Teraz ma pan okazję wyjaśnić mi, co to jest piknik — odezwała się Alice Gale. — Mówił pan dziś po południu, że zamierzał wybrać się na piknik.

Oficer ochrony pochylił się do przodu na siedzeniu.

— Czyżby Steve zapraszał panią na piknik? Z nim lepiej nie ryzykować...

— Ależ ja nawet nie wiem, panie Black, co to jest piknik.

— To bardzo proste — odparł Wilson. — Pakuje się prowiant do koszyka i jedzie do parku lub lasu, żeby tam zjeść to, co się zabrało do zjedzenia.

— Przecież robiliśmy to samo w naszych czasach — powiedziała. — Tylko nie nazywaliśmy tego piknikiem. Nie przypominam sobie, by miało to jakąś konkretną nazwę. Nigdy nie słyszałam, by używano specjalnego określenia.

Samochód toczył się powoli alejką w kierunku bramy. Po chwili zatrzymał się i od strony kierowcy podszedł wartownik. Przy bramie straż trzymało wojsko.

— Co tu się dzieje? — zapytał Wilson. — O niczym mnie nie informowano.

Black wzruszył ramionami.

— Ktoś się przestraszył. Cały teren jest otoczony, aż roi się od żołnierzy. W parku porozstawiano moździerze i diabli wiedzą co

jeszcze.

— Czy prezydent wie o tym?

— Nie jestem pewien — odparł Black. — Może nikt nie pomyślał, żeby go poinformować.

Wartownik cofnął się o krok, otwarto bramę i samochód wyjechał na zewnątrz. Ruszyli wymarłą ulicą, kierując się w stronę mostu.

Wilson wyglądał przez okno.

— Gdzie są ludzie? — zapytał. — Niedzielny wieczór, pełnia sezonu turystycznego, a tutaj nikogo.

— Znasz najświeższe wiadomości? — spytał Black.

— Pewnie, że znam.

— Wszyscy się pochowali, ukryli w swoich domach. Obawiają się, że w każdej chwili może na nich skoczyć potwór.

— Mieliliśmy takie wspaniałe miejsca na urządzenie pikników — powiedziała Alice Gale. — Tyle parków, tyle zakątków. Mieliliśmy znacznie więcej otwartych przestrzeni niż wy. Nie było tak gęstej zabudowy, chociaż ona mi się na swój sposób podoba. Jest tak wielu ludzi, tyle rzeczy do obejrzenia.

— Zaczyna się pani u nas podobać — rzekł Wilson.

— Tak. Ale z drugiej strony mam poczucie winy. Mój ojciec i ja powinniśmy być razem z naszymi ludźmi. Opowiadałam panu o naszych czasach. Dobrze było tam żyć. Rzecz jasna, do czasu przybycia obcych. A nawet później, jeszcze przez jakiś czas, dopóki nie rozmnożyli się tak bardzo. Nie stanowili dla nas na początku tak poważnego zagrożenia, dopiero w ostatnich latach. Chociaż nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek mogli choć na krótko o nich zapomnieć. Zawsze o nich mówiliśmy, bez względu na wszystko towarzyszyła nam świadomość ich obecności. Chyba przez całe moje życie tkwili w moich myślach. Zdarzało się

ostatnimi laty, że ogarniała nas obsesja na ich punkcie. Bez przerwy oglądaliśmy się przez ramię, czy ich nie ma. Nigdy nie mogliśmy się od nich uwolnić. Rozmawialiśmy o nich, badaliśmy ich...

— Mówi pani, że badaliście ich — rzekł Wilson. — W jaki sposób ich badaliście? Kto przeprowadzał badania?

— Oczywiście, robili to biolodzy — odpowiedziała. — Udało im się w końcu zdobyć ciało obcego. Zajmowali się nimi też psychologowie i psychiatrzy. Ewolucjoniści...

— Ewolucjoniści?

— Tak. Obcy z punktu widzenia ewolucji są bardzo dziwni. Wygląda na to, że ściśle kontrolowali swoje procesy rozwojowe. Czasami skłonni byliśmy twierdzić, że wręcz kierowały swoim rozwojem. Ojciec chyba przedstawił wam niektóre wyniki badań. W całej długiej historii swego rozwoju nie rezygnowali z żadnych ewolucyjnych zdobyczy. Nie godzili się na kompromis zastępowania jednej części ciała inną. Zachowywali wszystko, co było im potrzebne, dodając to, co udało im się wykształcić. Oczywiście, to świadczy, że są świetnie przystosowującymi się stworzeniami. Niemal w jednej chwili reagują na zagrożenie...

— Brzmi to tak, jakby pani, a może nie tylko pani, ale wy wszyscy, jakbyście podziwiali te istoty — odezwał się Black.

Pokręciła głową.

— Nienawidziliśmy ich i baliśmy się. To chyba oczywiste, przecież uciekliśmy przed nimi. Z drugiej strony, rzeczywiście odczuwaliśmy coś w rodzaju skrytego podziwu, chociaż nikt nie przyznałby się do tego. Na pewno nikt nigdy nie powiedział tego głośno.

— Zbliżamy się do pomnika Lincolna — wtrącił Wilson. — Naturalnie wie pani, kim był Lincoln.

— Owszem — odparła. — Mój ojciec zajmuje sypialnię Lincolna.

Przed nimi na tle czarnego nocnego nieba wyłonił się jasno oświetlony pomnik. Lincoln siedział na swym marmurowym fotelu w głębi półkolistej niszy.

Samochód pojechał dalej, zostawiając pomnik za sobą.

— Jeśli znajdziemy czas — powiedział Wilson — w ciągu najbliższych kilku dni, przyjdziemy tu, żeby go obejrzyć. A może widziała już go pani? Chociaż mówiła pani, że Biały Dom...

— Pomnik także. Część jeszcze została, ale to nawet mniej niż połowa. Kamienie się rozsypały.

— O czym mówicie? — zapytał Black.

— W czasach, z których pochodzą ludzie przybywający tunelami — wyjaśnił Wilson — Waszyngton leży w gruzach. Cały teren Białego Domu porastają chaszczce.

— Ależ to niemożliwe! Nie rozumiem. Czyżby wojna?

— Nie, nie wojna — odpowiedziała Alice Gale. — Trudno to wyjaśnić, nawet gdybym dokładnie wiedziała. Sama niezbyt dobrze rozumiem, niewiele na ten temat czytałam. Wielki kryzys ekonomiczny — to chyba najlepsze określenie. Prawdopodobnie także kryzys etyczny. Nadszedł czas galopującej inflacji, która osiągnęła niespotykane rozmiary, wielkiej fali cynizmu, utraty wiary w skuteczność rządu, co zresztą doprowadziło do jego upadku i powstania głębokiej przepaści pomiędzy biednymi i bogatymi... Trudno było znaleźć wspólny język. Proces ten pogłębiał się, aż doprowadziło to do kryzysu. Dotyczyło to nie tylko tego kraju, ale wszystkich znaczących. Jeden po drugim pogrążyły się w chaosie. Przestały działać prawa ekonomii, upadły rządy, tłumy wyległy na ulice. Ludzie nie protestowali przeciwko określonym zjawiskom, lecz kierowali swój gniew

przeciwko wszystkiemu. Proszę mi wybaczyć, że opowiadam tak chaotycznie.

— I to wszystko jest przed nami? — zapytał Black.

— Teraz już nie — odparł Wilson. — Teraz już nam to nie grozi. A w każdym razie nie musi się wydarzyć. Znaleźliśmy się na innej ścieżce czasu.

— Ty jesteś jeszcze gorszy od pani Gale — zauważył Black. — Nic z tego, co oboje mówicie, nie trzyma się kupy.

— Przykro mi, panie Black — powiedziała Alice.

— Proszę się mną nie przejmować — stwierdził Black. — Nie jestem intelektualistą, jedynie wytresowanym gliną. Steve może to potwierdzić.



Wielebny doktor Angus Windsor był dobrym człowiekiem. Pozostawał w stanie łaski, naznaczony do czynienia dobrych uczynków. Był pastorem kościoła, którego korzenie sięgały dawnych, dobrych czasów, nie przeszkadzało mu to jednak udawać się wszędzie tam, gdzie był potrzebny — to znaczy poza granice swojej małej parafii, jako że w niej samej niewiele miał do roboty. Widywano go w slumsach; był zawsze obecny w miejscach, gdzie młodzi demonstranci padali pod lawiną ciosów policyjnych pałek. Kiedy dowiadywał się o głodującej rodzinie, zjawiał się z torbą pełną pożywienia i odchodził zwykle z kilkoma dolarami w kieszeni, bez których też mógł się obejść. Był stałym gościem w więzieniach. Samotni ludzie, czekający na śmierć w domach starców, dobrze znali odgłos jego nabożnych kroków, jego przygarbione plecy, długie siwe włosy i skupiony wyraz twarzy. W najmniejszym stopniu nie odczuwał awersji do zyskiwania sobie popularności, a czasami wręcz zdawał się o popularność zabiegać; niektórzy zarzucali mu to, stojąc na stanowisku, że takie postępowanie nie przystoi duchownemu. On jednak obstawał przy swoim, nie zwracając uwagi na głosy krytyki. Raz nawet podobno powiedział jednemu ze starych, oddanych przyjaciół, że jest to bardzo niska cena za przywilej czynienia dobra — jednak nie wiadomo do końca, czy miał na

myśli popularność swojej osoby, czy też krytyczne uwagi o nim.

Tak więc żaden ze zgromadzonych dziennikarzy nie zdziwił się znowu, kiedy pastor pojawił się późnym wieczorem przy wylocie tunelu, który został zamknięty na skutek ataku potworów.

Reporterzy szybko otoczyli starego pastora.

— Co pan tu robi, doktorze Windsor? — zapytał jeden z nich.

— Przybyłem — odparł — aby przekazać biednym duszyczkom tę odrobinę ukojenia, którą mogę się z nimi podzielić. Miałem pewne kłopoty z żołnierzami. Rozumiem, że dostali rozkaz nikogo tu nie wpuszczać. Widzę jednak, że was przepuścili.

— Niektórym z nas udało się przejechać, inni zostawili samochody o jakąś milę stąd i przedarli się na piechotę.

— Dobry Bóg wstawił się za mną — rzekł doktor Angus — dlatego pozwolono mi przejść.

— W jaki sposób Bóg wstawił się za panem?

— Zmiękczył ich serca i dlatego mnie przepuścili. Ale teraz muszę porozmawiać z tymi biednymi ludźmi.

Wskazał dłonią uchodźców, stojących w grupach przed domami i na ulicy.

Zabity potwór leżał na grzbiecie, z uzbrojonymi w szpony łapami, sterczącymi w powietrzu, i bezwładnymi, poskręcanyimi mackami, rozrzuconymi po ziemi. Większość martwych ludzi zabrano sprzed nie istniejącego już wylotu tunelu. Tu i ówdzie leżało jeszcze na trawie kilka ciał przykrytych płótnem. Działa nie postawiono; nadal było przewrócone na bok.

— Armia wysłała już specjalny oddział — powiedział jeden z dziennikarzy — który ma zabrać potwora. Chcą go dokładnie zbadać.

Reflektory zawieszono na drzewach zalewały okolicę jaskrawym światłem. Gdzieś w ciemności warczał i krztusił się generator prądu. Ciężarówka przystawała, zabierała ludzi i odjeżdżała. Od czasu do czasu rozlegały się wykrzykiwane przez megafon rozkazy.

Doktor Windsor, wiedziony instynktem wykształconym w wyniku wieloletniej praktyki, bezbłędnie skierował się ku najliczniejszej grupie uchodźców, skupionej na ulicy pod chwiejącą się na wietrze latarnią. Większość ludzi stała na chodniku, inni siedzieli na krawężnikach, pozostali w niewielkich grupkach czekali na trawniku.

Doktor Windsor podszedł do gromadki kobiet — zawsze w pierwszej kolejności brał na cel kobiety, były bowiem bardziej od mężczyzn podatne na jego sposób szerzenia idei chrześcijańskich.

— Przybyłem tutaj — rzekł, z wyraźnym wysiłkiem powstrzymując się od pompatyczności — aby przekazać wam słowo Boże. W chwilach takich jak ta zawsze powinniśmy zwracać się do Boga.

Kobiety patrzyły na niego z nie ukrywanym zmieszaniem. Kilka z nich instynktownie zrobiło krok do tyłu.

— Jestem wielebny Windsor — kontynuował — i przyjechałem z Waszyngtonu. Udaję się tam, gdzie mnie wzywają, gdzie jestem potrzebny. Czy nie zechciałybyście pomodlić się ze mną?

Z gromadki wystąpiła wysoka, szczupła kobieta w podeszłym wieku.

— Proszę odejść — powiedziała.

Doktor Windsor rozrzucił szeroko ręce, jak gdyby stracił nagle równowagę.

— Ależ... Nie rozumiem — wyjąkał. — Chciałem tylko...

— Wiemy, co pan chciał — odparła kobieta. — Dziękujemy panu. Wiemy, że kierowała panem wyłącznie troska.

— Sama pani nie wie, co mówi. Nie może pani przemawiać w imieniu wszystkich.

Poprzez tłum zgromadzonych ludzi przecisnął się mężczyzna, podszedł do pastora i ujął go pod ramię.

— Niechże się pan uspokoi, przyjacielu — powiedział.

— Ale ta kobieta...

— Wiem. Słyszałem, co pan do niej mówił. Mówiła w imieniu nas wszystkich.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Nie ma potrzeby, żeby pan rozumiał. A teraz proszę stąd odejść.

— Odrzucacie mnie?

— Nie pana. Nic do pana nie mamy. Odrzucamy idee, które pan reprezentuje.

— Odrzucacie wiarę chrześcijańską?

— Nie tylko chrześcijańską. W trakcie Rewolucji Rozumu, jakiś wiek temu, odrzuciliśmy wszystkie religie. Nasza niewiara jest równie niezachwiana, jak wiara, którą pan wyznaje. My nie narzucamy panu naszych idei. Czy byłby pan łaskaw nie narzucać nam swoich?

— To niewiarygodne — jęknął wielebny doktor Windsor. — Nie wierzę własnym uszom. Nigdy w to nie uwierzę. To na pewno jakaś pomyłka. Chciałem jedynie połączyć się z wami w modlitwie.

— Ale my, pastorze, już się nie modlimy.

Doktor Windsor obrócił się na pięcie i energicznym krokiem pomaszerował w stronę grupki czekających dziennikarzy, którzy ruszyli mu naprzeciw. Z niedowierzaniem kręcił głową. To

niewiarygodne. To nie mogło być prawdą. To niepojęte, czyste bluźnierstwo.

Po tak wielu latach udręki ludzi, po wiekach poszukiwania prawdy, cierpieniach świętych i męczenników — to wszystko nie mogło skończyć się w ten sposób!



Generał Daniel Foote, komendant Fortu Myer, czekał na nich w swoim biurze w towarzystwie trzech mężczyzn.

— Nie powinni byli państwo przyjeżdżać sami — zwrócił się do Wilsona. — Mówiłem o tym prezydentowi, ale nie chciał słuchać. Proponowałem, że wyślę eskortę, lecz nie zgodził się. Stwierdził, iż nie chce, by eskorta wzbudzała niepotrzebne zainteresowanie.

— Na drogach nie ma prawie w ogóle ruchu — rzekł Wilson. Komendant pokręcił głową.

— Czasy są dosyć niepewne — powiedział.

— Generale Foote, proszę pozwolić, że przedstawię pannę Alice Gale. Właśnie jej ojciec nawiązał z nami kontakt.

— Miło mi panią poznać, panno Gale — powiedział generał. — Ci trzej dżentelmeni opowiadali mi o pani ojcu. Cieszę się, że pan towarzyszył naszym gościom, panie Black.

— Dziękuję, panie generale — odrzekł Black.

— Mam przyjemność przedstawić państwu trzech naszych specjalistów — powiedziała Alice. — Doktor Hardwicke, Nicholas Hardwicke; pan Wilson, pan Black. Doktor Hardwicke jest Albertem Einsteinem naszych czasów.

Wielki, niezgrabny mężczyzna o posturze niedźwiedzia uśmiechnął się do niej.

— Nie wychwalaj mnie aż tak bardzo, moja droga — rzekł. — Będą się spodziewali po mnie nie wiadomo czego. Panowie, jestem niezmiernie rad, że mogłem spotkać się tu z wami. Zdaję sobie sprawę, że nasze przybycie mogło być dla was w jakimś stopniu kłopotliwe. Cieszy mnie wasza natychmiastowa pozytywna reakcja. Prezydent musi być naprawdę niezwykłym człowiekiem.

— My też tak uważamy — odparł Wilson.

— Doktor William Cummings — ciągnęła Alice. — Doktor Hardwicke mieszkał w tym samym mieście, co my, natomiast doktor Cummings pochodzi z okolic Denver. Mój ojciec i inni doszli do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli doktorzy Cummings i Hardwicke spotkają się z waszymi naukowcami.

Cummings był karzełkiem: małym łysym człowieczkiem o pomarszczonej twarzy gнома.

— Cieszę się z naszego spotkania — powiedział. — Wszyscy się z tego cieszymy. Muszę też przekazać, jak bardzo jest nam przykro z powodu tego, co zdarzyło się w tunelu.

— I wreszcie doktor Abner Osborne — dokończyła prezentacji Alice. — Od wielu lat jest przyjacielem naszej rodziny.

Osborne otoczył dziewczynę ramieniem i przytulił do siebie.

— Tamci panowie są fizykami — wyjaśnił. — Ja jestem skromniejszą postacią. Jestem geologiem. Powiedz mi, moja droga, jak się miewa ojciec. Szukałem go po wyjściu z tunelu, ale nie mogłem nigdzie znaleźć.

Komendant pociągnął Wilsona za rękaw i rzecznik prasowy odsunął się nieco na bok.

— Proszę powiedzieć, co wam wiadomo o tym potworze — powiedział generał Foote.

— Nie mamy żadnych świeżych informacji. Doszliśmy do

wniosku, że chyba skierował się w stronę gór.

Foote skinął głową.

— Mnie też się tak wydaje. Otrzymaliśmy kilka meldunków. A dokładnie nie tyle meldunków, co pogłosek. Wszystkie nadeszły z zachodu, z Harpers Ferry, ze Strasburga i z Luray. Ale to chyba pomyłka, nic nie może przecież poruszać się aż tak szybko. Czy jesteście absolutnie pewni, że przedostał się tylko jeden?

— To pan powinien wiedzieć — odparł krótko Wilson. — Tam byli pańscy ludzie. Otrzymaliśmy informację, że jeden został zabity, drugiemu natomiast udało się uciec.

— Tak, owszem, wiem — rzekł Foote. — Wysłałem ludzi, żeby przywieźli ciało.

“Generał jest wyraźnie zmieszany — pomyślał Wilson — zdenerwowany. Czyżby wiedział o czymś, o czym nie wie Biały Dom?” — Czy chce mi pan coś powiedzieć, generale?

— Nie, skądże — odparł tamten.

“Sukinsyn — stwierdził w duchu Wilson. — Jedyne, na czym mu zależy, to wycygnąć coś od Białego Domu — coś, o czym mógłby później opowiadać, siedząc w fotelu w klubie oficerskim.”

— Przynajmniej nieźle zaczęliśmy — powiedział Wilson.

Wyszli z budynku i wsiedli do samochodu. Black zajął miejsce obok kierowcy, Wilson i Osborne usiedli na rozkładanych siedzeniach.

— Może się to panu wydać dziwne — rzekł Osborne — że w grupie tej znalazł się geolog.

— Myślałem o tym — odparł Wilson. — Niemniej, jest pan równie mile widziany.

— Przypuszczaliśmy — wyjaśnił Osborne — że mogą zrodzić

się jakieś pytania dotyczące miocenu.

— Chodzi panu o nasze przeniesienie? O to, że my również mamy cofnąć się w czasie?

— To tylko jeden ze sposobów rozwiązania problemu.

— Czy chce pan powiedzieć, że byliście pewni, iż potwory przedostaną się przez tunele? Że pojawi się ich tu tak wiele, iż zostaniemy zmuszeni do ucieczki?

— Skądże — odparł geolog. — Mieliliśmy nadzieję, że nie uda się żadnemu z nich. Przedsięwzięliśmy środki zapobiegawcze. Nie potrafię sobie wyobrazić, co mogło się tam stać. Poza tym nie byłbym skłonny twierdzić, że ten jeden potwór...

— Ale nie wie pan tego na pewno.

— Ma pan rację. To są niezwykle inteligentne stworzenia. Bardzo zdolne. Nasi biolodzy mogliby powiedzieć panu znacznie więcej.

— Skąd zatem przekonanie, że powinniśmy przenieść się do miocenu?

— Zbliżacie się do bardzo niebezpiecznego przełomu — odparł Osborne. — Nasi historycy wyjaśniliby to znacznie lepiej niż ja, ale i tak wszystko na to wskazuje. Och, zdaję sobie sprawę, że znaleźliście się teraz na innej ścieżce czasu i będziecie szli inną drogą niż my. Myślę jednak, że zmiana ta nastąpiła zbyt późno.

— Mówi pan o wielkim ekonomicznym i społecznym kryzysie. Alice powiedziała nam, że w waszych czasach Waszyngton nie istnieje. Domyślam się, że podobnie Nowy Jork, Chicago i pozostałe...

— Wasz świat uległ odchyleniu od stanu równowagi — rzekł Osborne. — Chyba już za późno, by temu zaradzić. Prowadzicie gospodarkę rabunkową, podziały społeczne pogłębiają się z dnia na dzień...

— Przeniesienie się do miocenu rozwiąże wszystkie problemy?

— W każdym razie zaczniecie od nowa.

— Nie wydaje mi się — stwierdził Wilson.

— Pora na przemówienie prezydenta — odezwał się podniesionym głosem siedzący z przodu Black. — Mam włączyć radio?

Włączył je, nie czekając nawet na odpowiedź.

Przemówienie już trwało.

— ...niewiele mogę powiedzieć. Dlatego też nie zabiorę państwu zbyt dużo czasu. Nadal pracujemy nad porządkowaniem informacji i byłoby z mojej strony szerszeniem dezinformacji, gdybym przedstawił obecnie coś poza znanymi już faktami. Mogą państwo być pewni, iż rząd będzie postępował uczciwie. Kiedy tylko poznamy nowe szczegóły, opinia publiczna będzie o nich także wiedziała. Informacje będą natychmiast rozpowszechniane. A oto, co do tej pory ustaliliśmy. W przyszłości, około pięćset lat od chwili obecnej, nasi potomkowie zostali zaatakowani przez obcą cywilizację. Przez ponad dwadzieścia lat odpierali ataki, lecz stało się jasne, że nie będą w stanie bronić się w nieskończoność. Poszukiwano wyjścia z sytuacji; jedynym okazała się ucieczka. Szczęśliwie się złożyło, że ludzie posiadli umiejętność podróży w czasie, ratunku więc mogli szukać w przeszłości. I tak też uczynili, przybywając do naszych czasów. Nie mają zamiaru tu zostać, pragną jak najszybciej przenieść się w jeszcze bardziej odległą przeszłość. Potrzebna im jest jednak do tego nasza pomoc. Nie tylko pomoc w budowie niezbędnych tuneli czasowych, lecz przede wszystkim w wyposażeniu w podstawowe narzędzia, które pozwolą na stworzenie od nowa cywilizacji. Z wielu powodów, które chyba każdy rozumie, my, a dotyczy to mieszkańców

całego świata, nie możemy odmówić pomocy. Nie tylko dlatego, że nie mamy w zwyczaju odmawiać, gdy proszeni jesteśmy o ratunek. Oni są przecież, w pewnym sensie, dziećmi naszych dzieci. W ich żyłach płynie nasza krew. Dlatego właśnie powinniśmy im pomóc. Ustalamy obecnie, w jaki dokładnie sposób można to zrobić. Istnieje wiele problemów, które muszą być i zostaną rozwiązane. Powinniśmy bezzwłocznie podjąć w tym kierunku intensywne wysiłki. Sytuacja wymaga od każdego z nas poświęcenia. Z pewnością chcieliby państwo znać bliższe szczegóły; już teraz rodzą się setki pytań. Wszystkie szczegóły zostaną przedstawione, a na wszystkie pytania odpowiemy później. To nie jest najlepsza pora, by wyjaśniać je państwu teraz, dzisiejszego wieczora. Poza tym wszystko to zaczęło się dziać zaledwie kilka godzin temu. Mieliśmy wszyscy bardzo pracowitą niedzielę.

Prezydent mówił stanowczym, pewnym głosem, w którym nie było nawet cienia desperacji. "A przecież — myślał Wilson — człowiek ten musi być w jakimś stopniu zdesperowany. Widocznie dało o sobie znać jego doświadczenie i wyrobienie polityczne. Nadal potrafi znakomicie przemawiać, zjednywać sobie ludzi." Pochylił się do przodu na składanym siedzeniu. Przepęłniała go duma.

— Zapewne wszyscy państwo już wiedzą — kontynuował prezydent — że dwóch obcych przedostało się przez tunel w Wirginii. Jeden z nich został zabity, drugiemu udało się uciec. Muszę szczerze przyznać, że od tamtej pory nie mamy żadnych informacji o tym stworzeniu. Czynimy wszelkie starania, by je wytropić i zniszczyć, i choć może to zająć trochę czasu, nie ustaniemy w naszych wysiłkach. Z całym naciskiem chciałbym podkreślić, że nie należy przykładać zbyt wielkiej wagi do faktu,

iż jedno z obcych stworzeń przebywa na wolności na Ziemi. To tylko jeden z wielu problemów, z którymi zetknęliśmy się w dniu dzisiejszym, i z pewnością nie najważniejszy. Przy pewnej współpracy, a wiem, że na taką mogę z państwa strony liczyć, rozwiążemy wszystkie te problemy.

Umilkł na chwilę i Wilsonowi przemknęło przez myśl, że to już koniec wystąpienia. Zaraz jednak uświadomił sobie, że będzie ciąg dalszy, bowiem prezydent nie życzył jeszcze wszystkim dobrej nocy.

Głos rozbrzmiał ponownie:

— Mam jeszcze jedną, nieprzyjemną rzecz do zakomunikowania. Żywię nadzieję, że po uwzględnieniu wszystkich aspektów przyznają państwo, iż nie miałem innego wyjścia. Sądzę, że zgodzą się państwo ze mną, iż jest to konieczne dla dobra nas wszystkich. Kilka minut temu podpisałem rozporządzenie o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. W myśl jego przepisów zawieszają się działalność banków i giełd towarowych. Oznacza to, że od jutra żaden bank ani inna instytucja finansowa nie będzie obsługiwać klientów, nie będzie przeprowadzać żadnych transakcji aż do odwołania. Działalność wszystkich giełd obracających surowcami, akcjami i obligacjami czy jakimikolwiek produktami zostaje zawieszona. Wszystkie ceny, pobory i płace ulegają zamrożeniu. Zdaję sobie sprawę, że te niezwykle uciążliwe warunki nie mogą być utrzymane przez dłuższy okres. Spieszę zapewnić państwa, że stan wyjątkowy zostanie zniesiony, gdy tylko Kongres oraz odpowiednie instytucje rządowe uchwalą przepisy i ustawy nakładające takie ograniczenia, jakie okażą się niezbędne w sytuacji, w której się znaleźliśmy. Mam nadzieję, że wszyscy damy sobie jakoś radę przez tych kilka dni, w ciągu których obowiązywać będą przepisy

stanu wyjątkowego. Proszę mi wierzyć, podjąłem tę decyzję z wielką niechęcią, uznałem ją jednak za konieczną.

Wilson powoli wypuścił powietrze z płuc, do tej pory nie zdając sobie nawet sprawy, że odruchowo wstrzymał oddech.

Wiedział, że będzie musiał za to zapłacić. Różnym ludziom z całego kraju, jak i wszystkim zatrudnionym w dziale prasowym Białego Domu. "Na miłość boską, Steve, przecież mogłeś nas uprzedzić! Mogłeś nam powiedzieć!" Nikt nie uwierzy, że on sam o niczym nie wiedział.

Było to przecież tak logiczne posunięcie, że powinien był je przewidzieć, powinien był sam o tym pomyśleć. Ale nie przyszło mu to do głowy. Zastanawiał się, czy prezydent w ogóle przedyskutował to z kimkolwiek. Wyglądało na to, że nie. Nie miał zbyt dużo czasu, tak wiele rzeczy musiał omówić.

Prezydent życzył właśnie swoim słuchaczom dobrej nocy.

— Dobranoc, panie prezydencie — mruknął Wilson i zauważył, że wszyscy obecni spoglądają na niego dziwnym wzrokiem.



Biuro rzecznika prasowego tonęło w ciemnościach, jeśli nie liczyć ledwie widocznych kontrolerek, stojących pod ścianą, i nieustannie terkoczących dalekopisów. Wilson podszedł do biurka i usiadł. Pochylił się, by włączyć lampę, lecz odruchowo cofnął rękę. Nie potrzebował światła; ciemność niosła ukojenie. Opadł na oparcie fotela. Po raz pierwszy od wczesnych godzin popołudniowych nie miał nic do roboty, wciąż jednak nie mógł pozbyć się przykrego uczucia, że powinien wstać i zacząć działać.

Pomyślał, że prezydent od dawna powinien być już w łóżku. Dochodziła północ; Samuel Henderson zwykł był kłaść się spać wcześnie, w dodatku przepadła mu popołudniowa drzemka. Prezydent był już w podeszłym wieku, chyba już za stary na takie rzeczy. Kiedy spotkał się w swoim biurze z naukowcami z przyszłości i przedstawiał im zebranych członków Akademii Nauk, sprawiał wrażenie zmęczonego i strapionego.

— Czy słyszałeś moje przemówienie, Steve? — zwrócił się z pytaniem, kiedy zostali sami.

— Tak, w samochodzie. — Co o tym myślisz? Ludzie się z tym pogodzą?

— Nie od razu i niezbyt chętnie. Sądzę jednak, że gdy przemyślą wszystko, pogodzą się. Na pewno Wall Street podniesie straszny wrzask.

— Nie mogę teraz poświęcić swojego czasu Wall Street — odparł prezydent.

— Powinien pan iść do łóżka, panie prezydencie. To był bardzo długi, wyczerpujący dzień.

— Już idę — rzekł prezydent. — Ale przedtem muszę porozmawiać z sekretarzem skarbu. Poza tym dzwonił Sandburg i pytał, czy może teraz wpaść.

Powiedział, że zaraz idzie do łóżka, lecz z pewnością minie kilka godzin, zanim wreszcie uda się na spoczynek.

Gdzieś, w którymś z ochranianych pomieszczeń, trwały rozmowy naukowców; na zewnątrz, w całym kraju, a faktycznie na całym świecie, ludzie z przyszłości wychodzili ze swoich tuneli; w górach na zachodzie czaił się w mroku potwór.

To wszystko wydawało się niewiarygodne, zdarzenia rozgrywały się zbyt szybko. Człowiek nie miał nawet czasu, żeby się w tym połapać. Za kilka godzin ludzie zaczną witać nowy dzień, który pod wieloma względami będzie całkowicie odmienny od wszystkich poprzednich, niepodobny do jakiegokolwiek dnia w całej historii ludzkości, najeżony problemami i dylematami, z jakimi przedtem nie zetknął się żaden człowiek.

Przez szczelinę pod drzwiami wiodącymi do sali konferencyjnej wpadała smuga światła. Widocznie przebywali tam jeszcze jacyś dziennikarze, chociaż nikt nie pracował, nie słychać było bowiem stukotu maszyny do pisania. Wilson przypomniał sobie, że nie zdążył zjeść kanapek. Nałożył sobie dwie na talerzyk, ale zdążył ugryźć zaledwie kęs, kiedy w drzwiach nieoczekiwanie pojawił się Brad Reynolds. Kiedy teraz wróciły w jego myślach tamte chwile, uświadomił sobie, że jest głodny. Chyba zostały jeszcze jakieś kanapki, chociaż do tej

pory pewnie już podeschły. Z niewiadomego powodu zapragnął jednak pozostać tu, sam, w ciemności, i nie musieć z nikim rozmawiać.

Pomyślał, że powinien przynajmniej przejrzeć ostatnie doniesienia. Siedział jeszcze przez chwilę, jakby niezdolny do zrobienia najmniejszego ruchu, wreszcie wstał i przeszedł przez cały pokój ku teleksom. "Najpierw AP — stwierdził. — Stara, solidna AP, nigdy nie goniąca za sensacją, zwykle bardzo rzetelna".

Teleks wypluwał metry papierowej wstęgi, która zsuwała się na umieszczoną z tyłu półeczkę, układając się w gruby plik wydruków.

Urządzenie właśnie zaczynało drukować nowe doniesienie.

WASZYNGTON D.C. (AP) — Dziś wieczorem w górach na zachód od stolicy rozpoczęto poszukiwania potwora, który parę godzin wcześniej uciekł z tunelu czasowego w Wirginii. Otrzymano kilka meldunków o spotkaniu z nim, ale żaden nie został potwierdzony. Istnieje podejrzenie, że wszystkie te przypadki mogły być wynikiem wybujałej fantazji i pobudzonej wyobraźni. Liczne oddziały wojska i policji rozpoczęły przeczesywanie terenu, mimo iż niewielkie są szanse na odnalezienie potwora przed świtem.

Wilson pociągnął papierową wstęgę, tak że spadała na podłogę u jego stóp, i zaczął przebiegać wzrokiem poprzednie komunikaty.

LONDYN ANGLIA (AP) — O świcie ministrowie wciąż jeszcze obradowali w rezydencji premiera. Przez całą noc wchodziło

i wychodziło wiele osób....

NEW DELHI INDIE (AP) — Przez ostatnich dziesięć godzin zarówno rzeki ludzi, jak i strumienie zboża z przyszłości nadal wylewały się z tunelu, stwarzając olbrzymie problemy...

NOWY JORK N.Y. (AP) — W nocy pojawiły się liczne doniesienia, że o świcie może wybuchnąć fala protestów i zamieszek nie tylko w Harlemie, lecz także w wielu innych dzielnicach ubogich. Uważa się, że strach przed zmniejszeniem racji żywnościowych i przydziałów dóbr, spowodowany masowym napływem uchodźców z przyszłości, może stać się przyczyną masowych demonstracji. W policji odwołano wszystkie urlopy, polecono funkcjonariuszom, by byli gotowi do akcji przez całą dobę...

WASZYNGTON D.C. (AP) — Decyzja prezydenta o wstrzymaniu operacji handlowych i zamrożeniu cen oraz płac spotkała się zarówno z atakami, jak i z poparciem...

Moskwa, Madryt, Singapur, Brisbane, Bogota, Kair, Kijów — a potem:

NASHVILLE TENN. (AP) — Wielebny Jake Billings, znany pastor ewangelicki, wezwał dziś do krucjaty "nawracania ludzi z przyszłości na drogę wiary w Chrystusa".

Pastor wystosował wezwanie ze swojej kancelarii po tym, jak dowiedział się, że grupa uchodźców, którzy wyszli z nie istniejącego już tunelu w pobliżu Falls Church w Wirginii, odrzuciła posługę proponowaną im przez wielebnego doktora

Angusa Windsora, wyświęconego kapłana z Waszyngtonu, podając jako powód fakt, iż ludzie z przyszłości odwrócili się plecami nie tylko do chrześcijaństwa, ale do wszystkich religii.

“Przybyli do nas w poszukiwaniu pomocy — stwierdził wielebny Billings — ale pomoc, której od nas oczekują, nie jest tą pomocą, której im potrzeba. Zamiast pomagać im w przeniesieniu się w odleglejszą przeszłość, o co proszą, powinniśmy pomóc im wrócić na łono wiary chrystusowej. Uciekają z przyszłości, by ratować życie, ale wcześniej już utracili coś znacznie bardziej cennego od życia. Nie mam pojęcia, jak mogło dojść do tego, że odrzucili Chrystusa. Wiem natomiast, że naszym obowiązkiem jest wskazać im ponownie drogę pobożności i prawości. Wzywam zatem wszystkich chrześcijan, by połączyli się ze mną w modlitwie.”

Wilson odłożył długą wstęgę papieru i wrócił do biurka. Włączył lampę, podniósł słuchawkę i wcisnął przycisk centrali.

— To ty, Jane? Nie poznałem twojego głosu. Mówi Steve. Czy mogłabyś połączyć mnie z Nashville, z wielebny Jake'em Billingsem? Tak, Jane, wiem, która jest godzina. Prawdopodobnie położył się spać, będziemy więc musieli go po prostu obudzić. Nie, nie znam numeru. Dziękuję, Jane. Bardzo ci dziękuję.

Zagłębił się w fotelu, mrużąc do siebie pod nosem. Kiedy w rozmowie z prezydentem wczesnym popołudniem padło nazwisko Jake'a Billingsa, obiecał, że skontaktuje się z nim, ale później wyleciało mu to z głowy. Zresztą kto, do diabła, mógł przypuszczać, że sprawy przybiorą taki obrót?

Pomyślał o Windsorze. Tylko taki wścibski staruch, bezkompromisowy głupiec, mógł wyruszyć między uchodźców ze swym orędnem. Zaofiarował swe posługi, a kiedy utarto mu

nosa, wrócił z wrzaskiem do dziennikarzy i opowiedział o wszystkim.

“Chryste, tylko tego nam brakowało, żeby tacy Windsorowie i Billingsowie z całego kraju wmieszali się w sprawę, zaczęli w przerażeniu wznosić ręce do nieba i nawoływać do krucjaty” — pomyślał. Pośepnie stwierdził w duchu, że kruczata stanowiła ostatnią rzecz, jakiej im było trzeba. Sytuacja była wystarczająco zagmatwana bez udziału w tym całym galimatiasie gromady grzmiących z ambon kaznodziejów.

Zadzwoił telefon i Wilson podniósł słuchawkę.

— Wielebny Billings na linii — powiedziała Jane.

— Halo! Czy to wielebny Billings?

— Tak, niech cię Bóg błogosławi — odpowiedział mu głęboki, brzmiący uroczyście głos. — Czym mogę służyć?

— Jake, tu Steve Wilson.

— Wilson? Ach, tak, rzecznik prasowy. Powinienem się był domyślić, że to ty. Nie powiedziano mi, kto będzie rozmawiał. Poinformowano jedynie o telefonie z Białego Domu.

“Łajdak — pomyślał Wilson. — Jest rozczarowany. Sądził, że będzie rozmawiał z nim prezydent”.

— Dawno się nie widzieliśmy, Jake — zaczął.

— Owszem — odparł Billings. — Jak długo? Chyba z dziesięć lat.

— Raczej piętnaście.

— Tak, masz rację. Czas leci...

— Dzwonię do ciebie w sprawie tej krucjaty, do której nawołujesz.

— Kruczaty? Ach, chodzi ci o nawracanie ludzi z przyszłości. Cieszę się, że dzwonisz. Będziemy potrzebowali wszelkiej pomocy. Uważam, że szczęśliwie się złożyło, iż przybyli właśnie

do nas, bez względu na powody. Kiedy pomyślę o rasie ludzkiej, która za pięćset zaledwie lat ma odrzucić naszą dobrą, starą wiarę, wiarę, która pokrzepiała nas od tak wielu stuleci, zimny pot spływa mi po plecach. Tak się cieszę, że przyłączasz się do nas. Nie umiem nawet wyrazić, jak bardzo jestem rad....

— Ja nie przyłączam się do was, Jake.

— Nie przyłączasz się? Czy to znaczy, że nie popierasz nas?

— Nie, nie popieram. Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Dzwonię specjalnie, by poprosić cię o odwołanie tej idiotycznej krucjaty.

— Ależ ja nie mogę...

— Owszem, możesz. Mamy i tak wystarczająco dużo kłopotów bez ogłaszania jakiejś tam głupiej krucjaty. Zrobisz naszemu państwu bardzo złą przysługę, jeśli będziesz obstawał przy swoim. Zetknęliśmy się z wieloma problemami i nie chcemy mieć ich więcej. Nie jest to jedna z tych sytuacji, w których Jake Billings może się wykazać swoją pobożnością. To sprawa życia i śmierci nie tylko dla uchodźców, ale dla nas wszystkich.

— Zdaje się, Steve, że stosujesz niepotrzebnie wyolbrzymione argumenty.

— Nawet jeśli tak — odparł Wilson — to tylko dlatego, że jestem zdumiony twoim postępowaniem. To bardzo ważna sprawa, Jake. Przed nami trudne zadanie: pomóc uchodźcom cofnąć się w czasie, jak tego pragną, zanim ich obecność zrujnuje naszą gospodarkę. Przez cały ten czas będziemy pod krzyżowym ogniem, zarówno ze strony przemysłowców, jak i świata pracy, ludzi żyjących z zasiłków, a także polityków, którzy będą chcieli za wszelką cenę wykorzystać szansę zaatakowania nas. W tej sytuacji trudno nam będzie znieść jeszcze ataki z twojej strony. Pomyśl, jaką ci to robi różnicę. Nie masz do czynienia ze znaną ci

sytuacją, ze współczesnymi ludźmi. Oni pochodzą z przyszłości, z tego wycinka czasu, który normalnie znajdowałby się poza twoim zasięgiem. Oczywiście, uchodźcy znaleźli się w naszej epoce, ale wiatrak, z którym usiłujesz walczyć, zostanie wzniesiony na długo po twojej i mojej śmierci.

— Niezbadane są wyroki boskie — stwierdził Billings.

— Posłuchaj. Zejdź na chwilę z ambony. Stamtąd możesz przekonywać każdego, ale nie mnie. Nie zrobisz na mnie wrażenia, Jake. Nigdy ci się to nie udało.

— Przemawiasz w imieniu prezydenta, Steve?

— Jeśli chcesz wiedzieć, czy on mnie prosił, bym do ciebie zadzwonił, to odpowiedź brzmi: nie. On prawdopodobnie nawet jeszcze nie wie, co zamierzasz. Ale gdy się dowie, na pewno będzie wściekły. Rozmawialiśmy obaj o tobie nie dalej jak dziś po południu. Baliśmy się, że będziesz chciał przyłożyć rękę do tej sprawy. Nie mogliśmy, rzecz jasna, przewidzieć twoich posunięć. Ale ty masz zwyczaj przykładać rękę do wszystkich ważniejszych wydarzeń. Miałem zadzwonić wcześniej i uprzedzić cię, zdarzyło się jednak tak wiele, że nie miałem wolnej chwili.

— Rozumiem twoje stanowisko — rzekł Billings posępnym głosem. — Chyba nawet mogę cię zrozumieć. Ale ty i ja oceniamy wypadki z dwóch krańcowo różnych punktów widzenia. Dla mnie myśl, iż cała rasa ludzka stanie się bezbożna, stanowi osobistą porażkę. Ta świadomość sprzeciwia się wszystkiemu, czego się uczyłem, wszystkim ideałom, dla których żyję i w które wierzę.

— Możesz być spokojny — powiedział Wilson. — Ta sprawa nie posunie się dalej. Przyszłość ludzkości dobiega kresu, dzieli nas od niej zaledwie pięćset lat.

— Przecież oni mają zamiar cofnąć się w jeszcze bardziej

odległą przeszłość...

— Mamy nadzieję, że to uczynią — odparł z goryczą Wilson. — Cofną się w czasie, jeśli my nie będziemy mieli rąk związanych przez ludzi takich jak ty.

— Ale jeśli się cofną, założą nową cywilizację — zaprotestował Billings. — Damy im wszystko, czego będą potrzebowali do jej założenia. A potem na nowej ziemi w nowych czasach stworzą bezbożną kulturę. Możliwe, że po jakimś czasie wyjdą w przestrzeń kosmiczną, polecą do gwiazd i uczynią to jako ludzie bezbożni. Nie możemy na to pozwolić, Steve.

— To ty nie możesz. Ja tak. Nie martwi mnie to. Zresztą, bardzo wielu ludzi nie będzie to nic a nic obchodziło. Jesteś ślepy, jeśli nie potrafisz dostrzec początków, korzeni procesu odrzucania religii w naszych czasach. Możliwe, że tak naprawdę to właśnie cię martwi. Zadajesz sobie pytanie, czy jest coś, co mógłbyś zrobić, żeby zapobiec takiemu finałowi.

— Może i masz rację. Nie miałem zbyt wiele czasu, żeby dokładnie to przemyśleć. Ale nawet jeśli to prawda, to i tak nie robi większej różnicy. Nadal zmuszony byłbym robić dokładnie to, co robię.

— Czy to znaczy, że nie masz zamiaru zaprzestać? Nawet teraz, kiedy wiesz, jakie to ma dla nas znaczenie? Musisz dosiąść wielkiego białego konia i wzbudzać w ludziach niepokój...

— Muszę, Steve. Moje sumienie...

— A może zastanowisz się jeszcze? Może zadzwonię jeszcze raz?

Nie było sensu przytaczać dalszych argumentów. Dyskusja z zaślepionym wiarą szaleńcem prowadziła donikąd. Wilson znał dobrze Billingsa jeszcze z czasów studiów. Powinien był już na samym początku zrozumieć, że wszelkie próby ukazania mu

odmiennego punktu widzenia muszą spełznąć na niczym.

— Owszem, zadzwoń, jeśli masz ochotę — rzekł Billings. Ale ja nie zmienię zdania. Znam swoją powinność. Nie wyperswadujesz mi jej w żaden sposób.

— Dobranoc, Jake. Przepraszam, że cię obudziłem.

— Nie obudziłeś mnie. Nawet nie miałem zamiaru kłaść się tej nocy. Miło mi było z tobą porozmawiać, Steve.

Wilson odłożył słuchawkę i przez jakiś czas siedział bez ruchu. “Możliwe — pomyślał — że gdybym rozegrał to inaczej, nie wyskakiwał od razu z tak poważnymi argumentami, udałoby się coś osiągnąć. Choć to wątpliwe. Odwoływanie się do rozsądku tego człowieka zawsze było bezcelowe, nigdy nie przynosiło żadnych efektów. Może gdybym zadzwonił do niego po południu, zaraz po rozmowie z prezydentem, złagodziłbym jego reakcję. Sprawa przedstawiała się beznadziejnie już od początku. Sam Billings jest beznadziejny.”

Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga. Sięgnął ponownie po słuchawkę i nakręcił numer Judy. Odpowiedział mu zaspany głos.

— Obudziłem cię?

— Nie, czekałam na ciebie. Spóźniasz się, Steve. Co się stało?

— Musiałem pojechać do Fortu Myer i przywieźć kilku uchodźców naukowców. Są już tutaj. Prowadzą z nimi rozmowy ludzie z Akademii Nauk. Chyba się nie wyrobię, Judy.

— To znaczy, że nie przyjedziesz?

— Muszę tu zostać. Zbyt wiele się dzieje.

— Rano padniesz z nóg.

— Wyciągnę się na leżance w gabinecie i trochę się zdrzemnę.

— Mogę przyjechać. Obejmę wartę.

— Nie ma potrzeby. Ktoś mnie obudzi, jeśli zajdzie

konieczność. Kładź się do łóżka. Możesz się nawet trochę spóźnić. Dam sobie radę.

— Steve?

— Tak?

— Sprawy nie mają się dobrze, prawda?

— Za wcześnie o tym przesądzać.

— Oglądałam wystąpienie prezydenta w telewizji. Będzie niezła zadyma. Nigdy nie mieliśmy do czynienia z czymś podobnym.

— Nie, nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

— Boję się, Steve.

— Ja także — przyznał Wilson. — Rano wszystko będzie inaczej. I my będziemy czuli się zupełnie inaczej.

— Mam złe przeczucia — powiedziała Judy. — Jak gdyby grunt osuwał mi się spod nóg. Rozmyślałam o mojej matce i siostrze w Ohio. Nie widziałam się z mamą już od bardzo, bardzo dawna.

— Zadzwoń do niej. Porozmawiaj z nią. Może poczujesz się lepiej.

— Próbowałam. Wiele razy. Ale linie są przeciążone. Wszyscy naraz chcą rozmawiać, jak w czasie wakacji. Cały kraj zwariował.

— Przed chwilą przeprowadziłem rozmowę zamiejscową.

— No pewnie, ale ty siedzisz w Białym Domu. Wasze połączenia mają bezwzględne pierwszeństwo.

— Będiesz mogła zadzwonić jutro. Chyba do jutra wszystko się uspokoi.

— Jesteś pewien, Steve, że nie możesz teraz wyjść? Potrzebuję cię.

— Przykro mi, Judy. Naprawdę przykro. Mam dziwne przeczucie, że powinienem tutaj zostać. Nie wiem dlaczego, ale

muszę.

— Zatem zobaczymy się rano?

— Spróbuj się trochę przespać.

— Ty także. Postaraj się nie myśleć o tym wszystkim i choć trochę się zdrzemnąć. Potrzebujesz snu. Jutro będzie urwanie głowy.

Życzyli sobie dobrej nocy, po czym Wilson odłożył słuchawkę. Zaczął zastanawiać się, dlaczego powinien tu zostać. W tej chwili nie było przecież takiej potrzeby. A jednak nigdy nic nie wiadomo, w każdej chwili mogło rozpętać się piekło.

Stwierdził, że faktycznie powinien się trochę zdrzemnąć, lecz z jakiegoś powodu wzdragał się przed zaśnięciem. Nie potrzebował snu, był zbyt rozdrażniony, zbyt spięty, żeby zasnąć. Później, za kilka godzin, ostatecznie ochłonie, przywyknie do nowej sytuacji. Ale teraz miał za bardzo napięte nerwy i zbyt zaprzątniętą głowę, by mógł usnąć.

Wyszedł z budynku i poszedł naokoło chodnikiem, aż znalazł się przed frontowym wejściem. Noc była ciepła, orzeźwiająca przed żarem i zamieszanym nadciągającym dnem. W mieście panowała cisza. Z oddali dobiegł warkot silnika, lecz żaden samochód nie przejechał aleją. Kolumny portyku delikatnie odbijały światła ulicy. Niebo było czyste, usiane milionami gwiazd. Na jego tle przesuwiał się migoczący czerwony ognik, a po chwili doleciał z góry odległy huk silników.

W pobliżu kępy drzew poruszyła się jakaś ciemna sylwetka.

— Czy wszystko w porządku, sir? — rozbrzmiał głos.

— Tak — odparł Wilson. — Wyszedłem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Dostrzegł żołnierza z karabinem zawieszonym na piersi.

— Proszę lepiej nie spacerować — poradził żołnierz. —

W okolicy jest pełno wojska, a niektórzy chłopcy mogą być trochę nerwowi.

— Nie będę — rzekł Wilson. — Zaraz wracam do budynku.

Stał jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w otulającą miasto ciszę i rozkoszując rześkim nocnym powietrzem. A jednak nie wszystko było takie samo. Wyczuwało się jakąś różnicę. Miał wrażenie, że owa cicha, spokojna noc przesiąknięta jest dziwnym napięciem, które zaczynało się mu udzielać.



Hałas wybił Elmera Ellisa z głębokiego snu. Usiadł w łóżku, na wpół przytomny, usiłując się rozbudzić. Na nocnym stoliku u wezgłowia głośno tykał budzik. Obok Elmera jego żona, Mary, wsparła się na łokciu.

— Co się stało, Elmer? — spytała zaspanym głosem.

— Coś się dzieje z kurczakami — odparł; w tej samej chwili uświadomił sobie, co go obudziło.

Hałas powtórzył się — trzepot skrzydeł i jazgot przerażonych kurczaków. Elmer odrzucił kołdrę i spuścił nogi na zimną podłogę z takim impetem, że aż zaboląły go pięty.

Sięgnął ręką w poszukiwaniu spodni, znalazł je, wbił nogi w nogawki, pospiesznie zapiął spodnie i wsunął stopy w buty, nie zwracając sobie głowy sznurówkami. Rejwach w kurniku trwał nadal.

— A gdzie jest Tige? — zapytała Mary.

— Przeklęty pies — mruknął. — Pewnie wyruszył na opasy.

Szybko skierował się ku drzwiom sypialni i przeszedł do kuchni. Nie zapalając światła, namacał strzelbę i zdjął ją z wieszaka. Z torby myśliwskiej, wiszącej poniżej, wyciągnął garść naboju, wrzucił je do kieszeni, po czym sięgnął jeszcze po dwa naboje i załadował je do komór dubeltówki.

Za plecami usłyszał człapanie bosych stóp.

— Masz tu latarkę, Elmer. Bez niej nic nie zobaczysz.

Niemalże wcisnęła mu ją w garść.

Na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, musiał więc włączyć latarkę, żeby nie spaść ze schodków werandy. Harmider w kurniku nie ustawał i nigdzie nie było nawet śladu psa.

Wydało mu się to dziwne. W przypiływie wściekłości powiedział, że pies wyruszył polować na opozy, ale to nie mogło być prawdą. Tige nigdy nie wypuszczał się samotnie na polowania. Był na to za stary, zbyt niemrawy i za bardzo przywiązany do swego legowiska pod werandą.

— Tige! — zawołał półgłosem.

Pies zaskomlał pod werandą.

— Co się, do diabła, z tobą dzieje? — zapytał Elmer. — Co tam grasuje, piesku?

Nagle ogarnął go strach — przerażenie, jakiego nigdy dotąd nie doznał. Znacznie silniejsze od tego, które opanowało go kiedyś, gdy wpadł w pułapkę zastawioną przez Yietkong. To był zupełnie inny rodzaj strachu — niemal fizycznie odczuwał lodowatą dłoń, która pochwyciła go i trzymała w uścisku, mając zarazem świadomość, że nigdy się od niej nie uwolni.

Pies zaskomlał ponownie.

— Chodź tu, piesku — rzekł Elmer. — Wyłaź stamtąd i bierz się do roboty.

Tige nie poruszył się nawet.

— No dobra. Zostań tam.

Przeszedł przez podwórze, oświetlając latarką na przemian ścieżkę i drzwi do kurnika.

Harmider przybrał jeszcze na sile, oszalałe kurczaki darły się jak opętane.

“Dawno temu powinienem wstawić nowe deski i załatać dziury w kurniku — pomyślał. — Przy takim stanie ścian lis nie miałby najmniejszych kłopotów z dostaniem się do środka. Chociaż jak na lisa to dziwne, że nadal jeszcze jest wewnątrz. Pierwszy błysk światła czy głos człowieka powinien go natychmiast wypłoszyć. Może to łasica, norka albo nawet szop?”

Przed drzwiami zatrzymał się, ogarnięty strachem. Nie mógł się wycofać. Nigdy by sobie nie darował, gdyby to zrobił. Cóż go tak przeraziło? “Reakcja Tige'a” — pomyślał. Pies był do tego stopnia przestraszony, że nie chciał wyjść spod werandy, i widocznie część tego strachu musiała się udzielić Elmerowi.

— Cholerny pies — mruknął.

Uniósł haczyk i szarpnięciem otworzył drzwi. Prawą dłonią objął mocniej strzelbę, lewą zaś skierował do środka strumień światła.

Początkowo w kręgu światła dostrzegł tylko pióra, setki piór unoszących się w powietrzu. Potem zauważył biegające, wrzeszczące i bijące skrzydłami kurczaki, a pomiędzy nimi...

Elmer Ellis rzucił latarkę, wrzasnął, poderwał strzelbę do ramienia i na ślepo wypalił w środek kurnika — najpierw z prawej lufy, potem z lewej, tak szybko jednak, że odgłos obu wystrzałów zlał się w jeden huk.

Nagle rzuciły się na niego, wyskakując przez otwarte drzwi. Zdawało się, że są ich setki — ledwie widocznych w świetle leżącej latarki przerażających potworków, jakie można zobaczyć jedynie w koszmarnym śnie. Działając na wpół świadomie, obrócił strzelbę, zacisnął obie dłonie na lufach i używając broni jak pałki, zaczął młócić na oślep.

Ostre kły zacisnęły się na jego stopie, ciężkie ciało runęło mu na pierś. Szpony rozorały lewą nogę od kolana aż po kostkę.

Poczuł, że traci równowagę. Wiedział, że gdy runie na ziemię, nie będzie miał żadnych szans.

Opadł na kolana. Jedno ze stworzeń wpiło mu się w rękę. Próbował je odrzucić. Drugie pazurami pocięło mu całe plecy. Przewrócił się na bok, wcisnął głowę w ramiona, osłaniając ją wolną ręką, podciągnął kolana, żeby zakryć brzuch.

Było już jednak po wszystkim. Nie czuł na sobie ani kłów, ani szponów. Uniósł głowę i dojrzał je — przemykające cienie, nurkujące w mrok nocy. Promień rzuconej latarki wyłowił na chwilę jedno ze stworzeń i przez ułamek sekundy miał sposobność obejrzeć w całej okazałości przedstawiciela gromady, która grasowała w kurniku. Widok ten przeraził go.

Stworzenia zniknęły i został sam na podwórku. Spróbował się podnieść. Podźwignął się, ale nogi ugięły się pod nim i upadł ciężko. Poczłogał się w stronę domu, wbijając palce w ziemię i wlokąc bezwładne ciało. Z ręki i nogi płynęła krew, plecy paliły coraz bardziej.

W oknie kuchni zabłysło światło. Spod werandy wypełzł Tige i zaczął sunąć z brzuchem przy ziemi w stronę Elmera, skowycząc cicho. Mary, ubrana w szlafrok, zbiegła po schodkach.

— Zawiadom szeryfa! — krzyknął, z trudem chwytając powietrze. — Dzwon po szeryfa!

Podbiegła, uklękła przy nim i próbowała pomóc mu się podnieść.

Odepchnął ją.

— Zawiadom szeryfa! Szeryf musi się o tym dowiedzieć!

— Jesteś ranny. Krwawisz.

— Nic mi nie będzie — odparł ostro. — One uciekły. Musimy ostrzec innych ludzi. Nie widziałaś ich, nie wiesz, co to za potwory.

— Pomogę ci wejść do środka, a potem zadzwonię po lekarza.

— Najpierw zadzwoń po szeryfa — powiedział. — Dopiero potem po lekarza.

Wstała i pobiegła do domu. Usiłował czołgać się dalej, lecz po kilku metrach opadł z sił. Tige podpełzł bliżej, trącił go nosem w głowę, po czym zaczął lizać swego pana po policzku.



Dyskusję otworzył doktor Samuel Ives, kiedy mężczyźni zajęli miejsca wokół stołu w sali konferencyjnej.

— Zebranie nasze — powiedział — mimo wyjątkowego charakteru, zmuszającego do spotkania się o bladym świetle, dla nas wszystkich z tej epoki stanowi niezwykle wydarzenie. Większość z nas w trakcie swej zawodowej działalności niejednokrotnie stawiała bezradnie wobec fundamentalnej zasady nieodwracalności upływu czasu. Niektórzy, na przykład ja i doktor Asbury Brooks, poświęcili wiele lat na badania nad tym problemem. Sądzę, że doktor Brooks nie weźmie mi tego za złe, jeśli wyrażę opinię, że osiągnęliśmy bardzo niewiele, wręcz nie osiągnęliśmy żadnego postępu. O ile jednak ludzie nie związani z nauką mogą podawać w wątpliwość wartość tego typu badań, traktując czas bardziej jako pojęcie natury filozoficznej niż fizycznej, o tyle niezaprzeczalnym pozostaje fakt, że prawa natury, z którymi wszyscy mamy do czynienia, powiązane są z ową tajemniczą rzeczą, jaką jest czas. Musimy zadać sobie pytanie, czy w ogóle jesteśmy w stanie do końca zrozumieć pojęcia, którymi operujemy zarówno w życiu codziennym, jak i w wielu dziedzinach nauki, a które mogą stanowić fizyczne współzależności, leżące u podstaw rozszerzania się wszechświata, teorii informacji, a także

termodynamicznych, elektromagnetycznych, biologicznych oraz statystycznych aspektów czasu. W opisie każdego zjawiska fizycznego zmienna czasowa występuje jako parametr na najbardziej elementarnym poziomie. Zastanawialiśmy się, czy istnieje coś takiego jak czas uniwersalny, czy jest to może wyłącznie kwestia warunków brzegowych. Niektórzy z nas uważają, że jedynym sensownym wyjaśnieniem może być teoria, iż czynnik czasu został dość przypadkowo rozrzucony po wszechświecie w momencie jego narodzin i w tych rejonach trwa odtąd niezmiennie. Ale wszyscy z nas, jak sądzę, mają świadomość, że wszelkie rozważania o naturze czasu są pod przemożnym wpływem naszych intuicyjnych wyobrażeń, dotyczących kierunku upływu czasu, i że może to być jeden z czynników sprawiających, że tak trudno jest nam zrozumieć czas i stworzyć jakiś sensowne teorie odnoszące się do niego.

Popatrzył przez całą długość stołu na trzech mężczyzn pochodzących z przyszłości.

— Proszę mi wybaczyć ten wstęp do naszej dyskusji, który, w świetle waszych dokonań, może się wydać niestosowny. Uznałem jednak za konieczne, by uzyskać pewną perspektywę, przedstawić nasze poglądy i wyniki badań. Myślę, że to wystarczy jako wstęp, i teraz głos powinien zabrać któryś z panów. Mogę zapewnić, że wszyscy będziemy słuchali z najwyższą uwagą. Który z panów chciałby zacząć?

Hardwicke i Cummings popatrzyli na siebie pytająco. Wreszcie odezwał się Hardwicke:

— Mogę zabrać głos pierwszy. Chciałbym wyrazić głębokie uznanie, jakie wszyscy trzej mamy dla panów za chęć spotkania się z nami o tak niezwyklej porze. Obawiam się, że prawdopodobnie rozczarujemy was, gdyż muszę od razu

wyznać, że jeśli chodzi o istotę czasu, wiemy niewiele więcej od was. Zadawaliśmy sobie te same pytania, które i wy stawialiście, i nie znaleźliśmy żadnych odpowiedzi...

— A jednak potraficie podróżować w czasie — wtrącił Brooks.
— Można z tego wnioskować, że coś powinniście wiedzieć, że przynajmniej zrozumieliście podstawy...

— Owszem — odparł Hardwicke. — Odkryliśmy, że nasz wszechświat nie jest jedynym. Istnieją co najmniej dwa wszechświaty koegzystujące w granicach tej samej przestrzeni, lecz są to wszechświaty tak diametralnie różniące się od siebie, iż żaden nie jest w stanie normalnymi metodami dowiedzieć się o istnieniu drugiego. Nie będę teraz zagłębiał się w szczegóły badań, które doprowadziły do tego odkrycia, i omawiał naszej wiedzy o tamtym wszechświecie. Nie jest to jednak wszechświat taki jak nasz, ziemski, a zatem — przynajmniej o ile nam wiadomo — nie stanowi dla nas zagrożenia. Mogę jeszcze dodać, że jego istnienie udowodniono na podstawie badań szczególnych własności pewnych cząsteczek. Nie chodzi o to, iż cząsteczki te pochodzą z tamtego wszechświata, ale że w określonych przypadkach mogą odzwierciedlać nie do końca zrozumiałe warunki, panujące w owym wszechświecie. Dwa diametralnie różniące się wszechświaty. Na ten drugi składają się cząsteczki i oddziaływania, które nie mają nic wspólnego z cząstkami i siłami tworzącymi nasz wszechświat... choć jak już zaznaczyłem, mogą istnieć współzależności, ale na tak małą skalę, że trzeba jedynie ślepego, szczęśliwego trafu, by je odkryć. Tak się złożyło, że naszym badaczom dopomógł ów szczęśliwy traf. Umożliwiło nam to poznanie kilku faktów dotyczących drugiego wszechświata. Często zastanawiałem się, czy sam szczęśliwy traf, dla którego moglibyśmy znaleźć lepszą nazwę,

nie powinien stać się przedmiotem szczegółowych badań, mających na celu dokładniejsze określenie jego właściwości. Jak już wspomniałem, udało się nam odkryć pewną fundamentalną zasadę, rządzącą tym drugim wszechświatem. Zasadę bardzo prostą, a jednak przy wnikliwszej analizie prowadzącą do szokujących wręcz wniosków. Odkryliśmy mianowicie, że czas w drugim wszechświecie płynie dokładnie w przeciwnym kierunku w stosunku do kierunku upływu czasu w naszym wszechświecie. Podczas gdy w naszym wszechświecie czas płynie z przeszłości w stronę przyszłości, to relatywnie czas płynie tam z naszej przyszłości ku naszej przeszłości.

— Jedna rzecz mnie zastanawia — odezwał się Ives. — Mieliście do czynienia z niezwykle skomplikowanym problemem, a jednak w ciągu dwudziestu lat...

— Wyciąga pan mylne wnioski — odparł Cummings. — Przyznaję, że przenoszenie się w czasie jest efektem badań prowadzonych w panicznym wręcz pośpiechu. Ale zanim rozpoczęła się praca nad tym projektem, mieliśmy już wiedzę, którą przedstawił pokrótce doktor Hardwicke. W waszej dotychczasowej ścieżce czasu odkrycia istnienia drugiego wszechświata dokonano w niecałe sto lat, licząc od chwili obecnej. Badania prowadzono niemal przez cztery wieki, zanim nam udało się w końcu zaprząć siły tamtego wszechświata do działania. Jeśli mam być szczery, jedyne wartościowe prace z tego zakresu dotyczyły możliwości wykorzystania przeciwnego kierunku upływu czasu w drugim wszechświecie jako sposobu podróżowania w czasie. Nam zostało jedynie nadać tym badaniom ostateczny kształt. Myślę, że metody podróżowania mogłyby zostać opracowane wcześniej, jeszcze przed inwazją obcych, gdyby istniały ku temu znaczące powody. Poza aspektem

czysto naukowym nie widziano jednak konkretnych zastosowań. W normalnych warunkach taka podróż w czasie, gdy można poruszać się wyłącznie w jednym kierunku i nie istnieje możliwość powrotu, nie stanowiłaby żadnej atrakcji.

— Kiedy podejmowaliśmy decyzję — ciągnął Hardwicke — że jedynym sposobem przetrwania jest cofnięcie się w czasie, większość prac w tej dziedzinie była już zrobiona. Jeśli chodzi o badania naukowe, zawsze istniały pewne odłamy społeczeństwa, kwestionujące wartość czysto naukowych osiągnięć. Zawsze pytano, jaki będzie z tego pożytek, w jaki sposób pomoże to ludziom, jak można to wykorzystać. Uważam, iż nasza sytuacja jest znakomitym dowodem wartości badań samych w sobie. Prace dotyczące natury drugiego wszechświata oraz jego przeciwnego kierunku upływu czasu należały do czysto badawczych, wysiłki i fundusze kierowano na coś, co pozornie nie stwarzało szansy na postęp, nie spodziewano się żadnych korzyści. A jednak te właśnie badania otworzyły całej ludzkości drogę ratunku.

— Jak rozumiem — powiedział Brooks — znaleźliście sposób na wykorzystanie przeciwnie skierowanego strumienia czasu drugiego wszechświata do przeniesienia się w naszą epokę. W jakiś sposób wasze tunele czasowe musiały przeniknąć do tamtego strumienia. Wkroczyliście do płynącego odwrotnie czasu w waszej epoce, a wyszliście z niego w naszej. Żeby to osiągnąć, musieliście jednak znacznie przyspieszyć wsteczny bieg czasu i zachować nad jego szybkością kontrolę.

— To sprawiło nam największą trudność — odparł Hardwicke. — Teorię mieliśmy już opracowaną, lecz wiele wysiłków kosztowało nas wcielenie jej w życie. Jak się okazało, było to niewiarygodnie proste, choć sprawiało wrażenie rzeczy nie do

zrobienia.

— Sądzicie zatem, że znajduje się to w zasięgu możliwości naszej technologii?

— Jesteśmy tego pewni — stwierdził Hardwicke. — Z tego powodu wybraliśmy waszą epokę. Musieliśmy przenieść się w czasy, w których ludzie zdolni byliby zrozumieć i zaakceptować całą teorię, a inżynierowie potrafiliby skonstruować niezbędny sprzęt. Rzecz jasna, braliśmy także pod uwagę inne czynniki. Musieliśmy znaleźć społeczeństwo o takim poziomie intelektualnym i takiej moralności, dzięki którym moglibyśmy uzyskać niezbędną pomoc. Potrzebne nam były takie czasy, w których poziom produkcji przemysłowej i gospodarki pozwoliłby na zaopatrzenie nas w sprzęt i narzędzia niezbędne do zbudowania nowej cywilizacji w miocenie. Może było z naszej strony nietaktem spodziewać się od was aż tak wiele. Na nasze usprawiedliwienie mamy tylko jedno: gdybyśmy nie cofnęli się w czasie, do tej epoki czy do jakiegokolwiek innej, rasa ludzka dobiegłaby swego kresu za jakieś pięćset lat. Obecnie znaleźliście się na innej ścieżce czasu, a na temat tego fenomenu, jeśli będziecie chcieli, możemy podyskutować później — w związku z czym zaistniała szansa, chociaż nie ma żadnej pewności, że w waszej przyszłości w ogóle nie nastąpi inwazja obcych.

— Do tej pory — rzekł Ives — doktor Osborne nie zabrał jeszcze głosu w naszej dyskusji. Czy chciałby pan coś dodać? Osborne pokręcił głową.

— Nie jestem kompetentny w tej dziedzinie, panowie. Nie jestem fizykiem, lecz geologiem ze sporą wiedzą w zakresie paleontologii. Jestem po prostu osamotniony w tym gronie. Później, kiedy będziecie chcieli porozmawiać o miocenie,

o ewentualnym naszym punkcie docelowym, udostępnię wam całą moją wiedzę.

— Jeśli chodzi o mnie — odezwał się Brooks — z przyjemnością wysłuchałbym pana już teraz. Dotarło do mnie, iż padła propozycja, by obecni mieszkańcy Ziemi przenieśli się do miocenu razem z wami. Domyślam się, że projekt ten może zostać entuzjastycznie odebrany przez wielu ludzi żądnych przygód. Są tacy, którym przez całe życie towarzyszy odczucie, iż wiele stracili, przychodząc na świat po zakończeniu epoki odkryć geograficznych. Pomysł cofnięcia się w czasie może także zyskać licznych zwolenników pośród ludzi, którzy będą spodziewali się, iż przestanie obowiązywać wiele istniejących dziś ograniczeń. Jeśli byłby pan łaskaw, chętnie posłuchalibyśmy, czego możemy oczekiwać w m i ocenie.

— Jeżeli uważacie to, panowie, za pożądane, chętnie wyjaśnię — rzekł Osborne. — Musicie zrozumieć, rzecz jasna, że poruszamy się w głównej mierze w sferze domysłów, chociaż wielu rzeczy jesteśmy raczej pewni. Głównym powodem, dla którego wybraliśmy miocen, jest fakt, iż wtedy właśnie pojawiła się na Ziemi trawa. Istnieje wiele danych przemawiających za słusnością tego twierdzenia, nie będę jednak obecnie się w nie zagłębiał. Podstawowym argumentem jest, iż w tym okresie u zwierząt roślinożernych wykształcił się taki rodzaj uzębienia, który jest najbardziej odpowiedni do przeżuwania trawy. Ponadto, w początkach tej ery, masowo zaczęły się pojawiać zwierzęta roślinożerne. Klimat stał się zdecydowanie bardziej suchy, mimo to, według naszych przypuszczeń, występowało wystarczająco dużo deszczów, by można efektywnie rozwijać rolnictwo. Większość gigantycznych puszczy ustąpiła miejsca trawiastym równinom, dostarczającym pożywienia stadom

roślinożerców. Nasza wiedza o faunie miocenu jest dość bogata, chociaż nie należy wykluczać, iż istniało również wiele gatunków, o których paleontologowie nic nie wiedzą. Przeważały gigantyczne stada oreodontów, zwierząt wielkości owcy, będących prawdopodobnie dalekimi przodkami wielbłądów. Żyły wówczas także wielbłądy, ale były znacznie mniejsze od tych, które znamy dzisiaj. Możemy spodziewać się też niedużych kucykopodobnych koni i dość znacznej liczby nosorożców. Również w miocenie, prawdopodobnie na początku, do Ameryki Północnej przez pomost lądowy w Cieśninie Beringa przywędrowały słonie. Miały wówczas po cztery kły i były mniejsze od znanych nam obecnie. Jednym z najbardziej niebezpiecznych gatunków były wówczas olbrzymie świnie, wielkości dzisiejszego wołu, których czaszki osiągały prawie półtora metra długości. Z tymi świniami pewnie nie będzie można łatwo dać sobie radę. Przy tak wielu roślinożercach, wędrujących stadami przez prerie, należy się spodziewać w miocenie pełnej gamy drapieżników tak z rodziny psów, jak i kotów. Prawdopodobnie natrafimy na wczesnych przodków tygrysów szablozębnych. To zaledwie pobieżny przegląd; wiemy znacznie więcej. Podstawowy wniosek brzmi następująco: jesteśmy przekonani, że miocen stanowił epokę dość gwałtownego rozwoju ewolucyjnego, fauna wzbogaciła się o wiele nowych gatunków, przy czym charakterystyczną tendencją było zwiększanie się rozmiarów zwierząt. Prawdopodobnie występowało także wiele pozostałości z oligocenu, a nawet z eocenu. Przypuszczam, że niektóre gatunki ssaków mogą okazać się niebezpieczne. Można oczekiwać także jadowitych węży i owadów, chociaż nikt nie jest tego pewien. Jeśli mam być szczery, w tym zakresie dysponujemy

bardzo skąpymi danymi.

— Podsumowując — rzekł Brooks — zakładacie, że jest to epoka nadająca się do zaludnienia, że człowiek da sobie w niej radę.

— Jesteśmy o tym przekonani — stwierdził Osborne. — Olbrzymie połacie puszczy z minionych epok powinny już ustąpić miejsca preriom i choć nadal będzie wystarczająco wiele lasów umożliwiających eksploatację drewna, to powinniśmy też znaleźć wielkie odkryte przestrzenie, nadające się pod zasiewy. Będzie tam trawa stanowiąca pożywienie zwierząt hodowlanych. Nie powinny także występować bardzo intensywne opady deszczu, które charakteryzowały niektóre z wcześniejszych epok. Dopóki nie wystartujemy na dobre, będzie można korzystać z bogactw przyrody, obfitującej w zwierzynę łowną, orzechy, jagody, owoce i jadalne korzenie. Wydajne powinno być rybołówstwo. Co prawda, nie jesteśmy na tyle pewni klimatu, na ile chcielibyśmy. Wiele jednak wskazuje na to, że będzie on jeszcze bardziej łagodny niż obecny. Prawdopodobnie lata będą równie gorące, natomiast zimy łżejsze. Rozumiecie chyba, że nie wszystkiego jesteśmy pewni.

— Tak, to rozumiąle — powiedział Brooks. — W każdym razie zdecydowani jesteście przenieść się tam.

— Musimy — rzekł Osborne. — Nie mamy wyboru.



Steve Wilson wrócił do swojego gabinetu. Lampa na biurku była włączona; rzucała krąg światła w pograżonym w ciemnościach pokoju. Stożące pod ścianą teleksy terkotały cicho. Dochodziła godzina trzecia. Pomyślał, że powinien się trochę przespać. Gdyby nawet dopisało mu szczęście, gdyby mógł zasnąć, miał przed sobą najwyżej cztery godziny na odpoczynek, zanim będzie musiał ponownie wziąć się do pracy.

Kiedy zbliżył się do biurka, z krzesła niewidocznego w panujących ciemnościach podniosła się Alice Gale. Wciąż miała na sobie tę samą suknię. "Czyżby nie miała się w co przebrać?" — przemknęło mu przez myśl. Pomyślał, że chyba tak, bo uchodźcy z przyszłości prawie nie mieli ze sobą bagażu.

— Czekaliśmy na pana, panie Wilson — powiedziała — z nadzieją, że pan wróci. Mój ojciec chciałby z panem porozmawiać.

— Oczywiście — odparł Wilson. — Dzień dobry, panie Gale.

Gale wyszedł z mrocznego kąta i położył swoją aktówkę na biurku.

— Jestem trochę zakłopotany — zaczął — znalazłem się bowiem w sytuacji, która może się panu wydać kłopotliwa. Chciałbym, żeby mnie pan wysłuchał i doradził, w jaki sposób przeprowadzić to, co chcę zrobić. Sprawia pan wrażenie

człowieka dobrze obeznanego ze wszystkim.

Słowa te poruszyły Wilsona, podchodzącego do biurka. Przeczynał, że zostanie postawiony w trudnej sytuacji. Czekał w napięciu.

— Doskonale rozumiemy — powiedział Gale — że przybywając tu, staliśmy się ogromnym ciężarem dla wszystkich rządów i w ogóle dla wszystkich ludzi. Staraliśmy się jak najbardziej złagodzić uciążliwość. Na terenach, na których według naszych ocen mogłyby wystąpić niedobory żywnościowe, zorganizowaliśmy przerzuty zboża i produktów spożywczych. Gotowi jesteśmy wykonać każdą wymaganą od nas pracę, stanowimy przecież olbrzymią potencjalną siłę roboczą. Mimo wszystko budowa tuneli oraz zaopatrzenie nas w narzędzia, których będziemy potrzebowali w miocenie, pociągną za sobą olbrzymie koszty.

Sięgnął po leżącą na biurku w kręgu światła aktówkę i otworzył ją. W środku znajdowały się niewielkie skórzane woreczki. Gale podniósł jeden z nich, rozwiązał go i wysypał na blat deszcz szlifowanych kamieni, iskrzących się i połyskujących w świetle lampy.

— Diamenty — wyjaśnił.

Wilson z trudem przełknął ślinę.

— Ale dlaczego? — szepnął. — Dlaczego diamenty? Po co przynieśliście je do mnie?

— Tylko w ten sposób — wyjaśnił Gale — mogliśmy zabrać ze sobą coś o dużej wartości, a zarazem wystarczająco małej objętości, by można to wygodnie przetransportować. Zdajemy sobie sprawę, że gdyby kamienie te naraz pojawiły się na rynku, spowodowałyby krach na giełdzie. Gdyby zaś wprowadzać je stopniowo, potajemnie, wówczas spadek cen nie powinien być

znaczący. Tym bardziej gdyby istnienie tych kamieni utrzymano w tajemnicy. Dobieraliśmy je bardzo starannie, tak by nie pojawiły się jakieś duplikaty, żeby zapobiec paradoksom. Mogliśmy przecież dostarczyć z przyszłości wiele znanych okazów, które istnieją i są znane. Uniknęliśmy tego. Wszystkie kamienie w tej walizeczce zostały znalezione i oszlifowane w waszej przyszłości. Żaden z nich nie może być wam znany.

— Proszę je schować — powiedział przestraszony Wilson.

— Wielki Boże! Człowieku, wyobrażasz sobie, co by się stało, gdyby rozeszła się wiadomość, co zawiera ta aktówka? Miliardy dolarów...

— Owszem, wiele miliardów — stwierdził spokojnie Gale. — Przy waszych wysokich cenach mogą one być warte nawet bilion. Ich wartość jest znacznie większa, niż w naszych czasach. Za pięćset lat nie będziemy cenili podobnych rzeczy tak wysoko jak wy teraz.

Nie spiesząc się zebrał kamienie, wsypał je z powrotem do woreczka, ułożył woreczek na miejscu, po czym zamknął aktówkę.

— Niezmiernie żałuję — powiedział Wilson — że pan mi w ogóle o tym powiedział.

— Musieliśmy — rzekła Alice. — Czy nie rozumie pan? Pan jest jedynym, którego znamy i któremu możemy zaufać. Doszliśmy do wniosku, że bezpiecznie będzie powiadomić pana i wysłuchać rady, jak mamy postąpić.

— Usiądźmy wszyscy — powiedział Wilson, starając się nadać swemu głosowi normalne brzmienie — i porozmawiajmy. Nie mówmy zbyt głośno. Nie sądzę, żebyśmy byli podsłuchiwani, ale nie można wykluczyć, że ktoś tu wejdzie.

Wyszli z kręgu światła, przysunęli do siebie fotele i usiedli.

— Przypuszczam, że teraz powiecie mi, po co to wszystko — powiedział Wilson.

— Uważaliśmy — odparł Gale — iż zyski z dobrze przeprowadzonej sprzedaży tych kamieni mogą w jakimś stopniu pokryć wydatki, jakie pociągnie za sobą pomoc dla nas. Nie chodzi o wydatki jednego rządu czy konkretnych ludzi, ale o wydatki wszystkich rządów i wszystkich ludzi. Po sprzedaniu kamieni i zamianie zysków na kapitał możliwe będzie rozdzielenie pieniędzy odpowiednio do poniesionych wydatków.

— W tej walizeczce...

— Uprzedzę pańskie pytanie. Dlaczego nie podzieliliśmy kamieni i nie zwróciliśmy się oddzielnie do każdego rządu? Istnieją dwa powody. Im więcej ludzi zostałoby zapoznanych ze sprawą, tym większe byłoby prawdopodobieństwo rozprzestrzenienia się informacji. Naszą jedyną szansą było ograniczenie liczby wtajemniczonych ludzi do minimum. Pośród nas wie o tym tylko sześć osób. Pan jest na razie jedynym spośród was. Ponadto istnieje kwestia zaufania. Wiemy z historii, że istniało tylko kilka rządów, którym mogliśmy zaufać, w waszych czasach zaledwie dwóm — wam i Brytyjczykom. Na podstawie przeprowadzonych analiz wybraliśmy rząd Stanów Zjednoczonych. Istniał też projekt przekazania kamieni ONZ, lecz mówiąc szczerze, nie mieliśmy zbyt dużego zaufania do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wybrano mnie, abym wręczył kamienie prezydentowi. Zdecydowałem jednak inaczej, kiedy zrozumiałem, jak wiele ma on problemów na głowie, do jakiego stopnia zmuszony jest opierać się na sądach wielu różnych ludzi.

— W tej chwili mogę powiedzieć tylko jedno — rzekł Wilson.
— Nie może pan przez cały czas trzymać tej aktówki przy sobie. Należy przydzielić panu ochronę do czasu, aż skarb zostanie

umieszczony w jakimś bezpiecznym miejscu. Chyba najlepszy byłby Fort Knox, o ile rząd zaakceptuje tę propozycję.

— Czy to znaczy, panie Wilson, że będę musiał być pod strażą? Nie powiem, żeby mi się to podobało.

— Na Boga, sam nie wiem — odparł Wilson. — Nie mam nawet pojęcia, od czego zacząć.

Sięgnął po słuchawkę i wcisnął przycisk.

— Jane, jesteś jeszcze na posterunku? Nie wiesz, czy prezydent już się położył?

— Jakąś godzinę temu — odpowiedziała Jane.

— To dobrze. Powinien był to uczynić wcześniej.

— Czy masz coś ważnego, Steve? Otrzymałam polecenie, że gdyby wydarzyło się coś istotnego, mam go obudzić.

— Nie, to może poczekać. Jak myślisz, czy jest szansa złapać Jerry'ego Blacka?

— Spróbuję. Powinien jeszcze gdzieś tu być.

W pokoju zaległa cisza, nie licząc terkotu dalekopisów. Gale i Alice siedzieli nieruchomo na fotelach. Spod drzwi wiodących do sali konferencyjnej wciąż sączyło się światło, ale nie było słychać stukotu maszyn do pisania.

— Przepraszamy, że sprawiliśmy kłopot — odezwała się Alice.

— Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Nie wiedzieliśmy, co z tym począć.

— Wszystko w porządku — rzekł Wilson.

— Nie wie pan nawet, ile to dla nas znaczy — ciągnęła. — Reszta ludzi może jeszcze o tym nie wiedzieć, ale ktoś musi się przekonać, że nie przybyliśmy tu jak żebracy, że chcemy pokryć część kosztów. To dla nas niezmiernie ważne.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków i po chwili otworzyły się drzwi.

— O co chodzi, Steve? — zapytał Jerry Black.

— Potrzebujemy kilku ludzi — odparł Wilson.

— Jestem do dyspozycji. Mogę jeszcze kogoś ściągnąć.

— Byłbym ci wdzięczny. Nie mam żadnych pełnomocnictw, działam na własną rękę. Decyzje będą mogły zapaść dopiero rano, kiedy spotkam się z prezydentem.

— W porządku, o ile sprawa jest po myśli prezydenta.

— Sądzę, że on także wydałby takie polecenie — odparł Wilson.

— A więc o co chodzi?

— Pan Gale ma przy sobie aktówkę. Nie powiem ci, co znajduje się w środku. Nie musisz tego wiedzieć. Ale to coś bardzo ważnego. Chciałbym, żeby była bezpieczna, żeby nikt poza samym panem Gale'em nie miał do niej dostępu. Przynajmniej do czasu, aż zapadnie decyzja, co z tym zrobić.

— To się da załatwić. Czy sądzisz, że wystarczy dwóch ludzi?

— Byłbym znacznie spokojniejszy.

— Nie ma sprawy — stwierdził Black. — Czy mogę skorzystać z twojego telefonu?



Niebo na wschodzie poszarzało już nieco, kiedy Enoch Raven usiadł przy maszynie do pisania. Za oknem widniały wzgórza Wirginii, a wśród drzew i krzewów rozlegały się nieśmiało ćwierkania i trele kilku zbudzonych ptaków.

Zawiesił dłonie nad klawiaturą i po chwili zaczął pisać — miarowo, jednostajnie, nie robiąc przerw na zastanowienie. Jak zawsze. Od wielu już lat pisał w ten sam sposób. Zanim usiadł do maszyny, dokładnie wszystko przemyślał, poukładał sobie w głowie i sformułował wnioski, by czytelnicy jego kolumny nie mieli kłopotów z ich odczytaniem. Jego myśli musiały być jasno i logicznie przedstawione.

Napisał:

Cały świat stanął dzisiaj w obliczu być może najpoważniejszego kryzysu, którego odmienność polega na tym, że nadciągnął w sposób zupełnie różny od tego, który zwykle łączyliśmy z wszelkimi kryzysami. Jeśli jednak dobrze się zastanowić, kryzys ten jest wynikiem sygnalizowanych już od dawna symptomów — przeludnienia oraz wielu wiążących się z nim problemów ekonomicznych. Nie dalej jak w niedzielę rano nikt przy zdrowych zmysłach nie wyobrażał sobie, że przeludnienie, stanowiące potencjalne i przepowiadane już od

dłuższego czasu niebezpieczeństwo, może stać się faktem jeszcze tego samego dnia.

Stanęliśmy oto przed problemem, który musi zostać rozwiązany — nie po długim okresie szczegółowego planowania, ale prawdopodobnie w ciągu kilku tygodni. Prawda jest taka, że będziemy w stanie wyżywić tłumy uchodźców, którzy zwrócili się do nas o pomoc, zaledwie przez krótki okres. Oni sami przyznają otwarcie, że są świadomi problemów, jakie stworzyli nam swoim przybyciem, w związku z czym ofiarowują swoją wiedzę oraz narzędzia, mające pomóc w rozwiązaniu tych problemów. Nam pozostaje jedynie wykorzystać te narzędzia. Do tego potrzebna jest jednak zgodna współpraca nas wszystkich. Nie należy odbierać tego jako sloganu, jako zwykłego propagandowego hasła politycznego. Musimy traktować to bardzo osobiście, gdyż dotyczy nas wszystkich, każdego z nas z osobna.

Przede wszystkim musimy uzbroić się w cierpliwość, zgodzić się na pewne ograniczenia, nauczyć się znosić trudności. Może to oznaczać, że pojawią się jakościowe i ilościowe niedobory żywności. Być może trzeba będzie poczekać na odbiór nowego samochodu czy pogodzić się z niemożnością zakupu nowej kosiarki do trawy, kiedy stara, wielokrotnie naprawiana, w końcu odmówi posłuszeństwa. Cała energia gospodarcza, w normalnych warunkach ukierunkowana na produkcję i dystrybucję towarów oraz niezbędne usługi, musi teraz zostać skierowana nie tylko na wysłanie naszych dalekich potomków w jeszcze odleglejszą przeszłość, lecz także na zaopatrzenie ich w sprzęt, narzędzia oraz zapasy potrzebne do stworzenia zdolnej do funkcjonowania cywilizacji. Niewykluczone, że cały przemysł motoryzacyjny w Detroit zostanie przestawiony na produkcję

pługów i innych narzędzi. Możliwe, że dobrowolnie czy też na mocy dekretu rządowego będziemy zmuszeni racjonować produkty. Choć rozsądne zdają się działania podjęte przez prezydenta Hendersona, obejmujące wstrzymanie operacji finansowych oraz zamrożenie cen i płac, to mogą zaistnieć okoliczności, w których trzeba będzie posunąć się jeszcze o krok dalej, to znaczy wydać surowy zakaz magazynowania towarów. Bez względu na to, na ile biurokratycznie przyjmiemy wszelkie ograniczenia, wydaje się, że pewne kroki w stronę ścisłego racjonowania żywności oraz innych produktów, kluczowych z punktu widzenia gospodarki narodowej, powinny zostać podjęte już teraz. Dość zrozumiałe są polityczne powody, dla których prezydent Henderson wzdraga się przed takim posunięciem. Lecz od podjęcia czy też wstrzymania się od takich niepopularnych działań zależy nasze przetrwanie albo nasz upadek.

Należy wyraźnie zaznaczyć, że działania podobne do tych, które podjął nasz prezydent, będą musiały zostać przeprowadzone także w innych krajach. Dla nikogo nie będzie zaskoczeniem, jeśli rządy Wielkiej Brytanii, Rosji, Francji, Niemiec, Japonii, Chin i pewnie także innych państw wprowadzą takie same ograniczenia, zanim jeszcze te słowa ujrzą światło dzienne. Muszą to być działania o zasięgu ogólnoswiatowym, a nie tylko decyzje kilku spośród najbardziej rozwiniętych krajów. Problem, przed którym stajemy, jest problemem ogólnoswiatowym i by go rozwiązać, potrzebne są czasowe ograniczenia gospodarcze, dotyczące nie tylko większych jednostek ekonomicznych, ale całego świata.

Przybycie ludzi z przyszłości bez wątpienia zostanie w różny sposób ocenione przez środowiska intelektualne, przy czym

należy się spodziewać, że wiele z tych ocen będzie nieprzychylnych. Znakomitym przykładem jest publiczna męka, którą przeżywa wielebny Jake Billings, jedna z barwniejszych postaci wśród naszych ewangelików; powodem jej jest rewelacyjna wiadomość, iż ludzie z odległej o pięćset lat przyszłości odrzucili religię jako czynnik bezużyteczny w życiu człowieka. Jeśli nawet fakt ten może spędzać sen z powiek całego duchowieństwa, to przecież stanowi niewiele znaczący szczegół w całej sprawie, z którą mamy do czynienia. Nie tylko w tym punkcie, lecz także w wielu innych będą wysuwane poważne zastrzeżenia, nie jest to jednak najlepszy czas, by zużywać energię na wyjaśnianie wątpliwości. Zastrzeżenia te przyczynią się jedynie do dalszych podziałów w społeczeństwie, w którym — w najbardziej sprzyjających warunkach — i tak muszą wystąpić podziały w obliczu czekającego nas gigantycznego zadania.

Nie mieliśmy jak dotąd czasu ani danych, które pozwoliłyby nam dokonać rzeczowej analizy sytuacji. O ile zapoznani zostaliśmy z pewnymi podstawowymi faktami, o tyle przecież wiele z nich nadal pozostaje nieznanymi, a być może są i takie, które uznano za nieistotne, i nie przedstawiono ich opinii publicznej. Niewykluczone, że pewne oceny okażą się biedne — nie z powodu ukrywania przez kogoś znaczących faktów, lecz po prostu dlatego, że nie istnieje możliwość uwzględnienia rozmaitych czynników i przywiązania do nich takiej wagi, jakiej czynniki te mogłyby wymagać.

Rzecz jasna, nie jest to odpowiedni czas, by snuć rozważania nad przyczynami kryzysu. Przechodząc do sedna sprawy, konieczne są wyrzeczenia, jakich wymagają największe przedsięwzięcia. Silna fala krytyki i głoszenie opinii różniących się od oficjalnego stanowiska rządu i sprzeciwiających się jego

poczynaniom zaowocują jedynie zahamowaniem działań, które muszą być szybko podjęte, jeśli mają przynieść jakieś efekty. Ludzie z Waszyngtonu, Białego Domu, a także z Kremla mogą popełnić wiele błędów, lecz wszyscy oceniający ich muszą zdawać sobie sprawę, że motorem ich działania nie jest głupota, lecz głębokie przekonanie o słuszności swoich decyzji.

Oczywiście, nie są to właściwe metody sprawowania władzy, zwłaszcza w państwach typu republikańskiego. Demokracja, a także sprawiedliwość wymagają, by każdy człowiek miał wpływ na władzę, by zamierzenia i działania rządu uwzględniały z całą powagą wszelkie punkty widzenia, by nie zapadały arbitralne decyzje niezgodne z wolą społeczeństwa. Dzisiaj jednak nie możemy sobie pozwolić na luksus obrony takich idealistycznych poglądów. Sposoby rozwiązywania problemów mogą różnić się od wyobrażeń wielu z nas. Możliwe, że niektóre odciski zostaną podeptane, że takie wartości jak sprawiedliwość czy przyzwoitość zostaną pogwałcone. Akceptacja wszelkich działań, jeśli nie milcząca, to przynajmniej bez podnoszenia zbyt wielkiego hałasu, stanowi element składowy cierpliwości, o którą występuję.

Nasz kraj nie jest jedynym, nad którym zawisła groźba; zagrożone jest nie jedno ugrupowanie czy polityczny kapitał, nie jeden naród lub region, ale cały świat. Niżej podpisany nie ma pojęcia, co się jeszcze wydarzy. Trudno nawet snuć domysły. Obawiam się, że wiele rzeczy mi się nie spodoba, że inne uznam za złe bądź przeprowadzone niewłaściwie. W przeszłości nigdy nie wahałem się, wyrażając swoje opinie. Kiedy wszystko to się skończy, prawdopodobnie nie powstrzymam się przed wytknięciem rażących błędów, jeśli oczywiście zdołam je dostrzec. Ale począwszy od dzisiaj, w ramach mego osobistego

udziału w społecznej cierpliwości, którą uważam za niezbędną, zaczynam ściśle cenzurować jeśli nie swoje myśli, to przynajmniej maszynopisy. Tym samym wpisuję się na listę aktywnych członków Klubu Zasznurowanych Ust Enocha. Przyjęty może zostać każdy. Zapraszam wszystkich serdecznie.



Jakimś sposobem udało mu się wdrapać na drzewo, przeleźć po konarze i teraz zwieszał się na rękach, choć nie miało to żadnego sensu, gdy nagle zerwał się porywisty wiatr i zmusił go do uchwycenia się trzeszczącej pod uderzeniami wichury gałęzi. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę będzie musiał rozewrzeć palce i runie na ziemię. Kiedy jednak spojrział w dół, z przerażeniem stwierdził, że nie ma tam żadnej ziemi.

Gdzieś z bardzo daleka nawoływał go jakiś głos, lecz on poświęcał tak wiele uwagi kurczowemu zaciskaniu palców na gałęzi, że nie był w stanie rozróżnić słów. Targały nim jeszcze bardziej gwałtowne uderzenia.

— Steve! — nawoływał głos. — Steve, obudź się!

Uniósł odrobinę powieki i uświadomił sobie, że nie znajduje się na żadnym drzewie. Ponad nim falował jak szalony rozmazany zarys twarzy. Nikt nie mógł mieć takich rysów.

— Obudź się, Steve! — powtórzył głos, który musiał należeć do Henry'ego Hunta. — Prezydent pytał o ciebie.

Wilson uniósł dłoń zaciśniętą w pięść i przetarł oczy. Twarz, już nie zniekształcona, należała do Henry'ego Hunta.

Odpłynęła właśnie w dal, kiedy reporter "Timesa" wyprostował się. Wilson zsunął nogi z kanapy i usiadł. Przez okna sali konferencyjnej wlewało się światło słoneczne.

— Która godzina? — zapytał.

— Dochodzi ósma.

Zerknął w górę na Hunta.

— Przespałeś się choć trochę? — spytał.

— Byłem w domu przez kilka godzin, ale nie mogłem zasnąć. Wszystko kotłowało mi się w głowie. Dlatego wróciłem tu. — Podniósł z podłogi marynarkę. — Twoja?

Wilson przytaknął niepewnie.

— Muszę się umyć — mruknął. — I uczesać. — Wstał, wziął marynarkę z rąk Hunta i niedbale wcisnął ją pod pachę. — Co się dzieje? — zapytał.

— To, czego się spodziewaliśmy — odparł Hunt. — Wszystkie linie są zapchane wściekłymi wrzaskami przeciwko wstrzymaniu operacji finansowych. Jak to się stało, że nas nie uprzedziłeś, Steve?

— Sam o niczym nie wiedziałem. Nie powiedział nikomu ani słowa.

— Cóż, to wyjaśnia sprawę — stwierdził Hunt. — Należało się tego spodziewać. Wyobrażasz sobie, co by się teraz działo, gdyby giełdy pracowały normalnie?

— Jest coś na temat potwora?

— Plotki, nic konkretnego. Jedno z doniesień głosi, że w Afryce udało się przedostać następnemu. Gdzieś w Kongo. Chryste, tam nie ma najmniejszych szans znalezienia go.

— Nie cały obszar Kongo jest porośnięty dżunglą, Henry.

— Ale tam, gdzie znajdował się wylot tunelu, jest.

Wilson poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, Hunt nalał mu kawy.

— Dzięki — mruknął. Pociągnął łyk gorącego napoju i wzdrygnął się. — Nie wiem, czy przetrzymam dzisiejszy dzień — powiedział. — Nie masz pojęcia, o co chodzi prezydentowi?

Hunt pokręcił głową.

— Czy Judy już przyszła?

— Jeszcze nie, Steve.

Odstawił filiżankę na stolik.

— Dziękuję, że mnie zbudziłeś — rzekł. — Zobaczymy się później.

Przeszedł do swojego gabinetu. Lampa, którą zapomniał wyłączyć, wciąż rzucała na blat biurka krąg światła. Z korytarza dobiegał odgłos to oddalających się, to znów przybliżających kroków. Narzucił na siebie marynarkę i wyszedł.

Prezydent był w towarzystwie dwóch mężczyzn. Pierwszym był generał Daniel Foote, drugim jeden z uchodźców, mający na sobie kompletny ekwipunek alpinisty.

— Dzień dobry, panie prezydencie — powiedział Wilson.

— Dzień dobry, Steve. Spałeś choć trochę?

— Jakąś godzinkę.

— Znasz już generała Foote'a — rzekł prezydent. — Ten dżentelmen to Issac Wolfe. Doktor Wolfe jest biologiem. Przynosi nam dość niepokojące nowiny. Sądziłem, że powinieneś się z nimi zapoznać.

Wolfe był przysadzistym człowiekiem — masywnie zbudowany, szeroki w ramionach, na krótkich, mocnych nogach. Jego głowa, zwieńczona gniazdem siwiejących włosów, wydawała się nieproporcjonalnie duża.

Uczynił szybki krok do przodu i potrząsnął ręką Wilsona.

— Przykro mi — odezwał się — że przynoszę złe wiadomości.

— Tej nocy — wyjaśnił prezydent — dokładniej tuż przed świtem, pewnego farmera, mieszkającego niedaleko Harper's Ferry, obudziły hałasy dobiegające z kurnika. Wyszedł i stwierdził, że w kurniku roi się od dziwnych stworzeń mniej

więcej wielkości dużego prosięcia. Strzelił w środek gromady i zwierzęta uciekły z wyjątkiem jednego, które niemal zostało rozcięte śrutem na pół. Farmer został zaatakowany. Przebywa w szpitalu. Powiedziano mi, że będzie żył, ale znajduje się w dość ciężkim stanie. Jego relacja praktycznie nie pozostawia wątpliwości, że gromada grasująca w kurniku to zastęp nowych potworków.

— Ależ to niemożliwe! — rzekł Wilson. — Przecież potwór uciekł zaledwie kilka...

— Doktor Wolfe przyszedł do mnie wczoraj wieczorem — przerwał mu Foote. — Zaraz po wydostaniu się potwora z tunelu czasowego. Wręcz nie mogłem uwierzyć w to, co mi powiedział, ale kiedy otrzymałem raport od dowódcy grupy poszukiwawczej z Zachodniej Wirginii opisujący zdarzenie w kurniku, odszukałem go i poprosiłem, żeby pojechał ze mną do Białego Domu. Przepraszam, doktorze, że początkowo nie dałem wiary pańskim słowom.

— Mnie nadal wydaje się to niemożliwe — stwierdził Wilson.

— Nie, to wcale nie jest niemożliwe — odparł Wolfe. — Mamy do czynienia z organizmami całkowicie odmiennymi od wszystkiego, co do tej pory poznaliśmy. Proces ewolucyjny tych potworów przebiegał tak, że nie sposób go odtworzyć. Ich reakcja na stres środowiskowy nie mieści się w granicach wyobraźni. Poznaliśmy je nieco, resztę wydedukowaliśmy, jestem jednak przekonany, że w sytuacjach silnie stresowych, a takiej musi doświadczać ukrywające się obecnie stworzenie, potrafią niewiarygodnie wręcz przyspieszyć swoje procesy rozwojowe. Wystarczy im mniej więcej godzina na wyklucie się z jaja, a po następnej godzinie będą już polować. Świadomość istnienia czynników, które oddziałują silnie na osobnika,

przekazywana jest potomstwu. Zarówno dla niego, jak i dla młodych jest to sytuacja krytyczna. Oczywiście, dorosły osobnik w pełni zdaje sobie z niej sprawę, młody natomiast nie. W jakiś jednak sposób, o którym nic nie wiemy, poczucie desperacji i zagrożenia przekazywane jest płodowi w jaju. Wykluwać się błyskawicznie, szybko dorastać, oddalać się na jak największą odległość i w najkrótszym czasie osiągnąć wiek dojrzałości płciowej — tak brzmi genetyczny przekaz w sytuacji zagrożenia gatunku. Młode potwory będą działać pod wpływem jakiejś ewolucyjnej siły, która u bardziej prymitywnych form życia byłaby wręcz nie do pomyślenia. Mamy do czynienia z przedstawicielami dziwnej rasy, mającej niespotykane wrodzone umiejętności wykorzystywania na swoją korzyść wszystkiego, co dała tym istotom ewolucja.

Wilson przysunął sobie krzesło i opadł bezsilnie. Spojrzał na prezydenta.

— Czy coś z tych informacji przedostało się do wiadomości publicznej?

— Nie — odparł prezydent. — Na razie nic. Żona farmera powiadomiła telefonicznie szeryfa. Właśnie w tym czasie u szeryfa znajdował się oddział wojska, mający za zadanie przeszukać okolicę. Dowódca natychmiast przekazał wiadomość zastrzeżonym kanałem. Dlatego chciałem się z tobą widzieć, Steve. Nie zdołamy ukryć faktów. Pojawią się przecieki, jeśli nie o tym incydencie, to o innych. W górach mogą teraz grasować już setki potworków. Wiadomość o każdym spotkaniu z nimi pójdzie w świat, zaczną mnożyć się doniesienia. Nie damy rady zatuszować wszystkiego, nawet nie powinniśmy tego robić.

— Problem polega na tym — rzekł Wilson — w jaki sposób mamy przekazać nowiny, żeby nie wzbudzić powszechnej

paniki.

— Jeśli nie przekazemy wiadomości — stwierdził prezydent — stracimy zaufanie, czego efektem będzie wszystko, co najgorsze. Poza tym istnieje problem bezpieczeństwa publicznego.

— Za kilka dni — dodał Foote — góry zaroją się od dojrzałych potworów. Prawdopodobnie stworzenia te będą się rozprzestrzeniać. Część może da się wytropić i zabić. Ale jedyną szansą ich wytępienia jest przekazanie odpowiedzialności w ręce wszystkich ludzi, którym można zaufać.

— Będą się rozprzestrzeniać — potwierdził Wolfe — to prawda. Tylko w ten sposób mogą powiększyć szansę przetrwania. A potrafią poruszać się niezwykle szybko. Prawdopodobnie już jutro mogą być zarówno w Nowej Anglii, jak i w Georgii. Początkowo będą się trzymać terenów górzystych, dających najlepsze schronienie. Ale z czasem zaczną przenikać także na równiny.

— Ile mamy czasu, według pańskich ocen, zanim te istoty zaczną składać jaja? — zapytał Wilson.

Wolfe rozłożył szeroko ramiona.

— Któż to może wiedzieć? — odparł.

— A w przybliżeniu?

— Tydzień, może dwa. Nie mam pojęcia.

— Ile składają jednorazowo jaj?

— Kilkadziesiąt. Proszę zrozumieć, nie wiemy dokładnie. Udało nam się znaleźć zaledwie kilka gniazd.

— Kiedy zaczną atakować ludzi?

— Od razu. Już teraz. Muszą dużo jeść, żeby szybko rosnąć. Będą musiały zabijać masowo. Dzikie zwierzęta, zwierzęta hodowlane, czasami ludzi. Na początku rzadko będą napadały na ludzi, żeby nie zwracać na siebie zbytnej uwagi. Mimo swojej

drapieżności będą kierowały się świadomością, iż z powodu niewielkiej liczebności są bardzo narażone na wytępienie. Owszem, są psychopatycznymi zabójcami, ale nie są głupie.

— Mamy już w terenie pewną ilość oddziałów — powiedział prezydent. — Musimy jednak wysłać znacznie więcej. Trzeba zastosować do tropienia potworów samoloty i helikoptery. Przed chwilą rozmawiałem z Sandburgiem. Zaraz tu będzie. On wie znacznie więcej o naszym potencjale. Mimo wszystko trzeba chyba powołać rezerwistów, może nawet ściągnąć jakieś jednostki z zagranicy. Musimy poza tym zająć się organizacją obozów dla uchodźców.

— Nie chcemy stać z założonymi rękami — oświadczył Wolfe. — Jest nas wiele tysięcy. Dajcie nam broń, a staniemy ramię przy ramieniu z waszymi żołnierzami. Znamy te stworzenia, ponadto to myje tutaj sprowadziliśmy. To nasz obowiązek pomóc wam i...

— Później — odparł prezydent. — 1 tak znajdzie się dla was mnóstwo pracy. Samo wywiezienie was w teren byłoby gigantycznym zadaniem. W chwili obecnej musimy polegać wyłącznie na naszych ludziach.

— A co z mieszkańcami tamtych terenów? — zapytał Wilson. — Czy będziemy ich ewakuować?

Prezydent pokręcił głową.

— Chyba nie, Steve. Musimy przede wszystkim poradzić sobie ze wszystkimi uchodźcami. Poza tym skłonny jestem przypuszczać, że na razie potwory nie będą nazbyt agresywne. Prawdopodobnie będą się trzymać od nas z dala. Może dojdzie do pewnych incydentów, ale do tego trzeba będzie się przyzwycząić. Na razie nie możemy nic więcej zrobić.

— Ma pan rację — rzekł Wolfe. — Jest ich niewiele i skoncentrują się na odtwarzaniu swej potęgi. Młode,

przynajmniej przez jakiś czas, nie będą stanowiły zbyt wielkiego zagrożenia. Muszą urosnąć i nabrać wagi. Poza tym wydaje mi się, że będą świadome, iż tutejsi ludzie dysponują większą ilością broni, w dodatku znacznie groźniejszej, niż my posiadaliśmy. Przez tak długi czas żyliśmy w pokoju, że zapomnieliśmy większości technik militarnych i musieliśmy zaczynać budować broń od początku.

— Zdaje się, że czeka pana bardzo pracowity dzień, panie prezydencie — stwierdził Foote. — Jeśli nie ma pan więcej pytań do nas...

Prezydent wstał, obszedł biurko i uściśnął obu mężczyznom dłonie.

— Dziękuję, że przyjechaliście — powiedział. — Musimy niezwłocznie zająć się tą sprawą.

Wilson także wstał.

— Czy mogę teraz zwołać konferencję? — zapytał. — Czy chce pan, abym zaczekał, aż porozmawia pan z kimś z Departamentu Obrony?

Prezydent zamyślił się na chwilę.

— Chyba lepiej zwołać od razu — odparł. — Wolałbym, żebyśmy to my pierwsi powiadomili dziennikarzy. Wojskowi na razie mają zakneblowane usta, ale ta sytuacja wkrótce się zmieni. Wielu kongresmenów chciałoby się ze mną dziś spotkać. Lepiej będzie, jeśli przyjdą tu, wiedząc już o wszystkim.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział Wilson. — Spał pan już i nie chciałem pana budzić. Mamy teczkę pełną diamentów.

— Diamentów? A cóż mają jeszcze z tym wspólnego diamenty?

— To dość szczególna sprawa, panie prezydencie — wyjaśnił Wilson. — Pamięta pan, Gale miał przy sobie aktówkę...

— I w tej aktówce trzyma diamenty?

— Zapakowane w woreczki. Otworzył przede mną jeden z nich i wysypał je na biurko. Stwierdził, że w innych woreczkach znajduje się to samo. Nie mam zresztą podstaw, żeby mu nie wierzyć. Uchodźcy wpadli na pomysł, by pokryć przynajmniej w części wydatki związane z ich przeniesieniem się do miocenu.

— Chciałbym widzieć twoją minę, kiedy on wysypał na biurko diamenty — rzekł prezydent. — Pozwól, że zapytam, co zrobiłeś z tym fantem.

— Wezwałem Jerry'ego Blacka i przydzieliłem Gale'owi ochronę. Nalegałem, żeby zatrzymał diamenty przy sobie.

— Chyba nic więcej nie byłbyś w stanie zrobić. Sądzę, że powinienem zwrócić się do Departamentu Skarbu, żeby wzięli aktówkę do depozytu. Poza tym trzeba porozmawiać z Reillym Douglasem, czy coś takiego jest legalne. Jak sądzisz, ile mogą być warte te wszystkie diamenty?

— Gale powiedział, że przy obecnych cenach około biliona. O ile, rzecz jasna, zostaną wprowadzone na rynek stopniowo i nie spowodują spadku cen. To ma być zapłata nie tylko dla nas, ale dla całego świata. Gale chce je przekazać nam jako przedstawicielom wszystkich rządów. Stwierdził, że jesteśmy jedynym rządem w ich mniemaniu godnym zaufania.

— Chyba rozumiesz, jaka może z tego być afera. Gdyby przeciekło choć jedno słowo...

— Jeśli mam być szczery, musimy wszyscy zrozumieć, że oni chcą tylko odwdzięczyć się jakoś. Chcą pokryć część kosztów.

— Tak, wiem — rzekł prezydent. — Zobaczymy, co o tym wszystkim powie Reilly.



Od wczesnego ranka w Parku Lafayette, oddzielonym od terenu Białego Domu szerokością alei, gromadził się tłum. Była to ta sama milcząca i spokojna grupa, która czuwała przez całą niedzielę. Pojawiło się jednak kilka transparentów, których nie było poprzedniego dnia. Na jednym z nich wymalowano koślawymi literami: WRACAJMY DO MIOCENU. Drugi głosił: PRZENIEŚMY SIĘ DO SZABLOZĘBNYCH. Jeszcze inny: OPUŚĆMY TEN PARSZYWY ŚWIAT.

W stronę wąsatego młodzieńca, trzymającego tablicę z napisem: WRACAJMY DO MIOCENU, przepchnął się przez tłum dziennikarz.

— Czy zechciałby mi pan powiedzieć — zapytał — co tu się dzieje?

— Nie umiesz czytać, człowieku? — odrzekł tamten niecierpliwie. — Jest napisane dość wyraźnie.

— Zastanawiam się, czego chcecie dowieść — nalegał dziennikarz. — Czyżbyście nie mieli żadnego konkretnego celu?

— Nie mamy żadnego celu — odparł młodzieniec. — W przeszłości próbowaliśmy dowieść naszych racji, ale nie wywalczyliśmy nic. — Wskazał kciukiem w stronę Białego Domu. — Tamci nie chcą nas słuchać. Nikt nie chce nas wysłuchać.

— Tym razem — wtrąciła dziewczyna stojąca tuż obok

chłopaka z tablicą — nie chcemy niczego dowodzić. Po prostu manifestujemy, co chcielibyśmy zrobić. To znaczy — wrócić do miocenu.

— Albo eocenu — dodała inna dziewczyna — lub do paleocenu. Wszystko jedno dokąd, byleby wynieść się z tego parszywego miejsca. Chcemy opuścić ten zasmarkany świat i zacząć od początku. Chcemy cofnąć się w czasie i stworzyć taką cywilizację, jakiej pragniemy. Od wielu lat staraliśmy się zmienić nasze społeczeństwo, ale nic z tego nie wyszło. A kiedy zrozumieliśmy, że nie damy rady go zmienić, spróbowaliśmy się odizolować. Dlatego właśnie powstały komuny. Ale społeczeństwo nie pozwala nam na izolację. Wyciąga po nas rękę i wsysa z powrotem. Nigdy nie pozwoli nam się uwolnić.

— Wreszcie znaleźliśmy sposób — odezwał się chłopak z tablicą — żeby zakończyć tę walkę. Jeśli ludzie z przyszłości mogą cofnąć się w przeszłość, nie ma powodu, dla którego i my nie moglibyśmy tego zrobić. Niewiele jest osób, którym będzie przykro z tego powodu, że wyniesiemy się stąd. Większość powinna przyjąć to z radością.

— Myślę — rzekł dziennikarz — że coś takiego można by nazwać ruchem społecznym. Większość akcji, które podejmowaliście, określano jako ruch społeczny. Czy moglibyście powiedzieć, ilu spośród was...

— Nie moglibyśmy — odparła pierwsza dziewczyna. — Teraz jest nas nie więcej niż piętnaście, może dwadzieścia osób. Kiedy jednak opublikuje pan artykuł albo przedstawi nas w telewizji, zrobią się z tego tysiące. Nadciągną z Chicago, Nowego Jorku, Bostonu i Los Angeles. Będzie nas więcej, niż to miasto jest w stanie pomieścić. Rozumie pan, po raz pierwszy mamy realną szansę naprawdę się stąd wynieść.

— W porządku — odparł dziennikarz. — Rozumiem wasz punkt widzenia. Ale jak macie zamiar to przeforsować? Rzucicie się przez ulicę i zaczniecie łomotać do drzwi Białego Domu?

— Jeśli chodzi panu o to — rzekł młodzieniec — że nikt nie zwróci na nas uwagi, to może i ma pan rację. Ale za dwadzieścia cztery godziny będą musieli zwrócić na nas uwagę, a za czterdzieści osiem wyjdą tu, na ulicę, i zaczną z nami rozmawiać.

— Wiecie zapewne, że na razie nie dysponujemy tunelami czasowymi. Możliwe, że nigdy nie będziemy ich mieli. Do ich budowy potrzebne są materiały i siła robocza.

— Siły roboczej jest tu pod dostatkiem, proszę pana. Wystarczy tylko poprosić. Dajcie nam kilofy i łopaty. Dajcie nam śrubokręty. Dajcie nam narzędzia i powiedzcie, co mamy robić. Będziemy pracować do upadłego. Zrobimy wszystko, byleby tylko się stąd wynieść. Nie chcemy żadnej zapłaty za pracę, nie chcemy w ogóle nic, z wyjątkiem pozwolenia na odejście.

— Niech im pan to wyjaśni — dodała druga dziewczyna. — Proszę przekazać im dokładnie to, co mówiliśmy.

— Nie wyszliśmy na ulicę po to, żeby przysparzać kłopotów — ciągnął chłopak. — Nie chcemy być przyczyną jakiegoś zamieszania. Chcemy tylko, by rząd dowiedział się o wszystkim, a jedynie w ten sposób możemy zwrócić na siebie uwagę.

— Nie będziemy o nic prosić, jeśli tylko pozwolą nam się wynieść — znów mówiła pierwsza dziewczyna. — Co najwyżej chcielibyśmy trochę motyk, siekier, może jeszcze jakieś naczynia. A jeśli nie będą chcieli nam nic dać, odejdziemy z pustymi rękoma.

— Ludzie pierwotni robili sobie narzędzia z kamieni — dodał młodzieniec. — Jeśli będziemy zmuszeni, poradzimy sobie w ten sam sposób.

— Po co tu stoisz i rozmawiasz z nimi? — wtrącił się jakiś krzepki typek z cygarem wetkniętym między zęby. — Do cholery, oni chcą tylko gadać. Mają gęby pełne bzdur. Nie mają zamiaru donikąd się wynosić. Chcą tylko porozrabiać.

— Mylisz się — odparł chłopak trzymający tablicę. — Chcemy zrobić dokładnie to, o czym mówiliśmy. Po co mielibyśmy tu sterczeć, i to obok takich frajerów jak ty?

Osilek z cygarem wyciągnął rękę do drzewca tablicy, lecz w tej samej chwili jedna z dziewczyn kopnęła go w goleń. Chciał się uchylić przed kopniakiem i nie sięgnął tablicy, która spadła mu na głowę. Mężczyzna stojący obok typka z cygarem trafił chłopaka z tablicą w szczękę.

Wybuchła bójka, ale szybko została stłumiona przez policję.



Judy siedziała za biurkiem. Na brzegu biurka zaczynało przybywać notatek. Migotały lampki na pulpicie centrali.

— Przespałaś się choć trochę? — zapytał Wilson.

Uniosła na niego wzrok.

— Niewiele. Nie mogłam zasnąć. Bałam się i rozmyślałam. Nie jest dobrze, prawda, Steve?

— Nie jest — odparł. — Za dużo, żeby sobie z tym poradzić. Nie byłoby jeszcze tak źle, gdyby nie poganiał nas czas, gdybyśmy mieli go choć trochę.

Wskazała na drzwi prowadzące do sali konferencyjnej.

— Tego chyba im nie powiesz?

Uśmiechnął się.

— Nie, tego im nie powiem.

— Pytali już, kiedy masz zamiar zwołać konferencję.

— Zaraz.

— Chyba mogę powiedzieć ci to teraz — rzekła. — Nie ma co odkładać. Wracam do domu, do Ohio.

— Ale jesteś mi potrzebna.

— Możesz wziąć jakąś dziewczynę z sekretariatu. Po kilku dniach nawet nie dostrzeżesz różnicy.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiem, co miałeś na myśli. Potrzebujesz kogoś do łóżka. Od

jak dawna to trwa? Od sześciu miesięcy? Wszystko przez to cholerne miasto. Czego by się człowiek nie dotknął, ubrudzi ręce. Możliwe, że gdzie indziej udałoby się nam. Ale tu nic z tego nie wyjdzie.

— Do cholery, Judy! — syknął. — Co w ciebie wstąpiło? Tylko dlatego, że nie przyszedłem ostatniej nocy...

— Możliwe, że w jakimś stopniu z tego powodu. Ale to, oczywiście, nie wszystko. Wiem, dlaczego musiałeś tu zostać. A ja byłam samotna, tak wiele rzeczy się działo, siedziałam, myślałam i coraz bardziej się bałam. Próbowалам dodzwonić się do matki, ale linia była zajęta. Na miłość boską, biedna, przerażona dziewczynka, uciekająca pod skrzydełka mamusi. Nagle wszystko się zmieniło. Nie byłam już ulizaną, wykwalifikowaną cipcią z Waszyngtonu. Znów byłam dziewczynką z kucykami z małego miasteczka w Ohio. Wszystko przez ten strach. Powiedz mi szczerze: czy miałam powód, by się bać?

— Pewnie, że miałaś — odparł uczciwie. — Sam mam stracha. Wszyscy się boimy.

— Co się z nami stanie?

— Gdybym to ja wiedział! Ale nie o tym przecież mówiliśmy.

— Potwory na wolności — kontynuowała. — Zbyt wiele gąb do nakarmienia. Wszyscy walczą ze wszystkimi albo szykują się do walki.

— Mówiliśmy o twojej decyzji powrotu do Ohio. Nie mam zamiaru cię pytać, czy myślałaś o tym poważnie, gdyż wiem, że tak. Sądzę, że jesteś szczęśliwa, mając się gdzie schronić. Większość z nas nie ma dokąd iść. Powinienem cię prosić, żebyś została, ale to byłoby nie fair. Poza tym kierowałbym się egoizmem. Chciałbym jednak, żebyś została.

— Zarezerwowałam już miejsce w samolocie — odparła. —

Biorąc pod uwagę zablokowanie telefonów, byłam zdziwiona, że mi się to w ogóle udało. Cały kraj ogarnęła panika. W podobnych chwilach wszystkich ogarnia straszliwe poczucie bezsilności.

— Nie spodoba ci się w Ohio. Pożałujesz, kiedy tylko się tam znajdziesz. Jeśli tak bardzo boisz się w Waszyngtonie, będziesz tak samo bała się w Ohio.

— Nie zmienisz mojej decyzji, Steve. O szóstej piętnaście wieczorem będę na pokładzie samolotu.

— Nie mogę już nic zrobić?

— Nie, nie możesz.

— W takim razie wpuść już dziennikarzy do sali. Mam dla nich kilka nowin.



Senator Andrew Oakes uniósł się nieco z głębin fotela, w którym siedział.

— Nie jestem pewien, panie prezydencie — powiedział — czy sprowadzenie naszych oddziałów do kraju jest rozsądnym posunięciem. Musimy przecież utrzymać obsadzone bazy. Odnoszę wrażenie, że zaczynamy ulegać zbędnemu pośpiechowi. Jakieś tam malutkie potworki obrobiły kurnik gdzieś w Zachodniej Wirginii, a my decydujemy się na ściągnięcie wojsk do kraju. Nie jest to chyba wystarczający powód. Poza tym uważam, że błędem było poinformowanie prasy o tych potworkach. Może to doprowadzić do powszechnej paniki.

— Myślę, że panu się coś pomyliło, senatorze — odparł kongresmen Nelson Able. — Nie zostaliśmy tu zaproszeni, by podejmować decyzję o ściągnięciu naszych oddziałów do kraju, ale raczej po to, żeby dowiedzieć się, iż rozkaz powrotu został wydany, i poznać przyczyny, dla których to zrobiono.

— Ja jednak wciąż wierzę — rzekł senator Oakes — że prezydent Henderson chciałby poznać nasze zdanie. Może się z nim nie zgodzić, ale sądzę, iż powinien je usłyszeć.

— To prawda, Andy — odezwał się prezydent. — Wiesz dobrze, że przez te wszystkie lata często słuchałem waszych uwag i niemal równie często przywiązywałem do nich wielkie

znaczenie. Nie muszę chyba mówić, że zwykle zgadzałem się z wami, ale w tym przypadku mam odmienne zdanie.

— Doskonale zdaję sobie z tego sprawę — odrzekł Oakes. — Ale to mnie nie powstrzymuje przed wygłoszeniem własnego sądu. A uważam, że ściągnięcie oddziałów jest po prostu piekielną głupotą. Chyba nie jest potrzebna siła całej naszej armii, żeby rozprawić się z kilkoma polującymi na kurczaki potworkami.

— Przecież zostało wyniszczzone — odezwał się senator Brian Dixon — że już wkrótce nie będą to niezbyt groźne potworki. Jedynym rozsądnym sposobem pozbycia się ich jest całkowite wyniszczenie, zanim rozmnożą się i zdążą urosnąć.

— Skąd jednak wiadomo — upierał się Oakes — że naprawdę będą rosnąć i rozmnażać się tak szybko? Dysponujemy tylko relacjami ludzi, którzy schronili się w naszych czasach, ponieważ nie mogli stawić im czoła. A dlatego nie mogli sobie poradzić, że zaniedbali środki bezpieczeństwa. Nie mieli wojska, nie dysponowali bronią.

— Chwileczkę, senatorze — przerwał mu kongresman Able. — Może pan wygłaszać swoje mowy dotyczące armii w Kongresie. Ma pan tam świetną publikę i może porywać zebranych. Ale tutaj, pośród nas, nie musi pan się starać robić dobre wrażenie.

— Panowie — przerwał prezydent. — Zaczynamy odbiegać od tematu. Przy całym szacunku dla pana senatora oddziały zostały sprowadzone do kraju. Przede wszystkim dlatego, iż sekretarz obrony i Dowództwo Sztabu uważają, iż będą one potrzebne tutaj. Mówiąc między nami, przedyskutowaliśmy to dokładnie dzisiaj rano. Generalne odczucie było takie, iż nie możemy sobie pozwolić na fałszywy krok. Być może zostaniemy zmuszeni do użycia broni masowego rażenia, lecz i to będzie lepsze od

zaniedbania. Niewykluczone, że otrzymaliśmy od ludzi z przyszłości niepełne informacje, chociaż nic na to nie wskazuje. Toczyli walkę z potworami przez dwadzieścia lat i sądzę, że już choćby z tego powodu powinni wiedzieć o nich dużo więcej niż my. Rozmawiałem z przedstawicielami Akademii Nauk, którzy stwierdzili, że chociaż cechy przypisywane potworom mogą wydawać się niezwykle, to nie są one sprzeczne z jakimikolwiek poznanymi prawami biologicznymi. Uważam zatem, że nie możecie nam zarzucać braku odpowiedzialności w podejmowaniu decyzji. Okoliczności zmuszają nas do działania znacznie szybciej niż zwykle. Nie mamy po prostu czasu, żeby dyskutować nad niezbędnymi posunięciami.

Oakes nie odezwał się, zagłębił się tylko z powrotem w fotelu, mrużąc pod nosem.

— Doniesiono o następnym potworze, który znalazł się na wolności w Kongo — powiedział kongresmen Wayne Smith. — Czy napłynęły jakieś dalsze informacje, panie prezydencie?

— Nie — odparł prezydent. — Nawet ta wiadomość nie jest pewna; nie została potwierdzona.

— Czy nie zgłoszono się z prośbą o pomoc w wytropieniu go?

— Nie. W każdym razie nic nie otrzymałem drogą oficjalną.

— A co z tunelami, panie prezydencie? Doniesienia prasowe są niejednokrotnie sprzeczne. Wiemy, że niektóre z nich przestały działać, ale obraz sytuacji nie jest wystarczająco klarowny.

— Prawdopodobnie wiecie tyle samo co my. Jeśli chodzi o nasz kraj, przestał istnieć tunel w Wirginii. Dwa inne, jeden w Wisconsin, drugi gdzieś w Teksasie, zniknęły bez naszej interwencji. Sądzę, że zostały zlikwidowane przez ludzi z przyszłości, zagrożonych napaścią potworów. Tak czy inaczej, przestały działać. Wszystkie pozostałe tunele na obszarze Stanów

Zjednoczonych nadal funkcjonują.

— Czy nie uważa pan, panie prezydencie, iż te dwa tunele mogły zniknąć dlatego, że przeszli nimi już wszyscy ludzie? Przecież kiedyś musi nastąpić koniec fali uchodźców.

— Wiemy, że tunel w Wisconsin został zamknięty z powodu ataku potworów z przyszłości. Tak twierdzili ostatni ludzie, którzy z niego wyszli. Nie znamy przyczyn zamknięcia tunelu w Teksasie. Jeśli zaś chodzi o przejście wszystkich ludzi, owszem, mam nadzieję, że już niedługo tunele zaczną znikać po spełnieniu swoich zadań.

— Co pan sądzi o praktycznym zastosowaniu tuneli czasowych, panie prezydencie? — zapytał senator Dixon. — Czy będziemy w stanie je zbudować, by umożliwić uchodźcom cofnięcie się w jeszcze dalszą przeszłość?

— Powiedziano mi, że tak — odparł prezydent. — Nasi fizycy i inżynierowie wraz ze specjalistami z przyszłości cały czas nad tym pracują. Uchodźcy wyznaczyli już stanowiska, gdzie powinny zostać zbudowane tunele. Pocieszający jest fakt, że nie będziemy musieli konstruować tak wiele przejść jak oni. Ich podróż do miocenu nie będzie musiała odbywać się w takim pośpiechu jak przeniesienie się w nasze czasy. Zbudowali w przyszłości tak dużo tuneli, ponieważ musieli się ewakuować w jak najkrótszym czasie, by uratować znaczną część ludności. Poza tym, jak się domyślam, nie będzie potrzeby otwierania tuneli we wszystkich mniejszych krajach. Przetransportujemy uchodźców do wejść nawet na odległość kilkuset mil. To samo dotyczy naszego kraju. Łatwiej będzie przewieźć uchodźców niż budować tak wiele przejść. Zmuszeni jesteśmy jednak zbudować przejścia i wysłać stąd uchodźców, zanim oni przejedzą wszystkie nasze zapasy.

— To znaczy, że zbudowanie tuneli nie leży poza zasięgiem naszych możliwości? Potrzebujemy jedynie czasu, funduszy i siły roboczej?

— Właśnie tak, Brian. Siła robocza nie stanowi problemu. Sami uchodźcy to olbrzymia, rwąca się do pracy masa ludzi. Mniej więcej przed godziną otrzymałem wiadomość od Terry'ego Robertsa, że nasze związki zawodowe nie będą się sprzeciwiały zatrudnieniu ludzi do zadań, które będziemy musieli objąć zamówieniem rządowym. Terry zapewnił mnie, że otrzymamy pełne poparcie związkowców, a nawet, jeśli zajdzie taka konieczność, gotowi są oni zrezygnować z niektórych swoich praw. Zatem siła robocza nie stanowi problemu, za to fundusze — tak. Nawet jeśli przemysłowcy podejną do sprawy z taką samą ochotą jak świat pracy, będziemy musieli najpierw wytworzyć nowe narzędzia i uruchomić nowe linie technologiczne, zanim zaczniemy produkcję elementów tuneli. W normalnych warunkach przestawianie produkcji jest procesem czasochłonnym i niezwykle kosztownym. To, że musimy przystąpić do tego natychmiast i uruchomić nowe technologie w jak najkrótszym czasie, spowoduje podniesienie kosztów do niewyobrażalnego wręcz poziomu. A proszę pamiętać, że nie tylko my stajemy przed tym problemem. Musi mu podołać cały świat. Główny ciężar spada na najbardziej uprzemysłowione państwa; u nas, w Niemczech, Rosji, Francji, Wielkiej Brytanii, w Chinach, Japonii i może jeszcze w kilku krajach muszą zostać wyprodukowane elementy do tuneli nie tylko dla nas, ale dla całego świata. Mimo iż nie musimy budować tylu przejść, ile zbudowali uchodźcy, by dostać się tutaj, trzeba jednak wytworzyć je w takiej ilości, by zapewnić stosunkowo równomierne rozmieszczenie ich na całym globie i sprawne

przeniesienie ludzi do miocenu. Populacja z przyszłości nie jest tak liczna jak nasza, ale jest na tyle duża, że musi zostać rozmieszczona w miarę proporcjonalnie. Budowa nowej cywilizacji w przeszłości spełźnie na niczym, jeśli przerzucimy zbyt wielu ludzi w jeden obszar. A przecież produkcja elementów do tuneli to tylko jeden z problemów, przed którymi staje nasz przemysł, choć chyba największy i zarazem najważniejszy. Musimy ponadto zaopatrzyć uchodźców w narzędzia, w zwierzęta hodowlane i nasiona, by mogli rozpocząć nowe życie. Chociażby tylko produkcja narzędzi pochłonie znaczącą część potencjału przemysłu.

— Czy rozmawiał pan już z kimś ze zjednoczeń przemysłowców, panie prezydencie?

— Nie rozmawiałem osobiście. Departament Handlu szykuje jakieś wstępne negocjacje, próbując wysondować nastroje. Nie mamy jeszcze nic konkretnego. Spodziewam się jednak mniej lub bardziej pozytywnej reakcji. Byłbym zawiedziony, gdyby odpowiedziano odmownie. Jest to sprawa w równym stopniu ich, jaki i nas wszystkich.

Oakes pochylił się do przodu w fotelu.

— Czy dysponuje pan, panie prezydencie, jakimikolwiek, choćby najbardziej przybliżonymi danymi, dotyczącymi kosztów całkowitych?

— Nie — odparł prezydent. — Nie dysponuję.

— Ale będą one ogromne?

— Z pewnością będą bardzo wysokie.

— Pewnie o wiele wyższe od budżetu obronnego, którego wysokość wzbudza tak powszechne oburzenie.

— Widzę, że chcecie, panowie, bym powiedział to otwarcie — wyznał prezydent. — A więc tak, na pewno będą wyższe od

budżetu obronnego. Możliwe, że operacja będzie równie kosztowna jak wojna. Możliwe, że doprowadzi nas do ruiny, do bankructwa całego świata. Co zatem mamy zrobić? Wyjść na ulice i wystrzelać wszystkich uchodźców? W ten sposób sprawa przestałaby istnieć. Tylko czy o takie rozwiązanie wam chodzi?

Mruczając pod nosem, Oakes pogrążył się z powrotem w fotelu.

— Jedno jest dla mnie oczywiste — odezwał się Able. — Istnieje możliwość osiągnięcia zysków bez względu na wysokość poniesionych kosztów. Uchodźcy pochodzą z przyszłości, udało im się rozwiązać wiele problemów technologicznych, wykorzystać nowe zdobycze nauki. Wspomniane zostały chociażby elektrownie termojądrowe. Nie dysponujemy czymś podobnym, a prace w tej dziedzinie mogą potrwać jeszcze wiele lat. Uzyskanie od nich technologii termojądrowej byłoby wielkim krokiem naprzód. Z pewnością znajdzie się wiele innych rzeczy. Proponowałbym, żeby w zamian za pomoc, o którą się do nas zwrócili, poprosić ich o udostępnienie nam tak zaawansowanych technologii...

— To by doprowadziło nas do ruiny — wtrącił gniewnie Oakes. — Dokończyłoby dzieła, które zaczęli swoim przybyciem. Weźmy dla przykładu elektrownie termojądrowe. Ich zastosowanie w mgnieniu oka zniszczyłoby kompletnie przemysł naftowy, wydobywanie gazu i węgla.

— Albo chociażby osiągnięcia w dziedzinie medycyny — kontynuował Able. — Jeśli ludzie w przyszłości odkryli przyczyny i sposoby leczenia raka...

— Kongresmen Able ma rację — rzekł Dixon. — Gdybyśmy przejęli zdobycze nauki, nowe technologie, a może także osiągnięcia socjalne i polityczne, wszystko, co udało się, albo raczej, co uda się zastosować w ciągu następnych pięciuset lat,

natychmiast znajdziemy się o wiele bliżej przepaści, niż jesteśmy teraz. Do kogo będzie należała ta nowa wiedza czy osiągnięcia? Do człowieka, któremu jakimś sposobem uda się zdobyć odpowiednie informacje? A może do rządu? Czy też do całej ludzkości? A jeśli do rządu albo do całej ludzkości, to kto ma sprawować kontrolę nad wykorzystywaniem tego? Wydaje mi się, panowie, że stajemy przed wieloma niezwykle trudnymi problemami, które trzeba będzie rozwiązać.

— To sprawa na przyszłość — rzekł kongresmen Smith. — W chwili obecnej są to jedynie spekulacje. Sądzę, że najpierw musimy poradzić sobie z dwiema niecierpiącymi zwłoki sprawami. W jakiś sposób trzeba uporać się z potworami i zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby wysłać ludzi z przyszłości do miocenu. Czy tak, panie prezydencie?

— Owszem. Dokładnie tak.

— Rozumiem — mruknął Oakes — że z tego też powodu rosyjski ambasador wprosił się na naradę wojenną do pana.

— Nie wiem, skąd masz te informacje, Andy.

— No cóż, wie pan, jak to jest, panie prezydencie. Jeśli się siedzi wystarczająco długo w Kongresie, ma się swoje źródła informacji. Dociera wiele plotek, nawet spośród tych najbardziej sekretnych.

— To nie jest tajemnica — odparł prezydent. — Nie znam jednak powodu spotkania. Staramy się w tej sprawie utrzymywać ścisły kontakt ze wszystkimi rządami. Rozmawiałem przez telefon z przywódcami wielu państw, w tym także z przywódcą Rosji. Spodziewam się, że wizyta ambasadora będzie jedynie kontynuacją tych rozmów.

— Możliwe — stwierdził Oakes. — Możliwe. Po prostu staję się trochę nerwowy, kiedy Rosjanie zaczynają zanadto czymkolwiek

się interesować.



Coś ukrywało się w kępie leszczyzny na skraju niewielkiego poletka zboża — wyczuwało się obecność jakiegoś stworzenia, można było dostrzec niewyraźne zarysy. Coś skryło się tam i czekało. Sierżant Gordy Clark był o tym przekonany. Nie wiedział, skąd brała się ta pewność, ale był pewien albo prawie pewien. Podpowiadał mu to zmysł zrodzony podczas setek patroli na terytorium wroga, dzięki któremu doświadczony żołnierz mógł przeżyć tam, gdzie inni ginęli. Coś, czego ani on sam, ani nikt inny nie potrafiłby zdefiniować, podpowiadało mu, że jakieś stworzenie ukrywa się w zaroślach.

Leżał w bezruchu, niemal wstrzymując oddech, rozciągnięty na szczycie pagórka wznoszącego się nad poletkiem. Nogi granatnika wsparł na starej kłodzie, bez przerwy trzymając nitki celownika na kępie krzaków. Pomyślał, że to może być pies albo dziecko; mogło też nic tam nie być, choć nie chciało mu się wierzyć, że instynkt go zawodził.

Ciężkie gałęzie sumaka zwieszały się nisko nad jego głową, skrywając go przed wzrokiem stworzenia czającego się w zaroślach. Słyszał przytłumiony szum górskiego strumienia, płynącego za polem; z głębi parowu wrzynającego się we wzgórze, na których stały zabudowania gospodarskie, dobiegało niespokojne gdakanie kur.

Nie dostrzegając żadnych śladów pozostałych uczestników patrolu. Wiedział, że przynajmniej kilku z nich musi znajdować się w pobliżu, ale nie zdradzali swoich pozycji. Wszyscy byli zawodowcami, dobrze znali się na swym rzemiośle. Potrafili przemierzać tutejsze lasy niczym duchy, zupełnie bezszelestnie.

Sierżant uśmiechnął się do siebie. To byli świetni ludzie; sam ich wyszkolił. Oczywiście, kapitan uważał, że wyszkolenie oddziału jest jego zasługą. Ale to nie była prawda. Ci ludzie zawdzięczali swe umiejętności tylko i wyłącznie sierżantowi Gordonowi Fairfieldowi Clarkowi. Rzecz jasna, szczerze go nienawidzili, ale cóż można było na to poradzić. Owa nienawiść mogła się z czasem przerodzić w szacunek; sierżant uważał, że zarówno strach, jak i respekt odgrywają właściwą rolę. Jeśli nie teraz, to dawniej na pewno wielu z nich w wyobraźni wlepiło mu kulę w łeb. Mieli ku temu wiele okazji, lecz jak do tej pory nikt tego nie uczynił. Był im potrzebny — jeśli nawet nie osobiście, to potrzebna im była nienawiść, którą do niego żywili. Nic tak bardzo nie przywiązuje ludzi jak dogłębna nienawiść.

Farmer mieszkający na szczycie wzgórza zawiadomił, że widział coś. Nie mógł dokładnie powiedzieć, co to było, ale zarysy stworzenia, które dostrzegł, wzbudziły w nim obrzydzenie. Nigdy przedtem nie zetknął się z podobną istotą. Czegoś takiego nie można było sobie nawet wyobrazić. Farmerem wstrząsał dreszcz na samo wspomnienie.

Nagle stworzenie wyskoczyło z zarośli — wyskoczyło tak szybko, że jego sylwetka zlała się w niewyraźną smugę. I równie szybko, jak wyskoczyło, tak niespodziewanie zatrzymało się. Stało na niewielkim skrawku otwartej przestrzeni pomiędzy zaroślami a zbożem.

Sierżant wstrzymał oddech, powoli przesunął lufę granatnika,

naprowadzając nitki celownika na wielki korpus stworzenia, i zaczął naciskać spust.

Potwór zniknął. Clark nie widział w celowniku niczego poza zamazaną kępą krzaków, rosnących w odległym rogu poletka. Nie poruszył się jednak. Spoglądał nadal przez szkła celownika, tyle że zdjął palec ze spustu.

Stwór nie poruszył się. Sierżant był tego pewien. Po prostu zniknął. Stał tam, a w następnej mikrosekundzie już go nie było. Nie mógł poruszać się aż tak szybko. Kiedy wyskakiwał z zarośli, widać było smugę pędzącej postaci. Teraz nie było widać niczego.

Sierżant Clark uniósł głowę, po chwili dźwignął się na kolana. Przeciągnął dłonią po czole i twarzy i ze zdumieniem spostrzegł, że jest cała mokra. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo się spocił.



Fiodor Morozow był dobrym dyplomatą oraz uczciwym człowiekiem, choć te dwie cechy rzadko chodzą w parze. Brzydził się tym, co musiał zrobić. Poza tym znał Amerykanów i wiedział, że nic z tego nie wyjdzie. Z pewnością będą zakłopotani, a ich grzeszki zostaną obnażone przed całym światem — w normalnych okolicznościach nie miałyby zresztą nic przeciwko temu. Wiedział jednak, że w obecnych warunkach Amerykanie — ani nikt inny, jeśli chodzi o ścisłość — nie mieli głowy, by uważnie śledzić zawiłości rozgrywek politycznych, stąd też trudno było przewidzieć ich reakcję.

Prezydent czekał na niego w towarzystwie — jak należało się spodziewać — sekretarza stanu. Na obliczu prezydenta malował się spokój, ale Thornton Williams — co Fiodor dostrzegł bez trudu — był nieco zdenerwowany.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie i usiedli, prezydent zabrał głos.

— Zawsze miło mi pana widzieć, panie ambasadorze — rzekł — bez względu na charakter sprawy, jaka pana sprowadza. Proszę powiedzieć: czy możemy coś zrobić dla pana?

— Mój rząd — zaczął Fiodor — polecił mi skontaktować się z waszym rządem, na tyle nieoficjalnie, na ile pozwalają nam nasze stanowiska, w sprawie zapewnienia bezpieczeństwa, co, jak się domyślam, leży zarówno w naszym wspólnym interesie,

jak i w interesie całej ludzkości.

Urwał, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi z ich strony. Nie odpowiedzieli, nie zadali żadnych pytań, nie pospieszyli z pomocą.

— Chodzi o tego potwora — wyjaśnił w końcu — który wydostał się na wolność z tunelu w Kongo. Informacje, które nam przekazano, nie pozostawiają żadnych wątpliwości, iż stworzenia te muszą zostać zabite. Ponieważ Kongo nie dysponuje odpowiednimi siłami wojskowymi i policyjnymi, mój rząd składa propozycję utworzenia sił ekspedycyjnych i oczekuje na pozytywną reakcję Wielkiej Brytanii i Francji, a także innych państw, które chciałyby uczestniczyć w międzynarodowej ekspedycji, mającej za zadanie zabicie potwora.

— Oczywiście, panie ambasadorze — odparł Williams — pański rząd nie jest w żaden sposób zobowiązany do uzyskania naszej zgody na tego typu przedsięwzięcie. Spodziewam się, że jest pan gotów przedstawić nam gwarancje, iż wasze oddziały zostaną wycofane natychmiast po wykonaniu zadania.

— To oczywiste.

— W takim razie nie rozumiem motywów pańskiej wizyty

— Pozostaje jeszcze sprawa potwora, a raczej potworów, gdyż domyślam się, że jest ich obecnie więcej, i to na waszym terytorium. Jesteśmy gotowi przedstawić wam taką samą propozycję, jaką przedstawimy władzom Konga.

— Czy to znaczy — rzekł prezydent uśmiechając się — że bylibyście skłonni wysłać swoje wojska, żeby pomóc nam uporać się z potworami?

— Sądzę — odparł ambasador — iż użył pan niewłaściwego słowa: skłonni. Myślę, że dopóki nie możecie zagwarantować absolutnej efektywności w wytropieniu i zniszczeniu potworów,

będziemy nalegali. To nie jest wasza wewnętrzna sprawa, gdyż dotyczy całej międzynarodowej społeczności. Potwory muszą zostać zabite. Jeśli nie umiecie sobie z tym poradzić, będziecie musieli przyjąć oferowaną wam pomoc.

— Wiecie, oczywiście — wtrącił Williams — że ściągamy wszystkie nasze wojska do kraju?

— Wiemy, panie sekretarzu, lecz powstaje pytanie, jak szybko możecie je tu sprowadzić. Nasi specjaliści oceniają, że zajmie wam to co najmniej trzydzieści dni, a wtedy może być już za późno. Zresztą nadal pozostanie problem, czy będziecie mieli wystarczająco dużo ludzi, żeby zabezpieczyć cały obszar.

— Mogę pana zapewnić — odezwał się prezydent — że doceniamy waszą troskę.

— Takie jest stanowisko mojego rządu — rzekł Fiodor. — Wiemy, że wolelibyście wykorzystać tylko swoje oddziały, ale do wykonania tego zadania można by skierować znacznie więcej ludzi i przystąpić do niego znacznie szybciej, gdybyście przyjęli pomoc, którą wam proponujemy. Jestem pewien, że inne kraje wystąpią również z podobnymi propozycjami, jeśli tylko będziecie skłonni je przyjąć...

— Panie ambasadorze — przerwał mu prezydent. — Jestem pewien, iż sam pan rozumie, że nie powinien był pan przychodzić do nas z taką propozycją. Gdyby kryła się za nią naprawdę dobra wola waszego rządu, wówczas jak sam pan wie, zajęlibyście zupełnie inne stanowisko. Nie mam żadnych wątpliwości, że jedynym celem takiego przedstawienia sprawy jest postawienie nas w niezręcznej sytuacji. Mogę jednak zapewnić, że wasze wysiłki spełzły na niczym. Nie czujemy się ani trochę zakłopotani.

— Mogę tylko wyrazić swoją radość, że tak jest — odparł

niewzruszony Fiodor. — Uważaliśmy, że przynajmniej zasady przyzwoitości nakazują przedstawić wam tę propozycję na początku w prywatnej rozmowie.

— Należy zatem sądzić — rzekł Williams — że teraz przedstawicie ją na forum ONZ, pragnąc publicznie postawić nas w kłopotliwej sytuacji.

— Wy, panowie — powiedział ambasador — z uporem mylnie interpretujecie tę propozycję. To prawda, że nasze kraje w przeszłości wiele dzieliło. Nie zawsze patrzyliśmy na sprawy z tej samej strony. Jednakże w obecnych warunkach cały świat musi stworzyć jednolity front. Tylko z tą myślą wystąpiliśmy z taką propozycją. Przynajmniej dla nas, jeśli nie dla was, jest oczywiste, że podstawowym zadaniem międzynarodowej społeczności jest szybkie uporanie się z problemem potworów, natomiast waszym obowiązkiem jest zaakceptowanie takiej pomocy, jaka będzie potrzebna. Możemy wstrzymać się z przedstawieniem na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych raportu o zaniedbywaniu przez was swoich obowiązków.

— Nie ośmielimy się — rzekł sztywno Williams — sugerować wam, co macie przedstawić ONZ.

— Gdybyście zdecydowali się przyjąć naszą propozycję — ciągnął ambasador — wówczas zgodzilibyśmy się zostawić inicjatywę w waszych rękach. Jeśli zechcecie zwrócić się do innych krajów, Kanady, Wielkiej Brytanii czy Francji, by wraz z nami utworzyły potrzebne wam dodatkowe oddziały, nie zajdzie wtedy konieczność ujawniania szczegółów tej rozmowy. Oczywiście, dziennikarze będą wiedzieli o mojej wizycie i z pewnością padną pytania o jej cel, powiem jednak, że była to tylko część kontynuowanych rozmów między naszymi dwoma

krajami, dotyczących problemu uchodźców. Tego typu odpowiedź, jak sądzę, będzie stanowić logiczne i możliwe do przyjęcia wyjaśnienie.

— Domyślam się — oświadczył prezydent — że będzie pan czekał na naszą odpowiedź, by mocją przedstawić swojemu rządowi.

— Nie muszę jej otrzymać teraz — odparł Fiodor. — Spodziewaliśmy się, że będziecie chcieli ją dokładnie przemyśleć. ONZ zbierze się dopiero jutro w południe.

— Wyobrażam sobie, że gdybyśmy się zwrócili o pomoc wojskową do naszych przyjaciół spośród międzynarodowej społeczności, nie uwzględniając przy tym waszej armii, poczulibyście się zlekceważeni, znieważeni i obrażeni.

— Nie mogę tego twierdzić na pewno, przypuszczam jednak, że ma pan rację, panie prezydencie.

— Wydaje mi się — rzekł sekretarz stanu — że wszystko to ma na celu jedynie wywołanie awantury na arenie politycznej. Znamy się od wielu lat i miałem o panu bardzo wysokie mniemanie. Przebywa pan wśród nas od ponad trzech... nie, od czterech... w każdym razie od przeszło trzech lat. Z pewnością miał pan przez ten czas sposobność poznać nas. Nie przypuszczam, by popierał pan z całego serca tę propozycję.

Fiodor Morozow powoli podniósł się z fotela.

— Przedstawiłem panom propozycję, mojego rządu — powiedział. — Dziękuję, że wysłuchaliście mnie, panowie, z uwagą.



W Nowym Jorku, Chicago i Atlancie tłumy demonstrantów napierały na kordony policji. Transparenty głosiły: NIE PROSILIŚMY ICH, BY TU PRZYBYLI. Albo: SAMI NIE MAMY ZBYT WIELE. Czy też: NIE CHCEMY GŁODOWAĆ. Z tłumu leciał grad różnych przedmiotów: kamieni, cegieł, metalowych puszek, zgniecionych w nieregularne bryły o ostrych krawędziach, czy wreszcie foliowych torebek, wypełnionych ludzkimi odchodami. Slumsy wypełniły się krzykami, zapanowała przemoc. Ginęli ludzie, wielu odniosło rany. Podkładano ogień, płonęły domy, a kiedy straż pożarna próbowała dotrzeć do pożarów, powstrzymywały ją barykady. Na wielu obszarach odbywały się masowe grabieże.

W małych miasteczkach w całym kraju nie ustawały dyskusje — ludzie z ponurymi wyrazami twarzy siadywali na ławkach przed domami handlowymi, na stacjach benzynowych, przed sklepami spożywczymi, zbierali się na rogach ulic, przy kawie w barach albo rozmawiali, czekając na swoją kolejkę u fryzjera. Mówili jeden do drugiego, przekazywali sobie oszołomieni: “To chyba nie jest w porządku. To chyba niemożliwe. Już nie jest tak jak kiedyś, gdy każdy wiedział, o co chodzi. Teraz nie mówi się już głośno, co ma się wydarzyć, czego możemy oczekiwać. Zbyt dużo tej nowej mody. Dawne czasy za szybko przeminęły. Nie

zostało już nic, czego człowiek mógłby się trzymać". Przekonywali rozsądnie: "Oczywiście, jeżeli jest tak, jak mówią, musimy zrobić dla nich wszystko, co możemy. Słyszałeś, co powiedział prezydent wczoraj wieczorem? Dzieci naszych dzieci. Właśnie tak powiedział. Chociaż sam nie wiem, jak będziemy mogli coś dla nich zrobić. Nie przy takich podatkach, jakie płacimy. Nie możemy płacić jeszcze większych podatków, a te tunele będą kosztowały krocie. Płacisz podatki od wszystkiego, co kupujesz. Od wszystkiego, co robisz. Od wszystkiego, co posiadasz. Żeby człowiek nie wiem jak kombinował, nie ucieknie przed podatkami..." Twierdzili świętoszkowato: "Ten kaznodzieja z Nashville trafił w samo sedno. Jeśli człowiek wyrzeknie się religii, nie zostanie mu nic wartościowego. Nie zostanie mu nic, dla czego miałby żyć. Odrzucisz Biblię, stracisz wszystko. Nie wydaje się możliwe, by nawet za pięćset lat ludzie mogli wyrzec się swego Boga. Dzisiaj światem rządzi zło, właśnie dlatego to było możliwe. Wszystko przez to wielkomiejskie życie. Przez nikczemność życia w wielkich miastach. U nas nigdy nie straci się wiary w Boga. O nie, proszę pana. On jest z nami przez cały czas. Czuje się Go w porywach wiatru. Można Go dostrzec w kolorze wschodniej strony nieba tuż przed świtem. Jest zawsze obecny w przedwieczornej ciszy. Żał mi tych ludzi z przyszłości. Naprawdę bardzo mi ich żał. Nie wiedzą, co utracili..." Ze złością komentowali zamieszki: "Powinni ich wszystkich wystrzelać. Nie patyczkowałbym się z takimi. Nawet przez minutę bym się nie zastanawiał. To tacy, z których większość nie kiwnęła nawet palcem przez całe życie. Potrafią tylko stać z założonymi rękoma. Nie powiesz mi, że jeśli facet chce uczciwie pracować, nie może znaleźć dla siebie pracy. Nawet kobieta. My tu musimy kombinować, wypruwać żyły, napocić się i nic z tego nie mamy.

Ale nie wywołujemy zamieszek, nie podkładamy ognia, nie demonstrujemy..." Obgadywali młodych ludzi manifestujących w parku Lafayette: "Jeśli chcą odejść do miocenu, czy gdziekolwiek indziej, dlaczego im na to nie pozwolić? Nikomu nie będzie ich brakowało. Damy sobie bez nich radę..." Prowincjonalny bankier z wyszukaną rozważą stwierdzał: "Zapamiętaj moje słowa, będziemy mieli wiele szczęścia, jeśli ci z przyszłości nie doprowadzą całego kraju do ruiny. Ależ tak, całego kraju, a może nawet całego świata. Dolar przestanie być cokolwiek wart, ceny pójdą w górę..." I nieuchronnie dochodzili do wniosku, szeptem dzieląc się ze sobą swymi najczarniejszymi myślami: "Poczekaj tylko, a przekonasz się. To wszystko robota komunistów, mówię ci. To spisek brudnych komuchów. Nie wiem, jak tego dokonali, ale w praniu okaże się, że za tym wszystkim kryją się Ruscy..."

Przez cały kraj przelewała się fala ludzi wędrujących w kierunku Waszyngtonu — podróżowali autostopem, autobusami albo rozsypującymi się gruchotami. Nieprzerwanym strumieniem ciągnęły pod prąd cywilizacji grupy młodych ludzi. Część z nich dotarła do miasta przed zapadnięciem zmroku i urządziła pochód z transparentami głoszącymi: WRACAJMY DO MIOCENU! PRZENIEŚMY SIĘ DO SZABLOZĘBNYCH! Inni wędrowali przez całą noc, jeszcze inni odkładali resztę podróży do następnego dnia i odpoczywali. Spali w stogach siana lub na ławkach w parkach. Wykradali hamburgery, szukali sprzymierzeńców, porozumiewali się przyciszonymi głosami przy ogniskach.

Ulicami Waszyngtonu maszerowały grupy, pośrodku których zawsze znajdowali się młodzi ludzie uginający się pod ciężarem olbrzymich krzyży — potykali się, padali, lecz zaraz dźwigali się

z powrotem na nogi i kontynuowali pochód. Niektórzy mieli na głowach cierniowe korony, spod których strumykami ściekała na czoła krew. Późnym popołudniem wybuchła w Parku Lafayette gigantyczna bójka, kiedy oburzony tłum, składający się głównie ze stęsknionych za mioceniem młodocianych, rzucił się, by zapobiec ukrzyżowaniu młodzieńca — ofiara była już przywiązana do krzyża, trwało jeszcze kopanie dołu do jego postawienia. Wkroczyła policja i po burzliwych piętnastu minutach oczyściła teren parku. Po wszystkim zebrano w jednym miejscu i zniszczono cztery proste krzyże. “Te dzieciaki oszalały — stwierdził jeden z zadyszanych oficerów. — Nie dałbym za całą tę gromadę złamanego szeląga.”

Senator Andrew Oakes zadzwonił do Granta Wellingtona.

— Zwłaszcza teraz — rzekł konspiracyjnym szeptem — nie wolno ci się wychylić. Nic nie mów. Staraj się robić wrażenie, jakby ciebie to nie interesowało. Sytuacja jest, że tak powiem, płynna. Nie ma nic pewnego. Nikt nie wie, w którą stronę ten kot skoczy. Coś się jednak dzieje. Dziś rano był w Białym Domu rosyjski ambasador, a to nie wróży nic dobrego. Kłuje się coś, czego jeszcze nie rozumiem.

Clinton Chapman zadzwonił do Reilly'ego Douglasa.

— Czy dowiedziałeś się czegoś, Reilly?

— Niczego poza tym, że podróże w czasie są faktycznie możliwe i że dysponujemy odpowiednimi planami.

— Widziałeś te plany?

— Nie, objęto je najściślejszą tajemnicą. Nikt nie chce nic powiedzieć. Naukowcy, którzy konferowali ze specjalistami z przyszłości, nie puszczają pary z ust.

— Ale ty przecież...

— Wiem, Clint. Jestem prokuratorem generalnym, ale, do diabła, w tym wypadku to nic nie znaczy. Ścisła tajemnica. Dopuszczono jedynie kilku członków Akademii Nauk i nikogo więcej. Także nikogo z armii. Obawiam się, że nawet gdyby wojsko bardzo chciało...

— Przecież muszą wtajemniczyć ludzi. Nie da się zbudować maszyny, nic o niej nie wiedząc.

— Masz rację, ale poznasz tylko jej budowę, a nie zasadę działania. Nigdy nie dowiesz się, jakie prawa nią rządzą.

— A cóż to, do diabła, za różnica?

— Jestem skłonny przypuszczać, że istotna — odparł Douglas.
— Osobiście odnosiłbym się nieufnie do projektu budowy czegoś, czego nie rozumiem.

— Twierdzisz, że podróże w czasie faktycznie są możliwe. Nie masz co do tego żadnych wątpliwości?

— Najmniejszych — stwierdził Douglas.

— To znaczy, że tkwi w tym jakiś haczyk — zauważył Chapman. — Poza tym sądzę...

— Jeśli można podróżować wyłącznie w jedną stronę...

— W obie strony. Tak twierdzą moi ludzie.

— To pociągnie za sobą olbrzymie koszty.

— Rozmawiałem z wieloma ludźmi — rzekł Chapman. Zaufanymi ludźmi. Niektórzy z nich, a jest ich niemało, są zainteresowani. Dostrzegają olbrzymie możliwości. Nie zabraknie nam pieniędzy, jeśli uda się rozkręcić sprawę.

Judy Gray weszła na pokład samolotu i odnalazła swoje miejsce. Wyjrzała przez okienko na szeregi przejeżdżających wózków bagażowych, a gdy obraz zafalował jej przed oczyma,

pospiesznie uniosła dłoń i otarła łzy. Niemal z czułością syknęła do siebie przez zaciśnięte zęby:

— Sukinsyn. Pieprzony sukinsyn!



W słuchawce rozległ się głos Toma Manninga:

— Steve, dotarły do mnie pewne informacje.

— A zatem puszczaj je w świat, Tom — odparł Wilson. — Przecież po to tam siedzisz. Puszczaj je w świat ku chwale rzetelnej staruszki Global News.

— Dobra — mruknął Manning. — Czy teraz, kiedy wykorzystales okazję, by wykazać się swym płytkim poczuciem humoru, możemy przystąpić do rzeczy?

— Jeśli to tylko chwyt, żeby wyciągnąć ze mnie potwierdzenie zasłyszanych przez ciebie plotek, to wiesz dobrze, że nic nie wskórasz.

— Na tyle mnie chyba znasz, Steve.

— Problem w tym, że sam dobrze nie wiem.

— W porządku — rzekł Manning. — Jeśli chcesz, zaczniemy od początku. Dziś rano prezydent zaprosił rosyjskiego ambasadora...

— Prezydent go nie zapraszał, ambasador przybył z własnej inicjatywy. Wystosował przecież oświadczenie dla prasy. Powinieneś je znać.

— Oczywiście, wiem, co powiedział ambasador, wiem także, co oznajmiłeś na popołudniowej konferencji. Rzekłbym, że niewiele rzuciłeś światła na całą tę sprawę. Przecież nikt w mieście, nikt

przy zdrowych zmysłach, nie kupi tego, co ty i on powiedzieliście.

— Przykro mi, Tom. Powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

— Dobra — odparł Mannig. — Załóżmy, że wierzę ci na słowo. Możliwe, że nie we wszystko zostałeś wprowadzony. Ale w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku pojawiła się paskudna plotka. W każdym razie dotarła do naszego człowieka. Na szczęście, nie przesłał tego dalej. Zadzwoił do mnie, a ja kazałem mu zatrzymać tę informację dla siebie do czasu, aż pomówię z tobą.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, Tom, o czym mówisz. Zapewniono mnie, że ambasador przedstawił w oświadczeniu wszystko, co mogło być ujawnione opinii publicznej. Prowadzone były pewne rozmowy z Moskwą, zatem wszystko układa się w logiczną całość. Prezydent nie powiedział mi nic innego. O ile sobie przypominam, omawialiśmy kilka drobiazgów, ale to nic szczególnego. Wiesz przecież, jak wiele mamy teraz na głowie.

— W porządku — rzekł Mannig. — Przekażę ci zatem, co usłyszałem. Morozow rozmawiał z Williamsem oraz z prezydentem. Zaproponował pomoc rosyjskich oddziałów w wytropieniu potwora, lecz propozycja ta została odrzucona.

— Na ile wiarygodne jest twoje źródło, Tom? Czy jesteś tego zupełnie pewien?

— Nie do końca. Ale taką właśnie informację zdobył nasz człowiek w ONZ.

— Masz na myśli Maxa Hale'a? To chyba on jest tym człowiekiem.

— Tak, jest jednym z najlepszych — odparł Manning. — Do tej pory dość skutecznie radził sobie z wyławianiem prawdy.

— Tak, owszem. Pamiętam go jeszcze z Chicago.

— Informator Hale'a powiedział, że jutro na forum ONZ ma zostać przedstawiona nasza odmowa oraz żądanie, byśmy zostali zobligowani do przyjęcia pomocy innych państw. Odrzucenie tej pomocy ma być uznane za poważne zaniedbanie.

— Stara chytra sztuczka — mruknął Wilson.

— Ale to jeszcze nie wszystko. Jeżeli nie zostanie zaakceptowana pomoc wojskowa i nie uda nam się zlikwidować potwora, na forum ONZ ma pojawić się wniosek, by cały obszar został zniszczony nuklearnie. Świat nie może ryzykować...

— Zaczekaj chwilę — powiedział pospiesznie Wilson. — Powiedziałeś, że nie puściłeś jeszcze tej informacji w świat?

— Jeszcze nie. Może nawet nigdy jej nie puszcę. Chociaż chciałbym, dlatego właśnie zadzwoniłem do ciebie. Jeśli informacja ta dotarła do Hale'a, istnieje duże prawdopodobieństwo, że dotrze też do kogoś innego, a wtedy, jak mi Bóg miły, pójdzie teleksem w świat albo zostanie gdzieś opublikowana.

— Nie ma w tym ani krzty prawdy — odparł Wilson. — Jestem tego pewien. Chryste, przecież tkwimy w tym wszyscy. Przynajmniej na razie polityczne rozgrywki powinny zostać odłożone. A może tylko mnie się tak wydaje? Tom, ja po prostu nie mogę w to uwierzyć.

— Nic ci nie wiadomo na ten temat? Zupełnie nic? Nie słyszałeś ani słowa?

— Ani jednego słowa — oświadczył Wilson.

— Wiesz co, Steve — mruknął Manning. — Nie wziąłbym twojej posady nawet za milion dolarów.

— Wstrzymaj się, Tom. Daj mi trochę czasu na sprawdzenie tego.

— Jasne. Chyba że zaczną mnie zbyt mocno naciskać albo ktoś inny to wyniucha. Dam ci znać.

— Dzięki, Tom. Któregoś dnia...

— Któregoś dnia, kiedy to wszystko się skończy — przerwał mu Manning — usiądziemy w jakimś mrocznym kącie w pierwszym lepszym barze i zalejemy się w trupa.

— Ja stawiam — powiedział Wilson.

Odłożył słuchawkę i opadł ciężko na fotel. “Właśnie teraz, kiedy kolejny dzień dobiegał końca — pomyślał. — Cholera, są takie dni, które nigdy się nie kończą. Trwają bez końca. Dzień wczorajszy i dzisiejszy to nie dwa dni, ale nie kończący się koszmar, w którym — jeśli się dobrze zastanowić — nie było nic realnego. Judy odeszła, dzieciaki wyszły na ulice, związki przemysłowców podniosły straszliwy wrzask, bo nie pozwolono im wykorzystywać różnic ekonomicznych do osiągnięcia uczciwych zysków, kaznodzieje zaczęli nawoływać z ambon do powszechnej krucjaty, w górach przebywają na wolności potwory, a cała ludzkość przyszłości nadal ciągnie nieprzerwanym strumieniem do tego właśnie punktu ścieżki czasu.”

Zaczęły mu opadać powieki. Wstał z trudem. Powinien się tej nocy przespać, powinien znaleźć trochę czasu, by się przespać.

Możliwe, że Judy miała rację. Po prostu odejść i zostawić to wszystko za sobą. W przypiływie szczerości musiał jednak przyznać, że wciąż nie wiedział, od czego naprawdę odeszła. Tęsknił za nią. Odeszła zaledwie godzinę czy dwie temu, a już za nią tęsknił. Uświadomił sobie nieoczekiwanie, że owa tęsknota tkwiła w nim przez cały dzień. Towarzyszyła mu nawet wtedy, kiedy Judy jeszcze tu była. Zaczął za nią tęsknić już wówczas, gdy dowiedział się, że chce odejść. Pomyślał, że powinien był raz

jeszcze poprosić ją, by została, ale nie miał na to czasu, nie wiedział zresztą, jak to zrobić — w każdym razie nie wiedział, jak ją poprosić i zarazem zachować godność, a w takim przypadku trzeba było dbać o swą godność albo nie robić w ogóle nic. Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie i tak by go nie wysłuchała.

Sięgnął po słuchawkę.

— Jesteś tam jeszcze, Kim? Muszę zobaczyć się z prezydentem. To dość pilne. Po raz pierwszy chciałbym się wcisnąć poza kolejnością.

— To może zająć trochę czasu — odparła. — Trwa obecnie posiedzenie gabinetu.



— Miałem go na celowniku, kiedy zniknął — relacjonował sierżant Gordon Fairfield Clark pułkownikowi Eugene'owi Dawsonowi. — Rozpłynął się w powietrzu. Przepadł bez śladu. Jestem pewien, że się nie poruszył. Widziałem, jak gnał, zanim się zatrzymał. Poruszał się jak błyskawica. Rozmywał się w niewyraźną smugę, jak na kreskówkach, kiedy rysownik chce przedstawić bardzo szybki ruch, któremu towarzyszy tylko świst. Ale tam nie było żadnego dźwięku. Kiedy znikł, panowała absolutna cisza. Za pierwszym razem widziałem, jak się poruszał. Ale gdy patrzyłem przez celownik, nie drgnął nawet. Nie było rozmazanej smugi. Nie było żadnego dźwięku.

— Musiał pana zauważyć, sierżancie — stwierdził pułkownik.

— Sądzę, że nie, sir. Byłem dobrze ukryty. Nie poruszyłem się. Przesunąłem tylko lufę granatnika o kilka centymetrów, to wszystko.

— W takim razie zauważył któregoś z pańskich ludzi.

— Tych ludzi sam wyszkoliłem, sir. Nikt ich nie mógł zobaczyć ani usłyszeć.

— Ale on musiał coś zauważyć. Wyczuł niebezpieczeństwo i zniknął. Jest pan pewien, że zniknął, sierżancie?

— Całkowicie pewien, panie pułkowniku.

Dawson siedział na zwałonym pniu. Schylił się, podniósł ze

ściółki gałązkę i zaczął ją systematycznie łamać na drobniutkie kawałeczki. Clark stał przechylony na bok, wspierając się na granatniku opartym kolbą o ziemię.

— Do diabła! — odezwał się po chwili Dawson. — Sam nie mam pojęcia, co powinniśmy z tym począć, sierżancie. Nie wiem, jak na to zareaguje dowództwo. Znaleźliśmy jedno z tych stworzeń, lecz zanim zdążyliśmy je ustrzelić, zniknęło. Jestem jednak nadal pewien, że możemy sobie z nimi poradzić. Nawet gdy staną się wielkie, drapieżne i okrutne, jak utrzymują ludzie z przyszłości, będziemy umieli się z nimi rozprawić. Dysponujemy odpowiednią bronią, mamy wypracowane metody walki. Gdyby stanęły naprzeciw nas w otwartym polu, moglibyśmy dać im niezły wycisk. Jesteśmy lepiej i silniej uzbrojeni niż ludzie z przyszłości, nie boimy się. Tylko że nie działamy nic, jeśli te stworzenia będą nas unikały i kryły się w takim terenie. Moglibyśmy zbombardować i zrównać z ziemią tysiące hektarów, zabijając, dajmy na to, jednego z nich. Bóg jeden wie, ile byłoby innych ofiar, nie wyłączając ludzi. A nie mamy czasu ani środków, żeby ewakuować ludzi przed bombardowaniem. Musimy wytropić te potwory, jednego po drugim...

— Ale nawet jeśli je wytropimy, sir...

— Tak, wiem. Będzie można mówić o szczęściu, jeśli uda się gdzieś przyskrzynić jednego. A wciąż pozostaną setki potworów składających jaja, a za tydzień albo za miesiąc będą już tysiące zdolnych do zakładania gniazd. Tymczasem te pierwsze podrosną i staną się krwiożercze. My będziemy na nie polować, a one wymażą z mapy jedno czy dwa miasteczka, napadną na obóz wojskowy...

— To znacznie gorsze od Wietnamu, sir — wtrącił sierżant

Clark. — A przecież tam było piekło.

Pułkownik podniósł się z kłody.

— Nigdy jeszcze nie zostaliśmy pokonani — powiedział. — Nigdy się nie poddaliśmy. Teraz też nie ulegniemy. Musimy tylko nauczyć się, jak sobie z nimi radzić. Żadna broń na tym świecie i żadna taktyka nie przydadzą się na nic, jeśli nie będzie przeciwko czemu ich użyć i gdy przeciwnik nie da ci czasu na naciśnięcie spustu.

Sierżant stanął prosto, uniósł granatnik i wcisnął go pod pachę.

— A więc do dzieła — rzekł.

— Nie widział pan gdzieś tutaj fotoreportera, sierżancie?

— Fotoreportera? — zdziwił się sierżant. — Jakiego fotoreportera? Nikogo nie widziałem.

— Mówił, że nazywa się Price. Z jakiejś agencji prasowej. Kręcił się gdzieś w pobliżu. Kazałem mu się wynosić.

— Jeśli trafię na niego — odparł sierżant — zawiążę mu kokardkę na ogonie.



Wielebny Jake Billings konferował z Rayem MacDonaldem, swoim byłym doradcą do spraw stosunków społecznych, a obecnie, od dwunastu zaledwie godzin, szefem operacyjnym krucjaty.

— Naprawdę nie wydaje mi się, Ray — powiedział wielebny Billings — żeby z tej afery z ukrzyżowaniem mogło wyniknąć dla nas coś dobrego. Uważam, że to coś bardzo prymitywnego, co może obrócić się przeciwko nam. Jeden ze świadków, jak napisano w gazecie, relacjonując wydarzenia w Waszyngtonie...

— Czyżby ktoś już zdążył skomentować te zajścia? Nie spodziewałem się takiej szybkiej reakcji.

— Reakcje nie są pozytywne — oznajmił wielebny Billings z niezwykłą dla niego pasją. — Reporterzy nazywają to tanim trikiem i chwytem poniżej pasa. Okazało się, że dłonie tego młodzieńca były przywiązane do krzyża rzemieniami. Nie przybite ćwiekami, lecz przywiązane rzemieniami. Rzecz jasna, komentarze utrzymane są raczej w żartobliwym tonie, niemniej jednak...

— Oni nie mają racji — wtrącił MacDonald.

— Chcesz powiedzieć, że używaliście ćwieków?!

— Nie o to mi chodzi. Faktycznie przywiązaliśmy mu dłonie rzemieniami, ale przecież Rzymianie także nie zawsze stosowali

ćwieki.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Ewangelia kłamie?

— Nie, skądże znowu. Próbuję tylko wytłumaczyć, że zwykle — powtarzam: zwykle, a nie: zawsze — przywiązywano dłonie, nie przybijano ich ćwiekami. Przeprowadzaliśmy badania...

— Wasze badania mnie nie obchodzą — oznajmił Billings lodowatym tonem. — Interesuje mnie tylko to, że przez ciebie sprytni dziennikarze mogą się z nas wyśmiewać. Nawet pomijając ten fakt, uważam, że sam pomysł był nie na miejscu. Nie uzgodniłeś tego ze mną. Jak do tego doszło, że nawet mnie nie poinformowałeś?

— Byłeś bardzo zajęty, Jake. Powiedziałeś, że mam się postarać. Że liczysz na moje pomysły, więc zrealizowałem jeden z nich.

— Ciągle dzwoni do mnie Steve Wilson — rzekł Billings. — Wciąż mnie napomina. Nie ulega wątpliwości, że ci wszyscy z Waszyngtonu, a w każdym razie z Białego Domu, stanęli murem przeciwko nam. Jeśli Wilson się dobrze postara, zrobi z nas ludzi goniących za sensacją. Z całą pogardą obsmarował nas na południowej konferencji prasowej. A było to jeszcze przed aferą z ukrzyżowaniem. Przy następnej okazji wyciągnie nas jak rybki z wody.

— Ale za nami stoi masa ludzi. Wystarczy pojechać na prowincję, do małych miasteczek...

— Tak, wiem. Prostaczkowie. Ci na pewno pójdą za nami, lecz ile, według ciebie, musi upłynąć czasu, zanim ktokolwiek zacznie się liczyć z opinią prostaczków? A co z wpływowymi pastorami wielkich parafii w miastach? Czy możesz sobie wyobrazić, co powie wielebny doktor Angus Windsor swojej parafii oraz dziennikarzom z całego świata? On jest jednym z tych, którzy

zaczęli całą sprawę, ale z pewnością nie pójdzie ramię w ramię z posepnymi młodzieńcami, noszącymi krzyże po ulicach i krzyżującymi się na placach. Przez te wszystkie lata starałem się wypełniać swe powinności z godnością, a teraz zostały one sprowadzone do poziomu awantur ulicznych. Muszę ci za to gorąco podziękować.

— Przecież niewiele się to różni od akcji, które podejmowałeś do tej pory — powiedział MacDonald. — Od tych przedstawień cyrkowych, festynów. W ten sposób budowałeś swoją potęgę.

— Ale z umiarem.

— Ty to nazywasz umiarem? Napisy na niebie, parady, całe kilometry plakatów...

— Uzasadniona reklama. Uczciwa reklama. Wielka amerykańska tradycja. Popełniłeś błąd, wychodząc na ulicę. Zbyt mało wiesz na ten temat. Zetknąłeś się tam z ekspertami; te dzieciaki od miocenu wiedzą o ulicy wszystko. Byli tam zawsze, wychowali się na ulicy. Miałeś podwójne ostrzeżenie, jeszcze zanim przystąpiłeś do gry. Co cię podkusiło, by próbować stawić im czoła?

— Dobra, wystarczy. Co teraz mamy robić? Sam uważasz, że ulice odpadają. Zatem skreślamy je. Co nam zostaje? W jaki sposób mamy przyciągnąć uwagę ludzi?

Wielebny Jake Billings zapatrzył się szklanym wzrokiem na ścianę.

— Nie mam pojęcia — rzekł. — Po prostu nie wiem. Chyba już nie ma znaczenia, co zrobimy. Zdaje się, że ten narastający pomruk niezadowolenia oznacza spisanie całej naszej krucjaty na straty.



Wszystko przez psa. Bentley Price przez cały dzień nie miał w ustach ani kropelki wody. Jechał typową górską, wąską i krętą drogą, a że był rozzłoszczony tym, co mu się przytrafiło, prowadził zdecydowanie za szybko. Po wielogodzinnych poszukiwaniach odnalazł w końcu obóz — na pierwszy rzut oka zupełnie prowizoryczny, nie mający w sobie nic z pedantycznej schludności normalnych obozów wojskowych, przypominający zwykły biwak, rozłożony w gęstym zagajniku na brzegu strumienia spływającego w głąb doliny. Przepelniony dumą z dobrze wykonanej roboty i nagrodzonej wytrwałości zawiesił aparat na szyi i różnym krokiem ruszył w kierunku największego namiotu. Był już prawie na miejscu, gdy nagle pojawił się przed nim pułkownik i uniemożliwił mu dalszy pochód.

— Kimże pan jest, do diabła — zapytał pułkownik — i co pan tu robi?

— Jestem fotoreporterem z Global News — odparł Bentley. — Przybyłem tu, żeby zrobić kilka zdjęć potwora, na którego polujecie. Tłumaczyłem w redakcji, że nie warto tracić na to czasu, nie zgodzili się jednak ze mną. Zresztą to nie mój interes, wszystko mi jedno, dokąd mnie wysyłają. Musiałem więc wyjechać z miasta i znaleźć wasz obóz, żeby móc zrobić parę zdjęć polowania na potwora.

— Wkroczył pan na teren zamknięty — upomniał go pułkownik. — Przekroczył pan granicę, nie tylko w dosłownym znaczeniu. Nie mam pojęcia, jak się udało panu tu dotrzeć. Nikt nie próbował pana zatrzymać?

— Owszem — odparł Bentley. — Minąłem posterunek przy drodze. Kilku młodych żołnierzy. Ale nie zwróciłem na nich uwagi. Nigdy nie zwracani uwagi na ludzi, którzy usiłują mnie zatrzymać. Mam tu zadanie do wykonania i nie mogę tracić czasu.

Wtedy właśnie pułkownik wyrzucił go z terenu obozu. Zaczął szczekać na niego w typowo wojskowy sposób, a jego oczy zmieniły się w dwa kryształki lodu.

— Mamy tu dosyć kłopotów — powtarzał — bez jakiegoś głupiego fotoreportera, który będzie się wszędzie plątał i wtykał nos w nie swoje sprawy. Jeśli nie opuści pan tego terenu dobrowolnie, będę zmuszony przydzielić panu eskortę!

Kiedy tak gadał, Bentley uniósł jeden z aparatów i zrobił mu zdjęcie. To tylko pogorszyło sprawę; Bentley, odznaczający się wrodzoną szybką orientacją, spostrzegł, iż jego akcje lecą w dół, wycofał się więc z godnością, chcąc uniknąć eskorty. Kiedy mijał posterunek obsadzony młodzikami, którzy przedtem próbowali go zatrzymać, pożegnały go drwiące okrzyki i granie na nosie. Bentley błyskawicznie zatrzymał wóz, zastanawiając się, czy nie cofnąć się i podyskutować z chłopaczkami. W końcu stwierdził, że nie warto tracić czasu.

A teraz jeszcze ten pies.

Wyskoczył z zarośli rosnących wzdłuż drogi. Położył uszy, podkulił ogon i rwał do przodu, gnany ślełą paniką. Wypadł tuż przed maską, a Bentley jechał za szybko. Fotoreporter szarpnął kierownicą. Samochód zjechał z drogi i staranował kępę

krzaków. Rozległ się pisk opon, kiedy Price wdusił hamulec. Wóz z impetem huknął w pień wielkiego orzecha i zatrzymał się; drzwi otworzyły się i Bentley, który z całkowitą pogardą traktował takie wynalazki jak pasy bezpieczeństwa, został wyrzucony na zewnątrz. Aparat, który miał zawieszony na szyi, zakreślił krótki łuk i trafił go tuż za uchem, aż zadzwoniło mu w głowie, jakby tkwił tam olbrzymi dzwon. Wylądował na plecach, przeturlał się, wreszcie dźwignął na kolana i z trudem stanął na nogach. Zauważył, że znalazł się na skraju szosy.

Natomiast na samym środku drogi stał potwór. Bentley wiedział, że to potwór — widział dwa potwory zaledwie wczoraj. Ten był jednak mały, wielkości szetlandzkiego kucyka. Nie znaczyło to jednak, że wyglądał choć odrobinę mniej groźnie.

Bentley tym się różnił od innych ludzi, że nie wpadał w panikę i potrafił zachować zimną krew. Z wyuczoną precyzją zacisnął dłonie na aparacie i uniósł go do oczu. Gdy tylko cały potwór znalazł się w wizjerze, palec odruchowo uruchomił migawkę. Rozległo się charakterystyczne pstryknięcie i w tej samej chwili potwór zniknął.

Bentley opuścił aparat i rozwarł palce. W głowie dzwoniło mu jeszcze od uderzenia za uchem. Ubranie miał porwane, wielka dziura, wyszarpana w nogawce spodni, odsłaniała podrapaną skórę na kolanie. Po prawym przedramieniu, z dłoni rozciętej o jakiś kamień spływała strużka krwi. Za nim rozlegały się ciche trzaski, kiedy powoli osiadały pogięte blachy samochodu. Spod maski dobiegały gwizdy i syki, oznaczające, że woda z rozbitej chłodnicy ścieka po gorącym metalu.

W oddali umykający nadal pies zawył przeraźliwie. Gdzieś w gęstwinie na szczycie wzgórza spłoszona wiewiórka zaszczebotała z szybkością karabinu maszynowego. Droga była

pusta. Jeszcze przed chwilą stał tam potwór. Z miejsca, gdzie znajdował się Bentley, widać było ślady odcisnięte w pyle. Ale sam potwór zniknął.

Bentley popatrzył w obu kierunkach. Niczego nie zauważył.

“Przecież był tu przed chwilą” — przekonywał siebie z uporem. Widział go przez wizjer aparatu, zdążył nawet zrobić mu zdjęcie. W chwili, kiedy pstryknęła migawka, potwór zniknął. Ogarnęły go wątpliwości. Czy potwór rzeczywiście stał na drodze, kiedy robił mu zdjęcie? Czy został utrwalony na kliszy? A może tylko zmarnował jedną klatkę na znikającego potwora?

Cały czas miał wrażenie, że potwór stał tam naprawdę, nie mógł jednak stwierdzić tego z całą pewnością.

Odwrócił się i ruszył drogą na tyle szybkim krokiem, na ile mógł. Istniał tylko jeden sposób, by się przekonać. Musiał znaleźć gdzieś telefon, w jakiś sposób zdobyć samochód i czym prędzej wrócić do Waszyngtonu.



— Trzykrotnie mieliśmy już kontakt z potworami — rzekł Sandburg. — 1 nic. Nikt nie miał nawet szansy, by wypalić do nich. Potwory znikają i na tym się kończyło.

— Chcesz powiedzieć — powiedział Thornton Williams — że uciekały wam...

— Nie, znikają — odparł sekretarz obrony. — Po prostu rozpływały się w powietrzu. Ludzie, którzy je widzieli, przysięgają, że nawet się nie poruszyły. Były i w ułamku sekundy znikają. Meldunki napływały niezależnie od siebie. Świadkowie, absolutnie pewni tego, co widzieli, nie znali pozostałych doniesień. Jeden człowiek może się pomylić, powiedzmy dwóch, ale trzech — to niemożliwe.

— Czy ty, a może inni wojskowi, macie jakąś teorię, jakieś wytłumaczenie tego, co się dzieje?

— Nie — odparł Sandburg. — Prawdopodobnie stosują w obronie nowe umiejętności, które udało im się rozwinąć. Stworzenia te, jak sam chyba rozumiesz, nastawiły się chwilowo na defensywę. Wiedzą, że przede wszystkim muszą przetrwać. Dla dobra całego gatunku nie mogą podejmować ryzyka. Przypuszczam, że jeśli znajdą się w sytuacji bez wyjścia, ale tylko wtedy, podejmą walkę. Rozmawialiśmy z doktorem Issakiem Wolfe'em, biologiem z przyszłości, który jest chyba największym

wśród ludzi znawcą potworów. Nigdy nie słyszał o znikaniu tych stworzeń. Sugeruje, chociaż jest to tylko domysł, że być może nowe zdolności rozwinęły jedynie młode osobniki. Miałyby to być swego rodzaju mechanizm obronny. Niewykluczone, że podobne umiejętności umknęły uwadze ludzi w przyszłości, gdyż nie mieli oni zbyt wiele okazji, by obserwować młode osobniki. Przede wszystkim zajęci byli walką z rozwiniętymi w pełni potworami.

— Jak przebiega akcja przerzucania oddziałów na zagrożone tereny? — spytał prezydent.

— Nie mam żadnych informacji — odparł Sandburg. — Staramy się przemieszczać oddziały najszybciej, jak tylko to możliwe. W obozach stworzono siły porządkowe złożone z uchodźców, co pozwoliło przetrzucić pewną ilość żołnierzy do innych zadań. Departamenty Rolnictwa i Opieki Społecznej przejęły kontrolę nad dostawami do obozów żywności i innych towarów, co również odciążało wojsko. Spodziewamy się, że pierwsze samoloty z żołnierzami odbywającymi służbę za granicą zaczną lądować około pomocy, zwiększając dodatkowo liczebność naszych sił.

— Dziś rano był tu Morozow — rzekł Williams — proponował nam pomoc rosyjskich oddziałów. Jeśli mam być szczery, nawet nalegał. Oczywiście, odrzuciliśmy ich propozycję. Pozostaje jednak pytanie: do kogo powinniśmy zwrócić się o pomoc militarną; do Kanady, Meksyku, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec czy innych zaprzyjaźnionych krajów?

— Możliwe, że przydałyby się nam dodatkowe oddziały wojska — odparł Sandburg. — Muszę porozmawiać na ten temat w Dowództwie Sztabu i poznać ich zdanie. Obecnie najpilniejszym, a nie wykonanym jeszcze zadaniem jest zamknięcie całego obszaru na pomoc i południe od Georgii oraz

granicy stanu Nowy Jork. Musimy przede wszystkim uniemożliwić potworom opanowanie większych obszarów, gdyż uważamy, że jest to ich głównym celem. Jeśli zdołamy je otoczyć, poradzimy sobie z nimi.

— O ile nie będą się poruszać — rzekł prezydent.

— Tak, to prawda — przyznał Sandburg. — O ile nie będą się poruszać.

— Może przejdźmy teraz do innego tematu — zaproponował prezydent. — Chyba masz nam coś do zakomunikowania, Reilly.

— Sprawa nie jest jeszcze do końca pewna — odezwał się Reilly Douglas — ale sądzę, że możemy ją przedyskutować. Szczerze mówiąc, uważam, że należałoby wnikliwie rozpatrzyć kwestię całkowitej zgodności takiego rozwiązania z prawem. Po prostu nie miałem okazji zająć się tą stroną zagadnienia. Otóż przyszedł do mnie wczoraj wieczorem Clinton Chapman. Sądzę, że większość panów zna Glin tona.

Spojrzał po zebranych. Wielu skinęło głowami.

— Od czasu tej wizyty telefonował już trzy lub cztery razy — kontynuował Douglas — a dziś zjedliśmy razem lunch. Chyba wiecie, panowie, że mieszkaliśmy razem w czasie studiów na Harvardzie i od tamtej pory przyjaźnimy się. Dlatego właśnie skontaktował się ze mną. Przy pierwszym spotkaniu zaproponował, że sam weźmie na siebie budowę tuneli i pokryje wszelkie koszty bez naruszania budżetu federalnego. W zamian chciałby otrzymać prawo własności tuneli po przetransportowaniu uchodźców z przyszłości do miocenu oraz prawo wyłączności na korzystanie z tych tuneli. Od tamtej pory...

— Reilly — przerwał mu Williams. — Niezupełnie rozumiem, po co ktoś chciałby mieć tunele na własność. Do czegoż mógłby je wykorzystać? Pole czasowe, czy jak to się nazywa, o ile mi

wiadomo, działa tylko w jednym kierunku, w przeszłość.

Douglas pokręcił głową.

— Clint jest innego zdania. Rozmawiał ze swoimi naukowcami, a warto nadmienić, że jego korporacja zatrudnia naukowców światowej sławy, i ci zapewnili go, że jeżeli podróże w czasie są w ogóle możliwe, to musi istnieć możliwość podróży w obu kierunkach, zarówno w przeszłość, jak i w przyszłość. Co ciekawsze, powiedzieli mu, że podróże w przyszłość powinny być o wiele łatwiejsze do przeprowadzenia, jako że czas płynie w tym kierunku.

Williams westchnął głośno.

— Nie wiem — powiedział. — Nie podoba mi się to. Czy możemy z czystym sumieniem oddać kontrolę nad podróżami w czasie, zakładając oczywiście, że są one możliwe, w ręce jednego człowieka czy jakiejś grupy ludzi? Pomyśl o możliwych zastosowaniach...

— Właśnie o tym rozmawiałem z Clintem podczas lunchu — rzekł Douglas. — Wyjaśniłem mu, że każda podobna operacja musiałaby być ściśle kontrolowana. Należałoby powołać komisję do opracowania przepisów dotyczących podróży w czasie, które następnie powinien zatwierdzić Kongres. Co więcej, zarówno prace nad tymi przepisami, jak i ich zatwierdzenie, musiałyby mieć zasięg ogólnoswiatowy; trzeba by najpierw ratyfikować porozumienie międzynarodowe, a możecie sobie wyobrazić, jak długo by to trwało. Clint zgodził się ze mną i powiedział, że rozumie konieczność takich działań. Ale myśl o tunelach stała się jego obsesją. Jako stary przyjaciel próbowałem go odwieść od tego, lecz on nalega i chce budować tunele. Jeśli, oczywiście, uzyska naszą zgodę. Początkowo chciał sam pokryć wszelkie koszty, ale chyba zdał sobie sprawę, ile pieniędzy by to

pochłonęło. O ile się nie mylę, próbuje w tajemnicy zebrać konsorcjum, które zrealizowałoby projekt.

Sandburg zmarszczył brwi.

— Moją pierwszą reakcją byłaby odpowiedź odmowna. Podróże w czasie wymagają dokładnych badań. Przecież nigdy dotychczas nie myśleliśmy o nich poważnie. Musimy wszystko dokładnie rozważyć.

— Mogą zostać wykorzystane do celów militarnych — rzekł Williams. — Chyba nikt jeszcze nie wie, czym mogłyby się stać.

— Zakaz wykorzystywania podróży do celów militarnych musiałby zostać obwarowany odpowiednimi klauzulami w porozumieniu międzynarodowym — powiedział prezydent. — Gdyby to porozumienie nie miało spełniać swego zadania w przyszłości, nie widzę specjalnej różnicy, kto mógłby mieć prawo do korzystania z niego. Wewnętrzne potrzeby każdego kraju zawsze będą miały pierwszeństwo. Jakkolwiek by na to patrzeć, możliwość podróżowania w czasie spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Musimy rozwiązać ten problem, a powinniśmy uczynić to jak najlepiej.

— Czy pan chciałby przyjąć propozycję Clinta, panie prezydencie? — zapytał wyraźnie zdumiony Douglas. — Kiedy z panem rozmawiałem...

— Nie posuwałbym się do stwierdzenia, że chciałbym ją przyjąć — odpowiedział prezydent. — Ale w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, powinniśmy według mnie brać pod uwagę wszelkie możliwości i propozycje. Już wkrótce zmuszeni będziemy znaleźć fundusze na budowę tuneli. Zresztą nie tylko my, ale cały świat. Możliwe, że większość krajów będzie miała jeszcze poważniejsze kłopoty niż my.

— W ten sposób dochodzimy do pewnej konkluzji — rzekł

Williams. — Proponuję, byśmy ofertę Chapmana i jego konsorcjum rozpatrywali wyłącznie w odniesieniu do tuneli na terytorium Stanów Zjednoczonych.

— Nie mogę się wypowiadać w tej sprawie — powiedział Douglas. — Domyślam się, że jeśli Chapmanowi uda się stworzyć konsorcjum, może ono obejmować także kapitał zagraniczny i być oparte na porozumieniach z innymi państwami. Nie przypuszczam, by takie kraje jak Kongo, Portugalia czy Indonezja odwróciły się plecami do ludzi, którzy będą chcieli zbudować tunele na ich terytorium. Niektóre państwa mogą być przeciwnie, lecz jeśli my poprzemy ten plan, a kilka innych krajów, dajmy na to Niemcy czy Francja, zajmie takie samo stanowisko, wówczas, jak sądzę, większość pójdzie w nasze ślady. Poza tym, jeśli wszyscy przystaną na takie rozwiązanie, żadne z państw nie będzie chciało pozostać w izolacji i nie mieć własnego tunelu.

— Koszt tego przedsięwzięcia będzie olbrzymi — wtrącił Manfred Franklin, sekretarz skarbu. — Budowa tuneli na całym świecie pochłonie miliardy dolarów.

— W świecie finansjery jest wielu graczy — zauważył Ben Cunningham z Departamentu Rolnictwa. — Większość z nich to bystrzy gracze, nastawieni na duże zyski. Chapman musi być bardzo pewny siebie. Czy on może wiedzieć o czymś, o czym my nie wiemy?

Douglas pokręcił głową.

— Nie wydaje mi się. Opiera się na zapewnieniu swoich naukowców — głównie fizyków — że jeśli możliwe są podróże w czasie, to można poruszać się w obu kierunkach. Teraz już wiemy, że są one możliwe. Proszę zrozumieć, po raz pierwszy od jakichś pięćdziesięciu lat mamy do czynienia z naprawdę rewolucyjnym pomysłem, opartym w dodatku na realnych

podstawach i istniejącym potencjale technologicznym. Clint i jego ludzie chcą po prostu wcielić go w życie.

— Pozostaje tylko pytanie — rzekł Williams — czy mamy im na to pozwolić.

— Możliwe, że mimo wielu obiekcji będziemy do tego zmuszeni — zauważył prezydent. — Jeśli odmówimy, na pewno cała sprawa trafi do opinii publicznej, a chyba możecie sobie panowie wyobrazić reakcje ludzi. Mała garstka przeciwników zostanie szybko zagłuszona przez tłumy akcentujące tylko ten fakt, że nie przyjęto propozycji pokrycia olbrzymich kosztów, które będzie musiał ponieść budżet opłacany przez podatników. Szczerze mówiąc, panowie, możemy znaleźć się w sytuacji, kiedy sprzeciwienie się konsorcjum będzie oznaczało polityczne samobójstwo.

— Nie wygląda pan jednak na zbyt zmartwionego takim obrotem sprawy — oznajmił kwaśno Williams.

— Gdybyś zajmował się polityką tak długo jak ja, Thornton, do niczego nie podchodziłbyś z taką lekkością. Musisz być przede wszystkim praktykiem. Sprawy należy rozważać. Muszę wyznać, że sam mam czasami wszystkiego dosyć, ale jestem praktykiem politycznym do tego stopnia, że potrafię rozpoznać coś, z czym nie można walczyć. W niektórych przypadkach po prostu nie można liczyć na łut szczęścia i zdawać się na świętego Mikołaja.

— Nie podoba mi się to — stwierdził Williams.

— Mnie także — rzekł Sandburg.

— Ale to byłoby rozwiązanie — powiedział Franklin. — Świat pracy gotowy jest nas poprzeć. Jeśli pójdzie za nami finansjera z całego świata, co miałyby właśnie miejsce, gdyby udało się powołać konsorcjum, wówczas rozwiązane zostałyby nasze podstawowe problemy. Nadal pozostałaby kwestia wyżywienia

ludzi z przyszłości, zdaje mi się jednak, że nasze zapasy wystarczą na dłużej, niż początkowo sądziliśmy. Będziemy musieli zaopatrzyć uchodźców we wszystko, co będzie im potrzebne do założenia nowej cywilizacji w odległej przeszłości, lecz to może być wykonane przez normalnie funkcjonujący przemysł, a koszty będą wielokrotnie niższe od kosztów budowy tuneli. Trzeba zlecić komuś wykonanie choćby przybliżonych obliczeń, jaką część naszego potencjału produkcyjnego oraz surowców będziemy musieli przeznaczyć na wytwarzanie taczek, motyk, siekier, pługów i tym podobnych narzędzi, ale to zajęcie dla matematyków. Należy uświadomić ludziom, że w ciągu następnych kilku lat mogą wystąpić dość znaczące niedobory mięsa, nabiału i innych produktów rolnych, ponieważ będziemy musieli zgromadzić odpowiedni inwentarz hodowlany przed wysłaniem go do miocenu. Trzeba będzie trochę zacisnąć pasa, ale to wszystko jest w zasięgu naszych możliwości. Najpoważniejsze zadanie to budowa tuneli, a może je wykonać konsorcjum Chapmana, o ile przystaniemy na jego propozycję.

— Co z tymi krzykliwymi dzieciakami, które twierdzą, że chcą wyemigrować w przeszłość? — zapytał Cunningham. — Ja pozwoliłbym im odejść. Oczyszcilibyśmy z nich ulice, a zarazem pozbawili argumentów tych, którzy od lat już mówią o przeludnieniu. To byłoby chyba sensowne rozwiązanie.

— Oczywiście żartujesz — powiedział prezydent. — Ale...

— Mogę pana zapewnić, panie prezydencie, że nie miałem zamiaru żartować. Mówiłem zupełnie poważnie.

— Cóż, muszę się z tobą zgodzić — przyznał prezydent. — Raczej z zupełnie innych powodów. Nie powinniśmy zatrzymywać nikogo, kto chce odejść. Możliwe, że nie do tej samej epoki, do której chcą się udać ludzie z przyszłości, ale do

czasów, powiedzmy, o milion lat późniejszych. Zanim jednak pozwolimy im odejść, będą musieli wykazać się takim samym rozumieniem ekologii i takimi samymi przekonaniem, jakie charakteryzują uchodźców z przyszłości. Nie możemy wysłać w przeszłość ludzi, którzy zużyją wszystkie zasoby naturalne, z jakich obecnie korzystamy. Mogłoby to stworzyć paradoks, jak się domyślam — bo nie ośmielę się twierdzić, że wiem na pewno — fatalny w skutkach dla naszej cywilizacji.

— Któż miałby wpoić im te przekonania i rozumienie ekologii?

— Ludzie z przyszłości. Przecież nie wszyscy muszą natychmiast emigrować do przeszłości. Oczywiście, większość musimy wysłać, ale część ludzi może zostać z nami przez jakiś czas. Jeśli chodzi o ścisłość, sami zaproponowali pozostawienie grupy swoich specjalistów, którzy mieliby przekazać nam większość tego, co zostało osiągnięte, a raczej powinienem powiedzieć: co zostanie osiągnięte w ciągu najbliższych pięciuset lat. Osobiście uważam, że powinniśmy przystać na tę propozycję.

— Ja także — dodał Williams. — Pewnie niektóre z tych zdobyczy doprowadzą do ruiny część praw ekonomicznych i społecznych, ale na dłuższą metę będzie to bardzo opłacalne. W ciągu, powiedzmy, dwudziestu lat będziemy mogli przeskoczyć pięćsetletnią przepaść, nie popełniając przy tym błędów, jakie musieli robić nasi potomkowie w pierwotnej wersji historii.

— Nie chcę się wypowiadać na ten temat — stwierdził Douglas. — Trzeba wziąć pod uwagę zbyt wiele czynników. Chciałbym to wszystko dokładniej przemyśleć.

— Zapomnieliśmy o jednej rzeczy — powiedział Sandburg. — Powinniśmy zacząć układać plany. I musimy zrobić to jak

najszybciej. Trzeba zawczasu przygotować skuteczne, realne metody przezwyciężenia kryzysu, którego skutki możemy odczuć już za miesiąc, gdyż wtedy będzie na to za późno. Chcę jednak wyraźnie podkreślić: wszystkie rozwiązania, wszelkie plany nie przydadzą się na nic, jeśli nie zdołamy zniszczyć, a przynajmniej objąć ścisłą kontrolą potworów.



“Te dzieciaki na ulicy mogą mieć racje. — pomyślał Wilson. — Pomysł budowy cywilizacji od nowa, pozbycia się wszelkich zobowiązań i wszelkich obciążeń jest dziwnie fascynujący. Jedyne problem w tym, że nawet zaczynając od początku, ludzkość znów będzie mogła powtórzyć wiele popełnionych już raz błędów. Tyle że przeniósłszy się w przeszłość, zyskałaby wiele czasu, a zarazem sposobność, o ile starczyłoby tylko woli, do naprawienia ich, zanim nie stałyby się zbyt poważne”.

Alice Gale opowiadała o dzikich chaszczach, którymi zarosły ruiny Białego Domu, natomiast doktor Osborne w czasie drogi z Fortu Myer do Waszyngtonu wyraził swą wątpliwość, czy procesy, które doprowadziły do przekształcenia okalającego Białą Dom parku w chaszczę, mogą być jeszcze powstrzymane.

— Sprawy zaszły za daleko — powiedział. — Wasz świat uległ odchyleniu od stanu równowagi.

“Możliwe, że sprawy zaszły za daleko — przyznał w duchu Wilson. — Silne rządy stają się jeszcze silniejsze; wielki biznes robi się coraz większy i coraz bardziej arogancki; podatki ciągle rosną i nigdy nie maleją; ludzie biedni ubożeją jeszcze bardziej i stale ich przybywa mimo najlepszych intencji rozbudowanej opieki społecznej; przepaści między biednymi i bogatymi, między rządem a społeczeństwem pogłębiają się z roku na rok. W jaki

sposób można by to urządzić inaczej? Jak, mając do dyspozycji ten sam świat, można by lepiej wykorzystać wszystkie warunki?"

Pokręcił głową. Nie miał pojęcia. Znaleźliby się ludzie, którzy śledząc dokładnie rozwój polityczny, ekonomiczny i społeczny ludzkości, wytknęliby ewentualne błędy, wskazałiby konkretne działania w danej epoce i powiedzieli: tutaj popełniono błąd. Ale byłiby to tylko teoretycy, opierający się na wielu różnych teoriach, które nie zdałyby egzaminu.

Zadzwonił telefon na biurku i Wilson sięgnął po słuchawkę.

— Pan Wilson?

— Tak.

— Mówi dowódca warty przy południowo—zachodniej bramie. Jest tu pewien dżentelmen, który twierdzi, że musi się z panem zobaczyć w sprawie nie cierpiącej zwłoki. Nazywa się Thomas Manning. Towarzyszy mu pan Bentley Price. Czy pan ich zna, sir?

— Tak, proszę ich wpuścić.

— Wyślę ich z eskortą, sir. Będzie pan w swoim gabinecie?

— Tak. Będę tu czekał.

Wilson odłożył słuchawkę. "Co też sprowadza Manninga? — pomyślał. — Dlaczego musiał zjawić się osobiście? Sprawa nie cierpiąca zwłoki. A Bentley? Na miłość boską, co ma z tym wspólnego Bentley? Czyżby wiązało się to w jakiś sposób z plotkami krążącymi w siedzibie ONZ?"

Spojrzał na zegarek. Posiedzenie gabinetu trwało dłużej, niż się spodziewał. Może dobiegło już końca, lecz prezydent był zajęty jakimiś innymi sprawami. Nie, to mało prawdopodobne — Kim na pewno wpuściłaby go poza kolejnością.

Do gabinetu weszli Manning i Bentley. Wartownik zatrzymał się w drzwiach. Wilson skinął na niego.

— Wszystko w porządku. Proszę zaczekać na zewnątrz. Cóż za miła niespodzianka! — rzekł, wymieniając z gośćmi uściski dłoni. — Dawno cię nie widziałem, Tom. Ciebie także, Bentley. Rzadko mamy okazję się spotykać.

— Wciąż jestem zajęty — powiedział Bentley. — Dosłownie zrywani nogi. Bez przerwy w ruchu.

— Bentley wrócił właśnie z Zachodniej Wirginii — dodał Manning. — Z tego powodu jesteśmy tutaj.

— Wszystko przez psa na drodze — powiedział Bentley. — A potem wpadłem na drzewo i rozbiłem wóz.

— Bentleyowi udało się sfotografować potwora stojącego na drodze — wyjaśnił Manning. — Dokładnie w tej samej chwili, kiedy zniknął.

— Dla mnie wszystko jest jasne — wtrącił Bentley. — Ujrzał wycelowany w siebie obiektyw aparatu i usłyszał trzask migawki. Te potwory zaraz biorą nogi za pas, kiedy tylko coś w nie wycelować.

— Otrzymaliśmy już kilka doniesień o podobnych zniknięciach — rzekł Wilson. — Prawdopodobnie jest to jakiś rodzaj mechanizmu obronnego, który sprawia wiele kłopotów chłopcom polującym na potwory.

— Nie sędzę — powiedział Manning. — Zmuszenie potworów do zniknięcia może być równie skuteczne, jak zabicie ich. — Otworzył niewielką aktówkę, którą trzymał w ręce, i wyjął plik fotografii. — Spójrz na to — powiedział.

Popchnął fotografie po blacie biurka w stronę Wilsona.

Ten rzucił na nie okiem, po czym utkwiał wzrok w Bentleyu.

— Co to za fotomontaż? — zapytał.

— To nie fotomontaż — odparł Bentley. — Aparat nie kłamie. Tym razem uchwycił dokładnie to, co widać. Właśnie to się

zdarzyło w chwili zniknięcia potwora. Użyłem szybkiego aparatu...

— Ale skąd tu dinozaury?! — jęknął Wilson. Bentley sięgnął do kieszeni, wyciągnął coś i wręczył Wilsonowi.

— Szkło powiększające — rzekł. — Przyjrzyj się dobrze. W oddali widać całe stado. Nie dałoby się tego zrobić techniką montażu.

Sylwetka potwora była zamazana, jakby zdjęcie przedstawiało tylko jego cień, bez wątplenia jednak był to potwór. W tle widniały uchwycone ostro trzy dinozaury.

— To dziobaki — stwierdził Manning. — Gdybyś pokazał tę fotografię paleontologowi, jestem pewien, że bez trudu zidentyfikowałyby je.

Drzewa były dziwne. Wyglądały jak palmy, inne zaś przypominały gigantyczne paprocie.

Wilson wysunął lupę z etui, pochylił się nisko nad fotografią i zaczął przesuwać ponad nią szkłem. Bentley miał rację. Na tle krajobrazu można było dostrzec inne dziwne stworzenia, stojące pojedynczo lub całymi stadami. Jakiś mały ssak nurkował w krzaku w poszukiwaniu schronienia.

— Mamy kilka powiększeń krajobrazu w tle — odezwał się Manning. — Chcesz je obejrzeć?

Wilson pokręcił głową.

— Nie, to mi wystarczy.

— Porównywaliśmy je z ilustracjami w encyklopedii geologicznej — rzekł Bentley. — To krajobraz kredy.

— Tak, wiem — mruknął Wilson.

Sięgnął po słuchawkę.

— Kim — rzucił szybko — czy pan Gale jest w swoim pokoju? Tak, dziękuję. Poproś go, żeby przyszedł do mnie. Manning

popchnął w jego kierunku pozostałe fotografie.

— Możesz je zatrzymać — powiedział. — Mamy zamiar je opublikować, chcieliśmy jednak najpierw przedstawić je tobie. Myślisz o tym samym, co ja?

Wilson skinął głową.

— Chyba tak — odparł. — Ale nie wolno ci się na mnie powoływać.

— Nie muszę. Zdjęcia mówią same za siebie. Pierwszy potwór, którego mogliśmy nazwać potworem—matką, zetknął się z zasadami podróży w czasie podczas pokonywania tunelu. Owe zasady utrwaliły się w jego mózgu, w instynktach czy też gdziekolwiek indziej. Przekazał potem tę wiedzę swemu potomstwu jako cechę dziedziczną.

— Ależ przecież ludziom potrzebne są do tego tunele czasowe, urządzenia — zaprotestował Wilson. — To wymaga odpowiedniej techniki i przemysłu...

Manning wzruszył ramionami.

— Cholera, sam nie wiem, Steve. Ale zdjęcie pokazuje wyraźnie, że potwór ucieka do innej epoki. Możliwe, że one wszystkie uciekną w inny czas, do tej samej epoki. Niewykluczone, że ucieczka przez czas została na zawsze utrwalona w ich instynktach. Pewnie kreda będzie dla nich dużo lepszą epoką. Może poczuły się u nas osaczone i zagrożone, może zbyt wielu rzeczy musiały się wyrzec?

— Przyszło mi właśnie coś do głowy — rzekł Wilson. — Dinozaury wymarły...

— Tak, wiem — odparł Manning, zamykając z trzaskiem aktówkę. — Pójdziemy już. Czeka nas wiele roboty. Dzięki, że zechciałeś nas przyjąć.

— Nie, Tom — powiedział Wilson. — To ja bardzo dziękuję

tobie i Bentleyowi. Dziękuję, że pofatygowaliście się do mnie. Rozgryzienie tego zajęłoby nam wiele dni. O ile w ogóle...

Wstał, poczekał, aż wyszli, po czym usiadł z powrotem.

“To nieprawdopodobne” — pomyślał. A jednak wszystko układało się w niewiarygodną, lecz sensowną całość. Człowiek nie potrafił uwolnić się od myślenia w kategoriach ludzkich. A potwory były zupełnie odmiennymi stworzeniami. Raz po raz ludzie z przyszłości powtarzali z naciskiem, że nie można traktować ich jak zwykłe bestie, lecz jak istoty obdarzone wysoką inteligencją. Bez wątplenia inteligencja tych stworzeń była dla ludzi równie obca, jak ich budowa fizyczna. Trudno to było zrozumieć, ale owe istoty mogły instynktownie być zdolne do tego, co człowiek osiągnął wyłącznie przy pomocy maszyn.

Maynard Gale i Alice weszli do gabinetu tak cicho, że nie zdawał sobie sprawy z ich obecności, dopóki nie podniósł głowy i nie dostrzegł ich stojących tuż przy biurku.

— Chciał pan nas widzieć — odezwał się Gale.

— Proszę spojrzeć na te zdjęcia — rzekł. — Najpierw na to na górze, reszta to tylko powiększenia. Chciałbym poznać pańskie zdanie.

Czekał spokojnie, aż zapoznają się ze zdjęciem. W końcu odezwał się Gale:

— To krajobraz kredy, panie Wilson. W jaki sposób wykonano to zdjęcie? I co ma z tym wszystkim wspólnego potwór?

— Chciano zrobić zdjęcie potwora. W tej samej chwili, kiedy otworzyła się migawka, potwór zniknął.

— Zniknął?

— To już nie pierwsze doniesienie o zniknięciu potwora. O ile się nie mylę, drugie. Prawdopodobnie napłyną inne, podobne meldunki.

— Tak — mruknął Gale. — Sądzę, że to możliwe. Wie pan, że one w niczym nie są do nas podobne. Potwór, który przedostał się tunelem, zetknął się z podróżowaniem w czasie, mimo iż doświadczenie to trwało dla niego zaledwie ułamek sekundy. Ale to mogło mu wystarczyć. — Wzruszył ramionami. — Jeśli to prawda, że po tak krótkim doświadczeniu one są w stanie błyskawicznie przenosić się w czasie, jeśli ich potomstwo także potrafi natychmiast przenosić się w czasie, jeśli potrafiły zrozumieć, nauczyć się i opanować tak skomplikowany proces do tego stopnia i tak szybko, to fakt, iż potrafiliśmy opierać się im przez całe dwadzieścia lat, należy uznać za cud. Musiały się nami bawić, ochraniać nas i oszczędzać dla swej rozrywki. Byliśmy jak zwierzęta w rezerwacie. Właśnie tak, zwierzęta w rezerwacie.

— Czy nie wyciąga pan zbyt pochopnych wniosków? — zapytał Wilson.

— Nie, chyba nie. Najlepiej byłoby w tej sprawie skonsultować się z doktorem Woife'em. On powinien wiedzieć, a w każdym razie przedstawić bardziej naukowe uzasadnienie.

— Nie ma pan żadnych wątpliwości?

— Żadnych — odparł Gale. — Chyba że to jakiś kawał.

Wilson pokręcił głową.

— Nie, mam zaufanie do Toma Manninga. Znamy się dobrze. Pracowaliśmy razem w redakcji "Washington Post". Razem siadywaliśmy w barze. Byliśmy jak bracia, dopóki nie rozdzieliła nas ta cholerna robota. Nie powiem, że on nie ma poczucia humoru. Ale nie byłby zdolny do czegoś takiego. Podobnie jak Bentley. Dla niego aparat fotograficzny jest bóstwem. Nie mógłby posłużyć się nim w niegodnych celach. On żyje swoimi aparatami. Modli się do nich codziennie wieczorem, zanim położy się do łóżka.

— Dysponujemy zatem dowodem, że potwory uciekają w przeszłość. Tak samo jak my.

— Chyba tak — przyznał Wilson. — Chciałem poznać pańskie zdanie. Pan dobrze zna potwory, a my nie.

— Nadal chcecie porozmawiać z Wolfe'em?

— Owszem, skontaktujemy się z nim.

— Jest jeszcze jedna sprawa, panie Wilson, o której chcieliśmy z panem porozmawiać. Moja córka i ja przedyskutowaliśmy wszystko i doszliśmy do zgodnego wniosku.

— O co chodzi?

— O zaproszenie. Nie wiemy, czy pan je przyjmie. Może nie. Niewykluczone, że poczuje się pan nawet urażony. Sądzę jednak, że wielu ludzi gotowych byłoby przyjąć takie zaproszenie. Dla wielu byłaby to pewnie spora atrakcja. Z trudem przychodzi mi przedstawić je panu. Otóż, kiedy będziemy przenosić się do miocenu, gdyby tylko miał pan ochotę, byłby pan mile widziany wśród nas. Zwłaszcza w naszej grupie. Bardzo bylibyśmy radzi, gdyby udał się pan z nami.

Wilson zamarł. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił znaleźć właściwych słów.

— Był pan naszym pierwszym przyjacielem — rzekła Alice. — Być może jedynym prawdziwym przyjacielem. Przekazano panu diamenty. Uczynił pan dla nas tak wiele.

Szybkim krokiem okrążyła biurko, pochyliła się i pocałowała Wilsona w policzek.

— Nie musi pan teraz udzielać nam odpowiedzi — powiedział Gale. — Chyba będzie pan chciał się dobrze zastanowić. Jeśli zdecyduje pan nie iść z nami, nie będziemy więcej o tym mówić. Zaproszenie to, jak sądzę, musi być rozpatrywane przy założeniu, że najprawdopodobniej wasi ludzie wykorzystają

tunele czasowe, żeby przenieść się do epoki odległej od nas o kilka milionów lat w przeszłości. Mam przeczucie, że nie będziecie w stanie uniknąć kryzysu, jaki dotknął naszych przodków, to znaczy was, na pierwotnej ścieżce czasu.

— Nie wiem — mruknął Wilson. — Przyznaję szczerze, że nie wiem. Proszę mi dać czas do namysłu.

— Oczywiście — odparł Gale.

Alice pochyliła się niżej i szepnęła Wilsonowi do ucha:

— Mam nadzieję, że zdecyduje się pan przenieść razem z nami.

Po chwili wyszli — równie cicho, równie niezauważalnie jak poprzednio.

Pokój pograżył się w wieczornym półmroku. W sali konferencyjnej rozbrzmiewał urywany stukot maszyny do pisania — widocznie dziennikarz z trudem dobierał słowa. Stożące rzędem pod ścianą teleksy terkotały nieustannie. Mrugała jedna z lampek na pulpicie telefonicznym Judy. Przypomniał sobie, że nie był to już jej pulpit. Judy odeszła. Samolot unoszący ją do Ohio był już w drodze na zachód.

“Judy — pomyślał — Na miłość boską, co w ciebie wstąpiło? Dlaczego musiałaś tak postąpić?”

Bez niej czuł się osamotniony. Do tej pory nie zdawał sobie nawet sprawy, jak bardzo chroniła go przed tym uczuciem, na ile silny stanowiła mur przeciwko samotności, którą można było odczuwać nawet w towarzystwie ludzi, których uważał za przyjaciół. Nie musiał mieć jej przy sobie. Wystarczyła tylko świadomość, że ona jest gdzieś w pobliżu, by zniknęło poczucie osamotnienia i serce wypełniała radość.

Pomyślał, że przecież ona nadal jest niedaleko. Ohio nie leżało na końcu świata, zresztą w tych czasach nigdzie nie było daleko.

Telefony jeszcze działały, poczta doręczała listy, chociaż to nie to samo. Zaczął się zastanawiać, co by jej napisał, gdyby zdecydował się wysłać list. Miał jednak świadomość, że nigdy go nie napisze.

Zadzwoił telefon.

— Skończyło się posiedzenie — oznajmiła Kim. — Możesz teraz wejść.

— Dziękuję, Kim.

Zupełnie wyleciało mu z głowy, że prosił o spotkanie z prezydentem. Miał wrażenie, że to było tak dawno, chociaż upłynęło niewiele czasu. Po prostu wiele się od tamtej pory wydarzyło.

Kiedy tylko wkroczył do gabinetu, prezydent powiedział:

— Przykro mi, że musiałeś czekać, Steve. Mieliśmy bardzo dużo rzeczy do omówienia. Z czym przychodzisz?

Uśmiechnął się.

— Sytuacja nie jest już tak nieprzyjemna jak wtedy, kiedy próbowałem się z panem skontaktować, panie prezydencie. Chodzi mi o plotki krążące po siedzibie ONZ.

— W sprawie propozycji Rosjan?

— Tak, właśnie. Zadzwoił do mnie Tom Manning i przekazał informację swego człowieka w ONZ, Maxa Hale'a. Zna go pan, panie prezydencie.

— Nie pamiętam, bym go kiedykolwiek spotkał. Ale czytałem jego artykuły. Jest dość rzetelny.

— Otóż Hale słyszał, że Rosjanie mają naciskać na to, by siły międzynarodowe wkroczyły z bronią nuklearną na te obszary, gdzie potwory przedarły się na wolność.

— Spodziewałem się czegoś podobnego — rzekł prezydent. — Nigdy nie będą w stanie przepchnąć podobnego wniosku.

— To już nieistotne. Właśnie otrzymałem to. — Położył fotografie na biurku. — Zrobił je Bentley Price.

— Price? — zapytał prezydent. — Czyżby ten sam...

— Tak. Ten, od którego wszystko się zaczęło. Lubi zajrzeć do kieliszka, ale to znakomity fotoreporter. Jeden z najlepszych.

Prezydent zapatrzył się na zdjęcia, marszcząc brwi.

— Nie jestem pewien, Steve, czy dobrze rozumiem.

— Muszę panu powiedzieć, jak zostało zrobione to zdjęcie. Było to tak...

Prezydent słuchał uważnie nie przerywając. Kiedy Wilson skończył, zapytał:

— Czy naprawdę uważasz, że to sensowne wyjaśnienie, Steve?

— Tak sądzę, panie prezydencie. Podobnego zdania jest Gale, który stwierdził, że powinniśmy porozmawiać z Wolfe'em. On nie ma żadnych wątpliwości. Zostaje nam tylko wypchnąć jak najwięcej potworów, zmusić do cofnięcia się w przeszłość, żeby pozostałe poszły w ich ślady. Gdyby było ich więcej, a my mielibyśmy tak mało broni jak ludzie z przyszłości, kiedy to po raz pierwszy potwory wylądowały na Ziemi, prawdopodobnie próbowałyby zostać tutaj. Trafiły na równorzędnych przeciwników, mających szansę wykazać się w walce. Myślę, że bezbłędnie potrafiły ocenić, iż nie pokonają nas. Jeśli przeniosą się do kredy, znów trafią na znakomitych rywali. Wręcz wymarzonych. Chociażby na tyranozaura i jego krewniaków, na tryceratopsa i celurozaura, na różne drapieżne dinozaury. Będą mogły toczyć walkę gołymi rękoma. Pewnie bardziej im się to podoba od wszystkiego, co czekało ich pośród ludzi.

Prezydent zamyślił się głęboko. Po chwili rzekł:

— Jak sobie przypominam, naukowcy do dzisiaj nie potrafili znaleźć przyczyn wymarcia dinozaurów. Możliwe, że teraz

znamy już prawdę.

— To niewykluczone — przyznał Wilson. Prezydent sięgnął do interkomu, lecz cofnął rękę.

— Nie — powiedział. — Fiodor Morozow jest przyzwoitym człowiekiem. To, co zrobił dziś rano, było tylko jego powinnością. Musiał wykonać polecenie, które otrzymał. Nie ma sensu dzwonić do niego i przedstawiać nowiny. Dowie się sam, kiedy gazety opublikują ten materiał. Podobnie jak wszyscy z ONZ. Chciałbym zobaczyć ich miny. To wytrąci im broń z ręki.

— Ma pan rację, panie prezydencie — przyznał Wilson. — Nie będę już panu zabierał czasu...

— Zostań jeszcze chwilę, Steve. Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Musisz umieć poradzić sobie, gdyby padło na konferencji takie pytanie. Prawdę zna nie więcej niż sześciu naszych ludzi, a oni nie pisną ani słówka. To najściślejsza tajemnica, nieoficjalna ścisła tajemnica. Nie ma żadnych zapisów. Nie wie o tym ani Sekretariat Stanu, ani Sekretariat Obrony.

— Czy uważa pan, panie prezydencie, że ja powinienem...

— Chcę, żebyś o tym wiedział — rzekł prezydent. — Kiedy poznasz tajemnicę, będziesz zobowiązany do jej zachowania tak samo jak wszyscy pozostali. Czy słyszałeś o propozycji Clintona Chapmana?

— Słyszałem. Nie podoba mi się to. Już dziś rano padło pytanie w tej sprawie, ale odmówiłem komentarza. Stwierdziłem, że to tylko plotki i nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Mnie też się to nie podoba — wyznał prezydent. — On myśli, że może kupić sobie podróże w czasie, że prawie ma je już w garści, że będzie mógł sam w nich zasmakować. Nigdy nie spotkałem się z przypadkiem tak ewidentnie demonstrowanej

zachłanności. Nie jestem pewien, czy jego dobry, stary przyjaciel Reilly Douglas nie zaraził się tą samą zachłannością.

— Ale jeśli powoduje nimi zachłanność...

— Oczywiście. Ale ja wiem o czymś, o czym on nie wie, i jeśli uda mi się dobrze pokierować sprawą, nie dowie się aż do chwili, kiedy wiedza ta nie przyda mu się już na nic. A rzecz przedstawia się tak: to, co zastosowali ludzie z przyszłości, to zupełnie coś innego niż podróż w czasie w takim sensie, w jakim my to rozumiemy. Skutek jest taki sam, ale w tradycyjnym rozumieniu to nie jest podróż w czasie. Nie wiem, czy potrafię to dobrze wytłumaczyć. Otóż istnieje drugi wszechświat, koegzystujący z naszym. Ludzie z przyszłości wiedzą o jego istnieniu, ale na dobrą sprawę poznali zaledwie jedną jego cechę. Czas w tamtym drugim wszechświecie płynie dokładnie w kierunku przeciwnym w stosunku do naszego. To znaczy, że jego przyszłość leży w naszej przeszłości. Uchodźcy z przyszłości przenieśli się do naszej epoki, przeskakując jakby do strumienia czasu tamtego wszechświata...

— Ależ to oznacza...

— Właśnie — rzekł prezydent. — Oznacza to, że można przenieść się w przeszłość, ale nie sposób wrócić. Można podróżować jedynie wstecz, a nigdy ku przyszłości...

— Gdyby Chapman wiedział o tym, już byłoby po sprawie.

— Tak przypuszczam. Jego propozycja budowy tuneli nie wynika przecież z pobudek patriotycznych. Czy potępiasz mnie, Steve, za ten wybieg, za wyrachowaną nieuczciwość?

— Potępiłbym pana, panie prezydencie, gdyby naprawdę istniała możliwość zrealizowania przez Chapmana zamierzeń, a pan by mu na to pozwolił. Cały świat skorzysta z pomocy finansowej ludzi, którzy że tak powiem, przechytrzą samych

siebie. Nikomu nie będzie ich żal.

— Któregoś dnia wszystko się wyjaśni — rzekł prezydent. — Wtedy moja nieuczciwość wyjdzie na jaw.

— Kiedy to się stanie — odrzekł Wilson — a pewnego dnia musi wyjść na jaw, wtedy na całym świecie rozlegnie się chóralny ryk śmiechu. Zdobędzie pan sławę, panie prezydencie. Będą stawiać panu pomniki.

Prezydent uśmiechnął się.

— Mam taką nadzieję, Steve. Czuję się jak spiskowiec.

— Jedno pytanie — powiedział Wilson. — Na ile pewne jest zachowanie ścisłej tajemnicy w tej sprawie?

— Raczej pewne — odparł prezydent. — Uchodźcy, których przywiozłeś z Fortu Myer, przekazali wszystko naszym ludziom z Akademii, a było ich tylko trzech. Potem zrelacjonowali sprawę mnie. W rozmowie brało udział sześciu naukowców i ja. Już wtedy miałem informacje o propozycji Chapmana i poprosiłem ich, by nikomu nie ujawniali prawdy. Nad projektem przeniesienia w przeszłość ludzi z przyszłości pracowało tylko kilku naukowców, tylko garstka wie o istnieniu drugiego wszechświata. Tak się złożyło, że wszyscy znajdują się tutaj. Podobnie jak z diamentami, naukowcy doszli do wniosku, że tylko naszemu narodowi mogą zaufać. Przekazałem swą prośbę ludziom w Forcie Myer. Naukowcy z przyszłości nie puszcza pary z ust. Podobnie nasi specjaliści.

Wilson skinął głową.

— Brzmi bardzo dobrze. Wspomniał pan o diamentach. Co z nimi?

— Na razie przekazaliśmy je do depozytu. Zostały gdzieś zamknięte. Później, kiedy to wszystko się skończy, zastanowimy się, co z nimi zrobić. Prawdopodobnie zostaną w tajemnicy

sprzedane, tylko po kilka naraz, ze zmyśloną historyjką o ich pochodzeniu. A pieniądze będziemy składać w depozycie do późniejszego podziału między wszystkie kraje.

Wilson wstał i ruszył do drzwi. W pół drogi zatrzymał się i odwrócił.

— Powiedziałbym, panie prezydencie, że sprawy przybierają pomyślny obrót.

— Owszem. Po fatalnym początku zaczyna iść dobrze. Czeka nas jeszcze mnóstwo pracy, ale wszystko jest już na dobrej drodze.

Kiedy Wilson wrócił do swego gabinetu, ktoś siedział przy pulpicie Judy. W pokoju panował półmrok. Migotały tylko lampki na pulpicie, ale nikt nie odpowiadał na wezwania.

— Judy? — zapytał niepewnie Wilson. — Judy, czy to ty?

Wiedział jednak, że to niemożliwe. Prawdopodobnie jej samolot lądował teraz w Ohio.

— Wróciłam — odezwała się Judy. — Wsiadłam już do samolotu, ale zaraz wysiadłam. Siedziałam przez kilka godzin na lotnisku, zastanawiając się, co robić. Steve, jesteś cholernym sukinsynem i sam dobrze o tym wiesz. Nie mam pojęcia, po co wysiadłam z tego samolotu. Nie wiem sama, dlaczego tu wróciłam.

Podszedł do niej.

— Ależ, Judy...

— Ani razu nie poprosiłeś mnie, żebym została. Tak naprawdę nie prosiłeś mnie o to nigdy.

— Ależ tak. Prosiłem cię.

— Byłeś przy tym bardzo szlachetny. To jest w tobie najgorsze. Wspaniałomyślność. Nie stać cię było, żeby paść na kolana i poprosić ze szczerego serca. A teraz mój bagaż leci do Ohio,

a ja...

Pochylił się, podniósł ją z krzesła i mocno przytulił.

— Mamy za sobą dwa bardzo ciężkie dni — powiedział. —
Najwyższa pora, żebyśmy oboje poszli do domu.

KONIEC